

PRZEMEK STAROŃ –
NAUCZYCIEL ROKU

WIKIPEDIA WALCZY
Z FAKE HASŁAMI

SAMOTNE MATKI –
ZAPOMNIANE PRZEZ PAŃSTWO

NIEBIESKIE CHACHARY – 10 LAT
Z KIBICAMI RUCHU CHORZÓW



100 LAT ZŁUDZEŃ I MITÓW

Prof. Ludwik
Stomma



X I I S P U T N I K N A D P O L S K ą FESTIWAL FILMÓW ROSYJSKICH

LUNA
ELEKTRONIK
ILUZZJON
8-18 XI
WARSZAWA

WWW.SPUTNIKFESTIWAL.PL



Dofinansowane ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury;



Dofinansowane ze środków
Ministerstwa Kultury FR;



Współfinansowanie:



Projekt współfinansuje
m.st. Warszawa:



Współfinansowanie Rosja:



Fundacja
"Centrum Rosyjsko-Polskiego
Dialogu i Porozumienia"

Organizatorzy:



CYTATY

JERZY URBAN,
REDAKTOR NACZELNY

Najważniejszym wynikiem wyborów jest zniszczenie przekonania, że obecnej władzy nie można się pozbyć. „Nie”

PROF. MONIKA PŁATEK,
PRAWNIK, UW

Książd, który ogłasza, że obowiązkiem żony jest obsługiwać męża w łóżku, odczłowiecza małżonków. „Wysokie Obcasy”

STANISŁAW TYM,
SATYRYK, AKTOR

Wrzucony do wyborczej zupy gorący kartofel, czyli premier Morawiecki, na parę tygodni przestał rządzić i zaczął samorządzić. „Polityka”

HANNA ZDANOWSKA,
PREZYDENT ŁÓDZI

Od 20 lat żyję w związku partnerskim jak normalne małżeństwo. „Angora”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Święto dla swoich

Chaos i bałagan. W takim stylu „dobra zmiana” wchodzi w drugie stulecie niepodległego państwa. Kto mógł przypuszczać, że właśnie ta władza, ostentacyjnie obnosząca się z patriotyzmem, tak spartoli obchody 100-lecia niepodległości! Przez trzy lata politycy PiS pompowali nastroje i zapowiadali nadzwyczajne obchody. Igrzyska niepodległościowe miały potwierdzić, że rządząca partia ma patriotyzm we krwi. Nadymał się prezydent Duda. Powołano narodowe komitety i sztaby oraz narodowe fundacje. Wydano miliony złotych.

Ośmieszono prezydenta Dudę, negocjując w jego imieniu z organizatorami corocznych burd i zadym na 11 Listopada. Mała, skrajna, rozbestwiona bezkarnością grupka nie zgodziła się na prośby jego kancelarii. Sam fakt, że prowadzono z nimi rozmowy, kompromituje prezydenta i pokazuje, jak niewiele Duda znaczy. Nawet jego krytycy muszą się czuć upokorzeni taką sytuacją.

Mieliśmy rozmaite rządy. Także skrajnie nieudolne. Ale gdy chodziło o igrzyska, to każdy potrafił się sprężyć. Po raz pierwszy mamy władzę, która nawet tego nie umiała zrobić. Stąd pewnie pomysł wolnego poniedziałku 12 listopada.

Mieliśmy już państwo teoretyczne według Bartłomieja Sienkiewicza. I państwo, którego w ogóle nie było, bo Mateusz Morawiecki nie uznaje PRL. No a teraz PiS urządziło nam państwo z dykty. A jakie państwo, takie uroczystości. Najważniejszym punktem obchodów będzie odstonięcie pomnika Lecha Kaczyńskiego. I być może części elity władzy o to właśnie chodziło. Resztę pomysłów potraktowano jako mało ważny dodatek. Święto ma być dla swoich. I będzie. Bo trudno sobie wyobrazić, by obok siebie maszerowały zdradzieckie mordy, drugi sort, donosiciele i zdrajcy oraz ludzie władzy, czyli niezłomni patrioci. Do kogo miałyby być skierowane te fałszywa jedność i teatryk? A co po 12 listopada? Jałowa młódka w obozie post-Solidarności, który zdominował całą scenę polityczną. Zagarnął całą władzę. I prawie całą opozycję. I tak tkwimy w tym beznadziejnym klinczu, który marnuje potencjał Polaków. Blokuje nam szansę na normalne, sprawne państwo.

FAUL

Nasza droga władza

Jak nam się żyje? Dobrze. Trzeba jednak spełnić trzy warunki. Siedzieć przy tradycyjnej Dudowej żarówce. Oczywiście niezapalanej. Ogrzewać się „Wiadomościami” Holecckiej i Ziemca, a dogrzewać TVP Info tow. Marka Króla. I żywić jabłkami, które rząd obiecał kupić od sadowników. Za hojne 15 gr/kg. Ale nie kupić. Można więc je pozbierać. Za darmo. Gorzej mają ci, którzy ogrzewają się tradycyjnie. Od 2015 r. cena gazu wzrosła o 73%, prądu o 65% i wody o 56%. Za energię ciepłą trzeba zabulić 188% więcej. Zresztą co tu pisać? Każdy wie, jak jest.

BAKOWSKI



PUBLICYSTYKA

8 Ludwik Stomma
Rozważania na stulecie

KRAJ

- 12** Kto do władzy i kiedy
PiS zatrzymane, PSL jeszcze żyje
- 15** Belfer od filozoficznego dystansu
Przemek Staroń – Nauczyciel Roku
- 18** To nie jest kraj dla samotnych matek
Nieprzyjazna polityka prorodzinna
- 22** Przeprasza nie będzie
Pani senator nie zgadza się z wyrokiem
- 32** Powolne gotowanie żaby
– rozmowa z Sarą Taylor

ZAGRANICA

- 26** Odwieczna klauzula tajności
Korespondencja z Niemiec
- 29** Coś ty zrobił, Ronaldinho
Wybory prezydenta Brazylii
- 40** Dziecięce gangi trzęsą Neapolem
Młodociani bandyci
coraz bardziej agresywni
- 42** Encyklopedia pod ostrzałem
Wikipedia a wojna informacyjna
- 58** Albo będziesz prostytutką, albo umrzesz
Dzielnica czerwonych latarni w Kalkucie

HISTORIA

- 36** Naczelnik Lubomirski
lub premier Głębiński
Pierwsze twarze II RP mogły być inne

KULTURA

- 44** Niebieskie Chachary
– solidarni jak mało kto
– rozmowa z Cezarym Grzesiukiem
- 48** Kulturalia
- 66** Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918

SYLWETKI

- 50** To jest moja ostatnia wola
Śmierć Zygmunta Freuda

ZDROWIE

- 54** Zeszytywniać okoliczności
Chorzy Polacy bez leku
- 56** Szczepionkowy zaścianek Europy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3** Jerzy Domański
Święto dla swoich
- 21** Jan Widacki
Jaka władza, takie obchody
- 25** Roman Kurkiewicz
Ciszej nad tą setką
- 39** Tomasz Jastrun
Żarówka w głowie
- 47** Ludwik Stomma
Nieśmiertelność
- 53** Edward Mikołajczyk
Prezydent nie słucha Trójki



18
KRAJ

TO NIE JEST KRAJ DLA SAMOTNYCH MATEK
Nieprzyjazna polityka prorodzinna

32
WYWIAD



POWOLNE GOTOWANIE ŻABY
– rozmowa z Sarą Taylor



44
KULTURA

NIEBIESKIE CHACHARY –
SOLIDARNI JAK MAŁO KTO
– rozmowa z Cezarym Grzesiukiem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER/EAST NEWS



JOANNA GÓRSKA o walce z rakiem
Poczet IPN-owców polskich

WIESŁAW KOT
o polskich listopadach
Tatuażysta z Auschwitz

Co wiemy o Polakach, którzy zwykle nie chodzą na wybory?

Być może starsi nie chodzą, bo są mądrzejsi o doświadczenia okresu transformacji. Wiedzą, że nieograniczona prawem władza (dobierana przez kilku „personalnych”) odizolowała się od społeczeństwa i ponosi jedynie odpowiedzialność polityczną. *Carte blanche* dała Solidarność. Ale cóż to za solidaryzm, kiedy wyrzuca się najemcę na bruk za kilka tysięcy długu, a władza bez umiaru łupi publiczną kasę na wynagrodzenia, premie, dodatki, posady w spółkach i podejmuje czasami dziwne, miliardowe zobowiązania finansowe. A co ważne – nie musi mieć kwalifikacji. Żeby zostać kelnerką za minimalną pensję, trzeba znać ze dwa języki i zasady *savoir-vivre*’u. A tu? Z kolei młodszy zostali wychowani na łzawym „patriotyzmie” i w katechetycznej szkole. Może nie chodzą na wybory, bo nie umieją się podpisać?

Dorota Kaczmarek

Mam znajomych (również bliskich), którzy nie głosują, bo wychodzą z założenia, że żaden polityk nie jest ideowy i dba wyłącznie o własne interesy. Na moje argumenty, że nie głosując, utrwalają ten stan, reakcja jest jedna: „No co ty? Ze sztaendarami chcesz chodzić?”. Chcę. I co najciekawsze, to są ludzie wykształceni. Dysputy na temat przerywania ciąży też nie robią na nich wrażenia. Cytat: „I tak nie mamy na to wpływu”. Wszystko opada.

Ewa Gojawiczyńska

Pytanie: Co wiemy o Polakach, którzy zwykle nie chodzą na wybory?

OD KIM MINIMALIZUJEMY. W tym numerze PRZEGŁĄDU, który ma być nie tylko przeglądem, ale przede wszystkim polemiką, chcemy przedstawić kilka problemów, które dotyczą Polaków, którzy nie chodzą na wybory. W tym numerze PRZEGŁĄDU, który ma być nie tylko przeglądem, ale przede wszystkim polemiką, chcemy przedstawić kilka problemów, które dotyczą Polaków, którzy nie chodzą na wybory.

Prawdziwy inteligent

Prawdziwy inteligent nie nadużywa słów uważanych za wulgarne, ale może się nimi posługiwać wtedy, kiedy jest to konieczne, aby wyrazić swoje emocje. Człowiek, który nie korzysta z tego przywileju, jest purytańskim półinteligentem uwikłanym w nieżyłciowe, pozbawione emocjonalnych akcentów, a więc nudne obyczaje. Tak rozumiałem felieton Ludwika Stommy „Uroki języka ojczystego” z 43. numeru PRZEGŁĄDU.

Grzegorz Ulman

Drodzy Czytelnicy,

Za ten numer PRZEGŁĄDU zapłacili Państwo 6,80 zł, złotówkę więcej niż dotychczas. Nie podnosiliśmy ceny ponad pięć lat, od kwietnia 2013 r., choć w tym czasie podróżowało prawie wszystko. Dodatkowo jeden z dużych kolportatorów od dłuższego czasu zalega nam z zapłatą za sprzedane egzemplarze. Wiemy, że podwyżka stanowi obciążenie dla Państwa budżetu, dlatego nie podnosimy ceny prenumeraty redakcyjnej. Mamy nadzieję, że mimo nowej ceny pozostaną Państwo naszymi Czytelnikami.

Redakcja

ZDJĘCIE TYGODNIA



Granica Meksyk-USA w Tijuanie, miasteczko zwanym bramą Meksyku.



PYTANIE TYGODNIA

Co jest największym zbiorowym osiągnięciem Polaków w stuleciu?

DR HAB. ANDRZEJ LEDER,
filozof kultury, psychoterapeuta, PAN

Jest nim rozciągnięta na trzy pokolenia epopeja emancypacyjna ludu. W 1918 r. ogromna część społeczeństwa była wyłączona ze stanu obywatelskiego – nie przez prawo, bo mieliśmy jedną z najbardziej postępowych, napisaną pod ogromnym wpływem socjalistów konstytucję – lecz przez nędzę, materialną i tę dotyczącą sfery niematerialnej. Kolejne etapy – mobilizacja ludu w okresie wojny 1920 r., wielkie strajki chłopskie w roku 1937, alfabetyzacja, zaczątki industrializacji jeszcze w II RP, reforma rolna z lat 1944-1946, a także dalsza scholaryzacja i upowszechnienie dostępu do medycyny (paradoksalnie w najbardziej ponurym okresie stalinowskim), industrializacja (raczej chybiona) i urbanizacja (udana) przed 1956 r., powolne wyłanianie się nowego mieszczaństwa do 1989 r. i jego polityczne zwycięstwo, utrwalone jako trwająca do dziś dominacja klasy średniej w życiu politycznym i społecznym – wszystko to przeniosło polskie społeczeństwo z „przedłużonego średniowiecza” w obszar „dylematów średniego rozwoju”. Mimo wszystko bezcenne.

PROF. ANDRZEJ LEON SOWA,
historyk, członek PAU

Dość pesymistycznie patrzę na polskie osiągnięcia w ostatnich latach. Wydawało mi się, że społeczeństwo chce demokracji, a obecnie nie bardzo to widać. Miałem wrażenie, że Polacy dojrżeli do budowy demokratycznego kraju, w którym będzie można swobodnie się rozwijać i nawiązywać łączność z Europą. Tak jednak, niestety, się nie stało. Wniosek z tego, że niewiele się uczymy z własnej historii.

PROF. ROCH SULIMA,
kulturoznawca, historyk i antropolog kultury, Uniwersytet SWPS

Chciałbym spojrzeć na polskie stulecie nie tyle z perspektywy podrechnikowego kanonu, gdzie liczy się wysiłek integracji społeczeństwa po zaborach, Polskie Państwo Podziemne czy Solidarność, ile pod kątem doświadczenia rodzinnego czy wręcz prywatnego. Musi zastanawiać, jak wyniszczone po wojnie młode państwo stać było na budowę w pierwszym dziesięcioleciu sieci szkół na odległej prowincji. Zniknął za oknem, mówiąc symbolicznie, krajobraz ziem-

niaczano-żytni (choć związana z nim mentalność nadal daje o sobie znać). Po wejściu do UE zniknęły słynne polskie drogi. Wcześniej odparliśmy hitlerowskiego najeźdźcę, nie daliśmy sobie narzucić kołchozowego sposobu życia. Gołym okiem widać, że wyrównują się standardy cywilizacyjne, ale dla mnie najbardziej charakterystyczny dla stulecia niepodległości jest „polski cud przedsiębiorczości” z ostatnich dekad.

KAMIL ŁUKASZEK,
czytelnik PRZEGŁĄDU



Odtworzenie państwowości po horrorze II wojny światowej. Odbudowa Warszawy i Wrocławia. Stworzenie Nowej Huty. Odtworzenie przemysłu. Elektryfikacja. Stworzenie infrastruktury komunikacyjnej. Bezprecedensowy awans społeczny milionów Polaków w dwóch pierwszych powojennych dekadach. Stworzenie w miarę egalitarnego społeczeństwa. Krótko: naszym największym osiągnięciem w stuleciu jest to, czego najbardziej się wstydzimy.

Not. Michał Sobczyk

ROZWAŻANIA NA STULECIE

Larum grają! Silna lewica to nie naiwne mrzonki, to zbiorowy obowiązek

Ludwik Stomma

Każdy historyk piszący dzisiaj o lewicy polskiej po roku 1918 będzie musiał stawić czoła problemowi PRL – okresu państwowości powszechnie teraz opluwanemu, a nawet (Mateusz Morawiecki) spychanemu w niebyt. Wbrew zasadom chronologii zacznijmy więc właśnie od niego.

SZUKANIE PÓL SWOBODY

PRL nie powstała z polskiej woli. Stworzyli ją nasi „sojuszniczy”, oddając Polaków w pacht zwycięskiemu Stalinowi. Gdyby Moskwa

powstania styczniowego 1863 r. margrabia Aleksander Wielopolski usiłował tłumaczyć Polakom, że Rosja może pójść na wiele ustępstw, ale nie na przywrócenie granic sprzed pierwszego rozbioru. Andrzej Zamoyski i jego stronnictwo nie chcieli go słuchać, „czerwoni” tym bardziej. Wiadomo, z jakim skutkiem. Po II wojnie sytuacja poniekąd się powtórzyła. Wiadomo było, że Stalin nigdy nie zrezygnuje ze „scalenia ziem ruskich” i oprze granice na wymyślonej skądinąd przez Anglików linii Curzona. Nie chciał tego przyjąć do wiadomości rząd londyński, więc sam poniekąd wyłaczył się z gry. W zamian za ziemie wschodnie nadał Stalin

bardziej uzależniając kraj od Związku Radzieckiego, który stawiał się gwarantem polskiego bezpieczeństwa. Nie mogło być klarowniejszej sytuacji. „Sojusznicy” doskonale zdawali sobie sprawę, że w nowej Polsce zaprowadzony zostanie taki ustrój, jakiego zażyczy sobie Kreml, a więc odwzorowany mniej czy bardziej na modelu radzieckim. Nie chcieli tego przyjąć do wiadomości „żołnierze wyklęci”, wierząc głupio w III wojnę światową i mając się antyradzieckiej partyzantki, zanim nie zbandycieli w beznadziei. Na razie zaś tylko zastrzelili działania Armii Czerwonej. Można czuć sympatię do samobójców, lecz ci byli dodatkowo szkod-

Gdyby Moskwa chciała zrobić z Polski 17. republikę, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zadowolilyby się notami protestacyjnymi.

chciała zrobić z Polski 17. republikę radziecką, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zadowolilyby się ewentualnymi notami protestacyjnymi bez podejmowania jakichkolwiek realnych działań politycznych, a tym bardziej militarnych. Sprawy były przesądzone. Przed wybuchem

Rzeczypospolitej lwią część Prus i tereny niemieckie aż po Odrę, ze Szczecinem i Wrocławiem włącznie. Było to zapewne korzystne dla Polaków z ekonomicznego czy społecznego punktu widzenia, ale prowadziło do nieuniknionej konfrontacji z niemieckim rewizjonizmem, tym

nikami. Nie przeceniajmy jednak znaczenia epizodycznego zbrojnego oporu. Jediną realną polityką, jaką mogły uprawiać polskie władze, było manewrowanie w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Toteż racjonalnie oceniać można ich działania nie w odniesieniu do abstrakcyjnych



Przedstawiciele państw ententy po podpisaniu traktatu wersalskiego, 28 czerwca 1919 r. Nz. na pierwszym planie od lewej m.in. prezydent USA Thomas Woodrow Wilson, premier Francji Georges Clemenceau i minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Arthur James Balfour.

Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt i Józef Stalin podczas konferencji w Jałcie, luty 1945 r.

wymogów wolności, niepodległości itd., ale wyłącznie rozliczając z tego, na ile umiały wykorzystać poszczególne pola swobody i „szare strefy” istniejące w radzieckim dyktacie. Istniały one, gdyż władztwo moskiewskie w Polsce nigdy nie było okupacją, a tylko przymusowym włączeniem w krąg radzieckiej dominacji, co pozostawiało właśnie

Miłosza) entuzjastycznych neofitów. Stanowili oni jednak zdecydowaną mniejszość. Głos decydujący, przynajmniej w latach stalinowskich, mieli ludzie możliwi do zaakceptowania przez Związek Radziecki, co rozciągało bazę władzy (i trudno tu nieraz oddzielić ziarno od plew) na znaczną liczbę socjalistów, działaczy chłopskich i robotniczych, oportunistów,

darowywaniu ziem zachodnich, idee z lewicowego katechizmu: powszechny dostęp do oświaty, alfabetyzacja, uprzemysłowienie kraju, rozdział Kościoła od państwa, reforma rolna itd. Po październiku 1956 r. wypaczenia polityczne zostały znacznie złagodzone, w działaniach społecznych wprowadzono korekty (np. całkowite wycofanie się z wcześniejszych prób

W obszarze społecznym PRL realizowała idee z lewicowego katechizmu: powszechny dostęp do oświaty, alfabetyzację, uprzemysłowienie kraju, rozdział Kościoła od państwa, reformę rolną.

możliwość manewrów, większą lub mniejszą w zależności od meandrów politycznych i ewolucji ustrojowej w samym ZSRR. Nie sposób więc, wbrew dzisiejszej propagandzie przedstawiającej PRL jako dziwaczny monolit, utożsamiać przedpaździernikowej PRL z popaździernikową, gierkowską albo jaruzelską.

Czy w PRL rządzą komuniści? Jest to pytanie złożone. W okresie międzywojennym Komunistyczna Partia Polski była ugrupowaniem marginalnym, przetrzebionym dodatkowo przez Stalina. Po wojnie jej aktywność – już jako Polskiej Partii Robotniczej – rozszerzył się o kierujących się różnorodnymi motywacjami (vide „Zniewolony umysł” Czesława

idealistów, spółdzielców, nawet niektórych księży, faszyzującego katolika Bolestawa Piaseckiego, śniącego o narodowej dyktaturze Zygmunta Berlinga czy nienawidzącego z czysto akurat osobistych powodów przedwojennych porządków Michała Rolę-Żymierskiego.

Czy były to rządy lewicowe? Odpowiedź jest znowu trudna. Na pewno nie, jeśli chodzi o warstwę polityczną: brak wolności słowa i demokracji, centralizację władzy, rozbudowywanie agresywnego aparatu bezpieczeństwa, nomenklaturę... Inaczej w obszarze społecznym, gdzie realizowane były w znacznej mierze, nie wspominając o sprawnej odbudowie kraju z wojennych zniszczeń czy zagospo-

przymusowej kolektywizacji wsi), nastąpiło przełomowe zwiększenie swobód twórczych, co zaowocowało m.in. polską szkołą filmową, polską szkołą plakatu itp. Lata gierkowskie to normalizacja stosunków z Kościołem, postępujące otwarcie na Zachód...

Dorobku PRL nie można ocenić jednoznacznie. Na pewno nie zasługuje na forsowane dzisiaj potępienie. Zauważyć w nim można natomiast rzecz charakterystyczną. Jego pozytywne strony ujawniały się z reguły wtedy i tam, gdzie zdołała sobie utorować drogę myśl republikańsko-lewicowa. Przypomnijmy również, że pierwszymi (wyłączając czasy bezpośrednio powojenne) konsekwentnymi opozycjonistami wobec nadużyć i autorytarnych zapędów władzy byli w kraju ludzie lewicy: Jan Józef Lipski, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Władysław Bieńkowski... Społeczne osiągnięcia PRL uznawał także i doceniał kard. Stefan Wyszyński. Dzięki nim poniekąd powstała też Solidarność, gdyż robotnicy w 1970, 1976 i 1980 r. nie byli już analfabetami i owymi „duszami nieufnymi, spod między wyrwanymi, wpół rozbudzonymi i wpół obłąkanymi”, jak pisał Adam Ważyk w „Poemacie dla dorosłych”. PRL wciągnęła ich w obieg kultury narodowej. I jeszcze jedno. Wspominał Stanisław Cat-Mackiewicz, że kiedy w okresie międzywojennym pytano o chłopów na polskich uniwersytetach, padały nieodmiennie nazwiska Pigoń i Chałasiński, zawsze i tylko. Innych nie było. Niektórzy przypominali sobie jeszcze Bystroń, ale ten był ze Śląska Cieszyńskiego, a to wysoce specyficzna sprawa. W 1989 r. odziedziczyła nowa Polska uczelnie z kadrami w ponad 50% pochodzenia chłopskiego i robotniczego. O czymś to jednak świadczy.



► LEWICA KONTRA DYKTATURA

Cofnijmy się teraz w czasie. Po wyborze Gabriela Narutowicza na urząd prezydenta II Rzeczypospolitej 9 grudnia 1922 r. prawica rozpętała w Warszawie istne terrorystyczne pandemonium. Miało ono na celu obalenie elekta i w dalszej kolejności przejęcie dyktatorskiej władzy. 16 grudnia Narutowicz zostaje zamordowany. Przelewa to czarę cierpliwości lewicy. Zorganizowane szeregi robotników, pod dowództwem Rajmunda Jaworowskiego, przewodniczącego warszawskiego okręgu Polskiej Partii Socjalistycznej, ruszają z przedmieść do centrum. Znosi się na straszliwy odwet, jeżeli nie wojnę domową. Jej groźba zostaje jednak powstrzymana z niespodziewanej poniekąd strony. Oto przybywszy w ostatniej chwili na zebranie organizatorów, Ignacy Daszyński rzuca na szalę cały swój wielki autorytet, aby powstrzymać akcję. I chociaż gniew robotników nie maleje, do przelewu krwi nie dochodzi. Skądinąd przestraszeni endecy spuszczają z tonu i wybór kolejnego prezydenta Stanisława Wojciechowskiego odbywa się już we względnie spokojnym. Owe grudniowe wydarzenia 1922 r. mogą być symbolem roli, jaką odgrywała lewica w życiu politycznym okresu międzywojennego. Nie doszła nigdy do władzy, gdyż premierostwa Ignacego Daszyńskiego (7-17 listopada 1918 r.) i Jędrzeja Moraczewskiego (od 17 listopada 1918 r. do 16 stycznia 1919 r.) miały bardzo ograniczone możliwości i stanowiły przede wszystkim manifestację odrodzonej państwowości. W następnych

PPS stawiała opór zapędom prawicy, w tym klerykalizmowi, antysemityzmowi, nacjonalizmowi, wyzyskowi klas pracujących.

latach PPS konsekwentnie stawiała opór zapędom prawicy, w tym oczywiście klerykalizmowi, antysemityzmowi, nacjonalizmowi, wyzyskowi klas pracujących. W 1926 r. na fali złudzeń związanych z rodowodem politycznym Józefa Piłsudskiego lewica (nawet KPP) poparła zamach majowy. Rozczarowanie nastąpiło szybko, zmuszając ją do powrotu do zasadniczej roli obrońcy demokracji i do walki o sprawiedliwość społeczną, co nie było w latach 1918-1939



Obrady Okrągłego Stołu, 5 kwietnia 1989 r.

próżnymi słowami. Skazywało ją to coraz bardziej na walkę na dwa fronty – tradycyjnie z prawicą, ale także z coraz wyraźniejszymi tendencjami dyktatorskimi w obozie sanacyjnym. Za

Społeczne osiągnięcia PRL uznawał i doceniał kard. Stefan Wyszyński.

to ostatnie płaciła nieraz wysoką cenę. Przypomnijmy choćby osadzenie w nieludzkich warunkach w twierdzy brzeskiej bestialsko pobitego w drodze

materialnie, gdyż Żoliborz był osiedlem spółdzielczym, a spółdzielczość organizowała i wspomagała w Polsce lewica z PPS na czele. Duchowo, gdyż była to inteligencja wychowana w szkołach świeckich i zdecydowanie antynacjonalistyczna, w znacznej mierze antyklerykalna. Uparcie upominała się też lewica o owe świeckie szkolnictwo, prawa kobiet (Tadeusz Boy-Żeleński, Irena Krzywicka itd.), występowała przeciw megalomanii narodowej (Jan Stanisław Bystroń), wspierała ruchy robotnicze i strajki chłopskie. Warto przy tym podkreślić, że mimo reprezentowania gorących nierzaz żywiołów starała się zawsze, dopóki było to możliwe, odwoływać do dialogu i poszanowania przeciwnika. Stara galicyjska anegdota opowiada, jak w 1914 r. wyjeżdżał Ignacy Daszyński na obrady parlamentu wiedeńskiego. Na dworcu krakowskim zegnali go z czerwonymi sztandarami śpiewający „Międzynarodówkę” robotnicy. Daszyński stał w oknie przedziału, podnosząc zaciśniętą w pięść rękę. Gdy pociąg ruszył, przeszedł do sąsiedniej salonki, którą jechali postowie konserwatywni. „A teraz, panowie hrabiowie, możemy chwilowo odłożyć na bok politykę i zagrać w brydża”. Niestety, z latami niepodległości ten obrazek stawał się coraz bardziej wyblakły. W latach 30. spotykały lewicę ciągłe próby marginalizacji i coraz

do więzienia Hermana Liebermana, Norberta Barlickiego, Adama Pragiera, Stanisława Dubois, Mieczysława Mastka, Adama Ciołkosza... Nie zmieniło to jednak nigdy ich postawy.

Najważniejszym polem działania lewicy w II Rzeczypospolitej były sprawy społeczne. Nader wpływowy dzisiaj polityk mówi z dumą (o dziwo), że wywodzi się z „inteligencji żoliborskiej”. Czy zdaje sobie sprawę, że zarówno materialnie, jak i duchowo odwołuje się do dorobku polskiej lewicy? Ma-

częściej przemoc. Ukształtowało to w znacznym stopniu postawę niektórych przedstawicieli lewicy po wojnie.

LEWICA – WIELKA NIEOBECNA

Przełomowy rok 1989 wbrew temu, że aż prosiło się o to, by wszyscy wyszli na pokład, nie przyniósł jedności narodowej. Polska wkraczała na

(czy jedynie?) agentem zdrajcą. Lewicowy rząd nie tylko nie zdobył się na obronę dorobku PRL, ale nawet nie miał odwagi przeciwstawić się choćby najjaskrawszemu rozpowszechnianym o niej kłamstwom. Tolerował rosnącą arogancję Kościoła, przymykał oko na bezkarność nacjonalistycznych ekscesów, wspierał postępującą liberalizację gospodarki ze wszystkimi jej

wi kuriozum i pośmiewisko w skali światowej, przez „związki zawodowe”. Gdzieś między nimi pojawia się partia chłopska. Trzeba lunety, żeby zobaczyć lewicę. A jednak ta lewa noga, jak mówił Lech Wałęsa, jest Polsce potrzebna i konieczna. Nie tylko dla równowagi, chociaż pisał Cyprian Kamil Norwid: „Kto jedną nogę ma długą jak oś globowa, a drugiej nogi wcale nie ma, ten – o! – jakże ułomny kaleka jest!”. I nie tylko po to, żeby oczyścić ojczyste podwórko z kłamstw i majaczącego bezprawia. Konieczna jest lewica, by walczyć o swój elementarny i po 100 latach wciąż aktualny program: równość społeczną, oddzielenie Kościoła od państwa, wolność obywatelską i twórczą, pomoc nieszczęśliwym z innych krajów... Dzisiejsza polska władza ma haniebny

Przełomowy rok 1989 nie przyniósł jedności narodowej.

drogę wolności i demokracji, czyniła ogromny krok naprzód. Jednocześnie od pierwszych chwil zabrzmiało hasło dekomunizacji, czyli unicestwiania wszystkiego, co związane z „niesławą” PRL. Było to hasło perfidne, gdyż jego głosiciele wiedzieli doskonale, że poza okresem 1945-1956 (a i to dyskusyjne) nigdy komunizmu w Polsce nie było, co najwyżej *Realsozialismus* – jak to określano na Zachodzie. Zawarty w nim „komunizm” był po prostu obelgą i miał pomieszać PRL z łagami, Katyniem, Stalinem... Po części zresztą to się udało, czego dowodem używanie dzisiaj powszechnie w miejsce PRL pojęcia „komunistyczna Polska”, „czasy komunizmu” itp. W imię antykomunizmu zabrano się do zmieniania nazw ulic, burzenia pomników, przerabiania i fałszowania historii „na odwyrtekę” przez propagandystów z IPN, podpisanie wiernopoddanego konkordatu, a także przeprowadzania bezsensownych reform, np. szkolnictwa, którą dzisiaj równie bezsensownie odkręcamy. Nie był to może główny nurt globalnie słusznych i szczęśliwych przemian, wystarczająco jednak dotkliwy, żeby ludzie wykształceni i uczciwie pracujący w PRL poczuli się plugawieni i marginalizowani. Na tej fali po demokratycznych wyborach lewica, pomimo urągającej i kłamliwej etykiety postkomunistów, wróciła w III Rzeczypospolitej do władzy. Zrobiła sporo dobrego, zwłaszcza przyczyniając się do wejścia do europejskiej rodziny. Oprócz tego jednak i oprócz mądrej, wyważonej prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego co zobaczyli wyborcy? Czołowych polityków lewicowych na kolanach w Częstochowie, lewicowego premiera głoszącego dobrodziejstwa podatku liniowego, partycypującego w uctach wydawanych przez gdańskiego prałata milionera, pijącego herbatki z amerykańskim

konsekwencjami uderzającymi w zasady równości społecznej. Co z tego, że nie był w tym wszystkim gorszy od poprzedników i następców, skoro nie zdobył się nawet na to, by być po prostu inny? Lewicowe ideały zostały zapomniane i podeptane. Logicznie

W III RP lewica wróciła do władzy i zrobiła sporo dobrego, zwłaszcza przyczyniając się do wejścia do europejskiej rodziny.

w następnej konsultacji wyborczej przyszła totalna klęska.

I tak w drugie 100-lecie po odrodzeniu Polski w roku 1918 wchodzi Rzeczpospolita praktycznie bez zorganizowanej lewicy, która z trudem stara się uleczyć swój przetrącony kręgosłup. Mamy w tej chwili w Polsce skrzydło prawicowo-liberalne i klerykalno-nacjonalistyczne, wspierane, co stano-

zwyczaj obciążania dzieci winami lub rzekomymi winami ich ojców (resortowe dzieci, dziadek z Wehrmachtu). Nie wolno temu się poddawać. Nieważne są błędy ojców. Nadszedł czas wyzwań, które nowa lewica musi podjąć. Bo jak 100 lat temu znowu larum grają. Silna lewica to nie naiwne mrzonki, to zbiorowy obowiązek.

Ludwik Stomma



www.dziecisos.org

Lekcję życia odrabiam sam

Wojtuś, 8 lat

Opuśzczone i osierocone dzieci zaczynają życie bez rodziców. Nie czują się kochane, nie czują się potrzebne. Za mamą i tatą tęsknią każdego dnia. Trudno wtedy odrabiać lekcje, ale jeszcze trudniej iść przez życie. Pomóż nam otoczyć porzucone dzieci miłością w zastępczych rodzinach SOS i wyrównać ich szanse edukacyjne.

Prosimy, przekaż darowiznę na konto
07 1240 6247 1111 0000 4975 0683
i pomóż na www.dziecisos.org

Patronat medialny:






KTO DO WŁADZY I KIEDY

No to po wyborach: PiS zatrzymane, tylko nie wiadomo przez kogo



Czas posprzątać po wyborach. Wybrany na prezydenta Wrocławia Jacek Sutryk usuwa wyborcze banery.

Robert Walenciak

Te wybory, przeprowadzone po trzech latach posuchy, miały podwójne znaczenie. Po pierwsze, miały wyłonić władze samorządowe – prezydentów i burmistrzów miast, wójtów, sejmiki wojewódzkie, rady powiatów, gmin i dzielnic. Po drugie, miały być czymś w rodzaju superpersonażu bądź próby generalnej przed wyborami parlamentarnymi, które będą za rok.

I jak to wszystko wypadło? Na pewno nie tak, jak słyszymy ze sztabów wyborczych – że był sukces. Wybory pokazały bowiem kilka istotnych tendencji, dotyczących zarówno polskiej polityki i stanu samorządów, jak i przyszłorocznych wyborów. Wesoło nie jest.

WIĘCEJ CZY MNIEJ

Wesoło nie powinno być w Prawie i Sprawiedliwości. Bo PiS zostało zatrzymane. Trzy lata temu, w wyborach parlamentarnych, miało 37,5%, teraz w wyborach do sejmików wojewódzkich otrzymało 34%. W realu to 450 tys. głosów mniej.

Co więc się okazuje? Partii, która ma wszystko – władzę, pieniądze, koniunkturę gospodarczą, media publiczne, poparcie Kościoła, nieporadną opozycję – nie rośnie, lecz maleje.

Wiem, wiem, zaraz co poniektórzy mi wypomną, że źle porównuję, że powinienem obecny wynik PiS przyłożyć do tego sprzed czterech lat, z poprzednich wyborów samorządowych. I wtedy okaże się, że urosło z 27% do 34%. Tylko że właśnie takie porównanie byłoby błędne.

Po pierwsze, wybory w roku 2014 były wypaczone. Wynik ześpota słynna książeczka, która spowodowała, że mieliśmy rekordową liczbę głosów nieważnych (17%!) i że PSL, które było na pierwszej stronie owej książeczki, otrzymało za to bonus, dostając niewiarygodne 23% głosów. Zdaniem badaczy było to ok. 700-800 tys. głosów z górką. Czyli PSL powinno wówczas mieć 15-17%.

Po drugie, między wyborami w 2014 r. i 2015 r. były wybory prezydenckie, które zmieniły kraj. Jesień 2015 a jesień 2014 to już inna epoka polityczna.

Po trzecie wreszcie, jak tłumaczą eksperci, nastąpiło unarodowienie wyborów samorządowych, więc wyborcy traktowali je jako kolejny rozdział międzypartyjnej wojny.

Zresztą w ten sposób te wybory traktowało również PiS. Nie ukrywając, że jego głównym celem jest wyzerowanie PSL, zepchnięcie ludowców na poziom jednocyfrowy. Taki był przekaz pisowskich mediów, taki był lejtmotyw kampanii premiera Morawieckiego: walimy w PSL. I to PSL się obroniło. Owszem, jest mocno poranione, straciło ważne dla swoich wpływów sejmiki, świętokrzyski i lubelski, ale żyje.

Lejtmotywną kampanii Morawieckiego było: walimy w PSL. A PSL się obroniło, jest mocno poranione, ale żyje.

Drugim celem PiS było kilka zwycięstw w dużych miastach, a przynajmniej ładne pojedynki w drugich turach. To się nie udało, czego symbolem był krach w Warszawie Patryka Jakiego. I mobilizacja antypisowskiego, mieszczańskiego elektoratu.

PiS zostało zatem z wynikiem 34% do sejmików. I ma nad czym myśleć. Bo jeśli dostanie tyle za rok, a przecież mu nie rośnie, to straci władzę. Niepisowska opozycja będzie miała więcej.

CZEGO BOI SIĘ KACZYŃSKI

Zdaje się, że ta prosta prawda dotarła już do wszystkich. W ministerstwach, w spółkach skarbu państwa, w służbach mundurowych, wszędzie tam, gdzie po wyborach następuje albo może nastąpić wymiana, ludzie już wiedzą.

Taka sytuacja jest potwornie niekomfortowa dla władzy. Każdy pracujący w instytucji państwowej zaczyna się zastanawiać: a jak przyjdą nowi, co ze mną będzie? Będą rozliczać? Będzie kop za drzwi i wilczy bilet? To może lepiej się nie narażać? Unikać niektórych decyzji? Może lepiej zawczasu wkupić się w łaski przyszłej władzy?

Ten mechanizm III RP przerabiała już parokrotnie, więc wszyscy wie-

się atmosfera, pojawią się uśmieszki za plecami, a ci z poprzedniego rozdania, którzy jeszcze gdzieś zostali, patrzeć będą na mianowanych przez PiS jak na chodzące trupy. Taka po prostu jest Polska. Tu nie jest ważne, czy się rządzi, czy nie – chodzi o to, czy ludzie słuchają.

Oczywiście Jarosław Kaczyński zna ten mechanizm doskonale, przy każdej nadarzającej się okazji trąbi

zatem o wielkim zwycięstwie PiS i świetlanej pisowskiej przyszłości. W ten sposób chce zakrzyczyć fakty.

Jednocześnie toczą się już na szczytach PiS dyskusje, co dalej. Bo skoro wiadomo, że obecny kurs prowadzi na rafy, może należy go zmienić? Ale na jaki? Na twardy czy na łagodny? Doły partyjne i bracia Karnowscy wołają, by iść twardym kursem. Szczegółowe rady są różne: zabrać dużym miastom pieniądze, przejąć media, np. Radio Zet, i oddać pisowskim dziennikarzom, gnębić Platformę kolejnymi komisjami, pokazać siłę w sporze z Unią itd. Góra rządzącej ekipy skłania się zaś ku taktyce przeciwnej. Wystarczy posłuchać Kaczyńskiego albo Morawieckiego. Wołają, że są łagodni, że chcą się porozumiewać, zakładać koalicje, kochają Unię Europejską, że żaden poexit. Zobaczmy, którą opcję wybierze Kaczyński.

SCHETYNA TEŻ STRACIĆ

Prezesowi może być o tyle łatwiej, że ma asa w rękawie. Tym asem jest stan opozycji. O tym, że jest kiepski, świadczą choćby słowa Beaty Mazurek: oni w PiS nie walczą z opozycją, dla nich opozycja nie jest przeciwnikiem, dla nich przeciwnikiem są media. Te liberalne.

Wiele to mówi o podejściu rządzących do opozycji, ale wyniki wyborów potwierdzają tę sytuację.

Koalicja Obywatelska uzyskała w wyborach do sejmików wojewódzkich niespełna 27% głosów. Czyli również się cofa. Trzy lata temu w wyborach parlamentarnych PO zdobyła 24% głosów, Nowoczesna – 7,6%, no

i trzeba do tego dorzucić jakieś głosy Barbary Nowackiej, która w tamtych wyborach była liderką listy Zjednoczonej Lewicy i jej kandydatką na premiera.

Spokojnie można mówić, że trzy lata temu formacja liberalna gromadziła 32-34% głosów. A teraz ma o jedną piątą głosów mniej! I to w sytuacji wielkiego poparcia mediów liberalnych, wykreowania kampanii jako sporu między tymi, co chcą pozostać w Europie, a tymi, co chcą Polskę z niej wyprowadzić, jako bez mała ogólnonarodowego referendum PiS kontra KO. Przy tak wielkim wysiłku wynik KO to też klapa. Lubnauer i Nowacka wiele głosów nie przyniosły. Garstkę tak naprawdę, jak to paprotki. Liberalowie są więc także w mało komfortowej sytuacji.

Bo co dalej? W zasadzie udało im się tylko jedno – jeszcze mocniej osłabić lewicę, na czym zawsze liberałom zależało. Ale czy to sukces?

JAJA TO ZA MAŁO

SLD, idąc m.in. w koalicji z Unią Pracy, zdobył w tych wyborach 6,6% poparcia. Można sobie opowiadać, że to dobry prognostyk, ale przecież widać, że projekt SLD właśnie wpada do kosza.

Po klęsce w roku 2015, kiedy Zjednoczona Lewica nie przeszła ośmioprocentowego progu, uzyskując 7,55%, do głosu doszli „patrioci” SLD. Oni wybrali Włodzimierza Czarzastego na szefa i jako „czysty” SLD ruszyli w bój. Tylko że ten bój wyglądał tak, że SLD zyskiwał w sondażach jedynie wtedy, kiedy dyskusja polityczna zaczynała dotyczyć historii – kiedy chciano degradować gen. Jaruzelskiego, kiedy odbierano emerytury byłym funkcjonariuszom służb PRL albo zmieniano nazwy ulic. Gdy dyskusja o historii zanikała – znikał Sojusz. To pokazuje, że jest on partią jednorodną, jednego tematu. Owszem, słusznego, ale jednego. Innych spraw nie potrafi wykreować. Jego lider niczego tu nie zmienił. A deklaracje Czarzastego typu „mam jaja” jakoś wyborców nie chwytają.

Dochodzi do tego jeszcze mikrowynik partii Razem. Lewica ma więc najgorszy rezultat w historii, absolutnie poniżej swoich wpływów. Jeszcze kilka lat temu badacze byli zgodni, że

► ludzi o poglądach lewicowych jest w Polsce 25%. Teraz mówią o kilku-nastu. Ha! W obecnej sytuacji to także siła zdolna zdecydować o wyniku wyborów i kształcie przyszłego rządu. Tylko czy ktoś tych ludzi zbierze?

LEWICA TEŻ POTRAFI

Symptomatyczna jest tu inauguracja projektu politycznego Roberta Biedronia. On jeszcze nawet nie za-

się powstawały lokalne koalicje PiS-PSL i PiS-PO, o których ci oburzeni dziennikarze dyskretnie milczeli.

A jeżeli jesteśmy przy lewicy i jej szansach, warto wspomnieć jeszcze jedną postać – wiceburmistrza warszawskiej dzielnicy Bielany Grzegorza Pietruczuka. Osiem lat temu został wiceburmistrzem z ramienia SLD, kiedy Sojusz był średnio silny i zawierał układy z rządzącą w Warszawie Platformą. Potem, w wyniku różnych roz-

Doły partyjne w PiS i bracia Karnowscy wołają, by iść twardym kursem. Zabrać dużym miastom pieniądze, przejąć media i gnębić PO.

czą, a już wzięty go pod but liberalne media, ewidentnie bojąc się, że może mu się udać. A Biedroń osiągnął sukces – w pierwszej turze na prezydenta Słupska została wybrana jego zastępczyni, przez niego wskazana. On dostał się do rady miasta. Innymi słowy, jego kadencja została przez mieszkańców oceniona pozytywnie. Biedroń w Słupsku wygrał.

Czy stworzy projekt lewicowy? Gra o pełną pulę, sam mówi, że interesuje go stanowisko premiera. Co już samo w sobie brzmi dobrze, bo do tej pory media liberalne wtłaczały nam wszystkim do głowy, że szczytem marzeń lewicy może być koalicja z PO, no i jedno czy dwa ministerstwa.

Najbliższe miesiące zweryfikują projekt Biedronia. W każdym razie lekko mieć nie będzie. To będą zapasy: z jednej strony, z poobijaną lewicą, czy raczej z jej poobijanymi szefami, a z drugiej – z ekipą Schety-

grywek, Pietruczuk został z SLD wypchnięty jako ten niesłuszny działacz. Założył więc własny komitet Razem dla Bieleń. I zaczął ciężką polityczną orkę – obserwowałem go od lat, więc widziałem to dokładnie. Walczył ze spalarnią śmieci, walczył o wyrzu-

Wynik KO to też kłapa. Lubnauer i Nowacka wiele głosów nie przyniosły.

canych lokatorów, o boiska, baseny, biblioteki i park, odwiedzał klub seniora, w całej dzielnicy nie znajdzie się człowieka równie aktywnego jak on. I skutecznego. Teraz wystartował ze swoim komitetem – zdobył 22 tys. głosów, ma dziewięciu radnych (PO ma dziesięciu, PiS – ośmiu), tak oto w tej Warszawie, rzekomo oddanej Platformie, rzekomo podzielonej na dwa, rozbił bank. Można?

tak było, ale ogólnie z głoszeniem tej opinii bym nie przesadzał. Przypominam wynik Koalicji Obywatelskiej – ile było krzyku, że trzeba bronić demokracji, Europy, że to najważniejsze wybory! I co? Tylko 27%. Zsumujmy wynik Koalicji i PiS – to ok. 60%, reszta przypadła innym komitetom. W tym natłoku partyjnej propagandy i agitacji mediów – liberalnych i prawicowych (tu były zgodne...) – że my albo oni i że głos na mniejszy komitet będzie głosem zmarnowanym, 40% Polaków postąpiło inaczej.

Wiem, że niełatwo to dostrzec, bo PO-PiS ma monopol na media – one wprawdzie się zwalczają, biją się między sobą, ale równie zaciekle zwalczają tych, którzy chcą budować coś obok, niezwiązanego z ich obozem. Warto o tym pamiętać. Że jest przestrzeń dla innych inicjatyw. I że PO-PiS to już raczej zmurzała konstrukcja.

ŻÓŁTA KARTKA

A na koniec jeszcze parę zdań o esencji tych wyborów, czyli o prezydentach miast, burmistrzach i wójtach. W tym roku zdecydowanie wygrywali urzędujący wóldarze, jakże często w pierwszej turze.

To niepokojąca tendencja. Wskazuje, że większość wyborców głosowała w ciemno. Wołała zagłosować na pewniaka, tak żeby nie nabroić. Bo on buduje, bo coś robi... Tylko mamy takie czasy (i możliwości, dziękujemy ci, Unio), że dziś wszyscy budują. A trudno uwierzyć, że wszyscy prezydenci i burmistrzowie robią to znakomicie. Że budują to, co najpotrzebniejsze, po dobrej cenie, nie zadłużając...

Sęk w tym, że w społecznościach lokalnych wygasty niezależne inicjatywy, więc coraz trudniej mieszkańcom się dowiedzieć, jak w rzeczywistości radzi sobie ich burmistrz czy prezydent. Bo jak go sprawdzić? Życie lokalne jest też na tyle ubogie, że nie potrafi lansować kontrkandydatów. A jeżeli pojawiają się oni miesiąc przed wyborami, jak mogą o coś zawalczyć, przebić się z jakimś przesłaniem, zaprezentować osobowość?

Te wspaniałe wyniki większości urzędujących prezydentów i burmistrzów to żółta kartka dla samorządów. Warto o tym pamiętać.

Robert Walenciak

Biedroń osiągnął sukces – w pierwszej turze prezydentem Słupska została jego zastępczyni, przez niego wskazana. A on sam jest radnym.

ny, który wprawdzie talentu do pozy-skiwania zwolenników nie ma, ale do utracania rywali – i owszem.

A jak liberałowie potrafią doko-pywać lewicy, pokazuje przykład ko-alicji powyborczej PiS-SLD zawartej w powiecie koneckim w Świętokrzy-skiem. Och, ile było krzyku w me-diach! Ostatecznie SLD z koalicji się wycofał, zresztą słusznie. Ale istot-niejsze jest to, że w tym samym cza-

Różni lewicowi wodzowie powinni teraz pobierać od niego nauki. Bo to jeszcze jeden dowód, że nie plakietka decyduje.

60:40

I kolejna refleksja – słyszę ze-wsząd, że wybory były plebiscy-tem: za PiS lub przeciw. Może w niektórych miastach rzeczywiście

Uroczysta gala Konkursu Nauczyciel Roku odbyła się 9 października w Zamku Królewskim w Warszawie.



BELFER OD FILOZOFICZNEGO DYSTANSU

Powiedzieć o Przemku, że jest fantastycznym nauczycielem i wyjątkowym człowiekiem, to nic nie powiedzieć

Helena Leman

W piątek, 26 października, Międzypokoleniowy Fakultet Filozoficzny Zakon Feniksa w II Liceum Ogólnokształcącym w Sopocie prowadzi Przemysław Staroń, najlepszy nauczyciel w 2018 r. Gabinet U3, w którym odbywają się zajęcia, w niczym nie przypomina szkolnej sali. To uroczą graciarnia, jakiś oldskulowy lokal. Młodzież siedzi w kręgu, w przyjaznym półmroku, na starych kanapach, fotelach, kolorowych kocach. Spóźnieni siadają na podłodze przy drzwiach. Nie ma żadnej sztywności, żadnego stresu, zgłaszania się do odpowiedzi, żadnego „panie profesorze”, czekania na dzwonek. Wszystkie oczy wpatrzone są w nauczyciela. Dziś tematem zajęć jest filozofia średniowiecza: św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu.

– Scholastyka – podkreśla Przemysław Staroń – pokazuje nam, że wiara nie jest absurdem, jak wcześniej uważano za Tertulianem, lecz domaga się oświecenia światłem rozumu. Św. Anzelm mówił: *Fides quaerens intellec-*

tum – wiara poszukująca zrozumienia. Niedawanie pierwszeństwa wierze jest zarozumiałstwem, lecz rozumowe niesprawdzenie tego jest niedbalstwem. Anzelm tworzy swój dowód na istnienie Boga, ale nie szuka potwierdzenia jego istnienia w świecie, tylko niejako wchodzi do ciemnej piwnicy. I tam, bez kontaktu ze światem, udowadnia istnienie Boga. O co pyta Anzelm zamknięty w tej piwnicy?

– O coś doskonałego? – Bartek niepewnie zawiesza głos. – Oczywiście! Anzelm w tej piwnicy dochodzi do wniosku, że cechą pojęcia Bóg jest absolutna doskonałość. A jeśli to słowo oznacza byt doskonały, to temu bytowi nie może niczego brakować, w szczególności przymiotu istnienia. Tomasz z Akwinu, o którym zaraz będziemy rozmawiać, uważał, że nie ma konfliktu między wiarą a rozumem, że wiara i rozum to dwa skrzydła, na których opiera się ludzkie poznanie – tłumaczy Przemysław Staroń.

Magda chciałaby wymienić jeszcze pięć dowodów Tomasza z Akwinu na istnienie Boga, ale musi już iść. Inni mówią więc za nią: poruszyciel, przy-

czyna sprawcza, dowód z konieczności – musi być byt konieczny, żeby mogły istnieć byty przygodne takie jak nasze, dowód z doskonałości, dowód z celowości.

– Świat według Tomasza z Akwinu jest drabiną bytów – dodaje nauczyciel – na końcu tej drabiny jest Bóg, przed nim aniołowie, człowiek jest pośrodku, jako najniższa z istot mających duszę. Według niego człowiek jest *compositum* duchowo-cieleśnym. Tomizm był wybawieniem dla człowieka, gdyż wskazywał, że ciało jest naszą integralną częścią. Jednak do Soboru Watykańskiego II dominowała w Kościele oparta na Platonie myśl św. Augustyna, „że człowiek to grzeszna dusza uwięziona w ciele”. Tomasz przeniósł do swojej etyki arystotelesowskie przekonanie, że człowiek to nie tylko jedność ciała i duszy ale także istota społeczna, że najważniejsze jest dobro wspólne.

Zajęcia kończą się na Williamie Ockhamie. Gdy pojawia się pytanie o tzw. brzytwę Ockhama, głos zabiera Ania: – Na kursach literackich rozmawialiśmy o tym, że nie można ciągle ▶

► wspominać tego samego, należy dążyć do prostoty.

– Filozofia daje nam narzędzia do funkcjonowania w życiu – podsumowuje Przemysław Staroń. – Na przykład brzytwa Ockhama uczy nas: nie mnożmy bytów bez potrzeby. Ta zasada może mieć zastosowanie w literaturze, w nauce, w polityce, w życiu społecznym. Minimaliści mówią: „Zostawiaj tylko te rzeczy, które sprawiają ci radość”. Chcesz ubrać się świetnie, wystrój się, a potem zrezygnuj z jednego elementu.

PRZEWIETRZYĆ UMYŚL

Po wykładzie przy katedrze zawalonych kartkami, książkami, sprzętem komputerowym ustawia się kolejka młodzieży, która chce skonsultować temat pracy na pierwszy etap olimpiady filozoficznej. Święty czas pisania prac, jak tu się mówi, zaczyna się od najbliższego wtorku. Jedna z dziewczyn

czas. – Miło tak posiedzieć, pogadać, odstresować się po całym dniu nauki. Filozofia poszerza nasze poznanie. Dzięki zajęciom jestem w stanie bardziej się otworzyć na drugiego człowieka, lepiej zrozumieć jego zdanie i wizję świata, szanować go mimo różnic – wyjaśnia.

Choć jest dopiero w II klasie liceum, plany ma już sprecyzowane. Będzie studiował nauki społeczne, dziennikarstwo, a może też filozofię. Planuje zdawać maturę z tego przedmiotu. – Olimpiadę traktuję jako formę przygotowania się do matury i sprawdzenia się. Z naszej szkoły w tym roku w olimpiadzie startuje ok. 30 osób. Do finału w kwietniu przeważnie dostaje się kilkoro uczniów, ostatnio finalistami i laureatami zostało nawet dziewięcioro naszych kolegów i koleżanek. Zobaczymy, jak będzie w tym roku – zastanawia się.

– Zamierzam pisać pracę na olimpiadę o filozofii jako terapii społecznej,

znam wspaniałą seniorkę – panią Elżbietę Tatarkiewicz-Skrzyńską, była sanitariuszkę i łączniczkę z powstania warszawskiego – mówi Staroń. – Lidia zaproponowała, żeby zorganizować z nią spotkanie dla naszych uczniów. Było niesamowite. Postanowiliśmy więc jak najczęściej kontaktować ze sobą seniorów i młodzież. Tak narodziły się projekty: Wieczory z kulturą i sztuką, eventy międzypokoleniowe Radość i Magia oraz Kwiaty Europy (Komisja Europejska przyznała nam za nie nagrodę) i Zakon Feniksa.

Dziś na zajęciach Zakonu były dwie seniorki, pani Bogusia i właśnie 94-letnia Elżbieta Tatarkiewicz-Skrzyńska. – Przychodzę na wykłady, bo pobudza ją moje myślenie, są ćwiczeniem dla mózgu, część wiadomości oczywiście umyka, lecz część zostaje. To tu się dowiedziałam, że wciąż siedzę w jaskini – śmieje się pani Bogusia, nawiązując do parabol Platona. Rozmawiamy na schodach, bo musi już lecieć, umówiła się na „ustawkę” z graczami.

W internecie nazywają ją „Babcią Play Station”.

– Normalnie przychodzi na wykłady więcej starszych osób. Nie tylko panie, zagląda też do nas starszy pan. Ale dzisiaj zajęcia wyjątkowo zostały przesunięte o godzinę wcześniej, może nie wszystkim pasowało, do tego pogoda się zepsuła, leje i wieje, a to dla seniorów też trudność – dodaje Kuba.

PUNKT KONSULTACYJNY U DANY

– O ile 94-letnia pani Elżbieta, bratanica filozofa Władysława Tatarkiewicza, jest dla młodzieży przekochaną starszą damą, o tyle Dana jest dla nich babcią do przytulania – mówi Przemysław Staroń. Po drodze na kolejne zajęcia pokazuje mi zabytkowy, secesyjny dworek, w którym mieszka kobieta.

– Wszystko zaczęło się trzy lata temu – opowiada Dana Kamińska. – Podczas ferii zimowych młodzież jak co roku przygotowywała się do olimpiady filozoficznej. Wóże o godz. 15 musiały zamykać szkołę a oni nie mieli gdzie się podziać. Zaproponowałam więc Przemkowi, że mogą się uczyć u mnie, bo mam wolny pokój. I tak zaczęła się ta nasza przyjaźń, a w moim mieszkaniu powstał nieformalny punkt konsultacyjny olimpiady. Gdy zachorowałam na raka, po każdej chemioterapii

Uczniowie cenią w nim otwartość na ludzi, na idee, na inne światy.

czyni pyta, czy mogłaby napisać o reżyserze, którego uznaje za filozofa. – Jeśli to uzasadnisz, nie ma sprawy – odpowiada nauczyciel.

Z ekranu znikają już notatki z dzisiejszego wykładu, prowadzone metodą internetowej grupy Superbelfrów, której jednym z założycieli jest Przemysław Staroń. Na chwilę pojawia się e-dziennik, rubryczki z ocenami.

Kacper jest studentem i absolwentem II LO, przyszedł posłuchać wykładu i pogadać z dawnym nauczycielem. W prezencie przyniósł mu kubek z logo Starbucks, które Staroń zbiera z całego świata.

– Mam dzisiaj tak szalony dzień, że z niczym nie nadążam – usprawiedliwia się Staroń. – To nic nowego. U ciebie tak zawsze – śmieje się Kacper – każdy twój dzień jest szalony.

Maciek, też student, gdańskiej politechniki, wpadł na zajęcia, żeby – jak mówi – tyknąć coś humanistycznego dla oczyszczenia i przewietrzenia umysłu. Misi, która wychodzi z Maćkiem, również bardzo się podoba formuła fakultetu: – Filozofia jest tu jasno tłumaczona, omawiana przystępnym językiem – woła na odchodnym, bo bardzo się śpieszy.

Kuba, który z dwiema koleżankami rezyduje na kanapie przy wejściu, ma

o tym, że ułatwia ona komunikację – dodaje jego koleżanka, Iga. Agnieszka zaś, choć jest już w klasie maturalnej i nauki ma dużo, przysłała po prostu posłuchać. – Pana Przemka mogę słuchać w nieskończoność, trzeci raz już jestem na tym wykładzie, ale za każdym razem jest inaczej. Jeszcze więcej energii i jeszcze więcej pasji w przekazie. Bardzo się cieszymy, że został belfrem roku, trzymaliśmy za niego kciuki, napisaliśmy 300 listów intencyjnych do organizatorów konkursu – podkreśla.

Gdy pytam, co najbardziej cenią w swoim nauczycielu, odpowiadają, że otwartość. – Otwartość na ludzi, na idee, na inne światy. Uczy nas też filozoficznego dystansu wobec tego, co niesie życie, umie przełożyć trudne filozoficzne konstrukcje na codzienność.

DIALOG MIĘDZYPOKOLENIOWY

W zajęciach Zakonu Feniksa w II LO w Sopocie uczestniczą również seniorzy. Pomysł narodził się, gdy Przemysław Staroń zaczął pracę na Psychologicznym Uniwersytecie Trzeciego Wieku prowadzonym przez Uniwersytet SWPS. – W 2011 r. opowiedziałem mojej przyjaciółce, polonistce z naszej szkoły, nieżyjącej już Lidii Dysarz, że

pii dyżurowali przy mnie na zmianę, sprząтали, przynosili zakupy. „Ciociu, ty nie możesz umrzeć” – powtarzali. I dałam radę, choć naprawdę było już źle. Teraz muszę żyć dla nich.

W czerwcu tego roku, zaraz po rozdaniu świadectw, zabrali się do malowania jej mieszkania. Aby dodać Danie energii do życia, wszystkie drzwi pomalowali na soczystą czerwień, do pokoju, w którym mają zajęcia, kupili także czerwoną kanapę na OLX. Nawet jej kota rozpuścili do niemożliwości.

– Wcale nie musieli tego wszystkiego robić, sami mają wiele zajęć i problemów – dodaje pani Dana. – Opowiadają o swoich nieporozumieniach z rodzicami, o kłopotach w szkole,

sionej, zahukanej, zamkniętej w sobie kobiety po sześćdziesiątce stałam się pewną siebie osobą, poznałam swoją wartość. I jestem przekonana, że gdyby zaczęło się coś złego z moim zdrowiem, to Przemek z dziećmi zorganizowałoby pospolite ruszenie, aby mi pomóc, tak jak w przypadku Lidii Dysarz.

ZMIENIAMY SYSTEM ODDOLNIE

„Powiedzieć o Przemku, że jest fantastycznym nauczycielem i wyjątkowym człowiekiem, to nic nie powiedzieć. Przemek Staroń to postać prawdziwie renesansowa o niepoliczalnej

Ze względu na to bliski jest mu fiński model edukacji, a nie pruski, który w Polsce trzyma się mocno. – Nie chodzi o to, aby kopiować Finów, lecz aby stworzyć własny system oparty na porządnych badaniach. Ale władzy nie zależy na tym, żeby szkołę opuścili rzesze ludzi krytycznie myślących. Państwo zaś ma w tym interes – podkreśla.

Aby nie mnożyć już bytów – recept na poprawę polskiej edukacji, proponuje: – Zmieniamy system oddolnie. Dzięki grupom pasjonatów, takich jak Superbelfrzy, a także ludziom, którzy działają w ciszy, można i trzeba to robić. Niech każdy robi swoje, niech robi rzeczy dobre i niech robi to z pasją. Wierzę, że kropla drąży skałę.

AFRONT

Uroczysta gala Konkursu Nauczyciel Roku odbyła się 9 października w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie. Nie pojawiła się na niej szefowa resortu edukacji Anna Zalewska. – Jeśli to przejaw zerwania współpracy ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, to jest najmniejszy problem – mówił mediom szef ZNP Sławomir Broniarz. – Jest to jednak potężny afront wobec nauczycieli. Niestety, pani minister Zalewska wzorem Ludwika XIV twierdzi: „Edukacja to ja”.

Nagrodzony Nauczyciel Roku Przemysław Staroń zaprosił na scenę swoją rodzinę, partnera, przyjaciół, dyrektora, uczniów, seniorów, rodziców uczniów, pozostałych Nauczycieli Roku. – Chciałbym poprosić wszystkich was, którzy tutaj przyjechaliście ze mną. Chodźcie, nie bójcie się, najwyższy zabiorą mi tytuł – zachęcał.

– Mile nas zaskoczył tą spontanicznością, podkreślając w ten sposób, że jest to sukces nas wszystkich – podsumowuje pani Dana.

Gdy pytam Przemka, czy nieobecność minister edukacji na gali była dla niego afrontem, odpowiada: – Kluczowe jest dla mnie to, jak oceniają mnie moi uczniowie, ich rodzice, współpracownicy. Uznanie urzędników, jeśli nie jest szczere i autentyczne, nie jest mi potrzebne. Uważam jednak, że wycofanie się minister Zalewskiej ze współorganizowania konkursu powinno być dla niej powodem do wstydu. Ponadto faktycznie jest afrontem dla nominowanych, wyróżnionych, zwycięzców, organizatorów i w ogóle dla nauczycieli w Polsce.

Helena Leman



Po wykładzie uczniowie chcą skonsultować temat pracy na pierwszy etap olimpiady filozoficznej.

o porażkach w życiu osobistym. Nie raz słyszę też zdanie: „Bo ja, ciociu, nie wiem, kim jestem”. Wtedy przytulam takie zagubione dziecko i mówię: „Tak/taki się urodziłaś/urodziłeś. Nie ma w tym twojej winy. Ludzie mają prawo być różni”. I to czasem wystarcza. Pamiętam pewnego chłopaka, który teraz studiuje za granicą. Przychodził i związał się w kłębek, o, na tym fotelu, który dzieciaki nazywają fotelem zwierzeń. I tak trwał przez wiele godzin. Wystarczała mu sama moja obecność i akceptacja bez słów.

Pani Dana twierdzi, że nie miałyby tej siły w sobie, nie odkryłyby tego daru wspierania, gdyby na zajęciach uniwersytetu trzeciego wieku nie spotkała Przemka. – Na początku ujęła mnie jego skromność. To, że potrafił powiedzieć, że czegoś nie wie. Ilu takich ludzi dziś się spotyka? To on mnie wydobyl, postawił na nogi. Z zakomple-

liczbie talentów i aktywności” – tak opisali go uczniowie i przyjaciele, którzy przedstawili jego kandydaturę do konkursu organizowanego przez „Głos Nauczycielski”.

Staroń za te pochwały jest wdzięczny, ale puszcza je jakby mimo uszu, odgania jak natrętną muchę. Jest tylko zwykłym nauczycielem etyki, filozofii, wiedzy o kulturze i historii sztuki z dwięcioletnim stażem pracy. Najchętniej by gdzieś umknął, woła, że nie ma czasu, że już musi lecieć.

W jednym z wywiadów mówi: „Problem jest w tym, że w polskiej szkole hierarchia nie polega na relacji mistrz-uczeń. A ta jest piękna i wartościowa, bo przede wszystkim podmiotowa – mistrz nie uważa się za lepszego od ucznia. Wręcz przeciwnie, obaj realizują ideę universitas, czyli wspólnotowego poszukiwania prawdy”.



TO NIE JEST KRAJ DLA SAMOTNYCH MATEK

Z „polską rodziną” na ustach rząd konsekwentnie wyłącza z polityki prorodzinnej osoby samotnie wychowujące dzieci.

A to prawie 30% rodzin w kraju

Katarzyna Wierzbicka

W domu były ciągłe awantury, choć mąż nie pił. Jak się z nim rozstawałam, to z myślą, że tylko na chwilę – opowiada Iza, wychowująca samodzielnie siedmioletnią córkę. – Miałam nadzieję, że to nim potrząśnie. Nic się nie zmieniło. Ale ja, mimo że nagle sama, poczułam ulgę. Moje życie przestało przypominać siedzenie na bombie zegarowej. Potem, niestety, nie było już tak łatwo.

Iza zdecydowała się na rozstanie mniej więcej rok po urodzeniu córki, trzy lata po ślubie. – Chciałam, żeby mimo naszego rozstania dziec-

ko miało ojca – wspomina. – On na początku przychodził. Jego wizyty polegały głównie na obrzucaniu mnie inwektywami. Potem przestał odwiedzać córkę. W ostatniej chwili dostawałam SMS-a z informacją, że jest zmęczony albo że nie może. Nigdy nie zapytał, czy ja mogę, czy nie jestem zmęczona. Dziś też nie pyta, nie mamy kontaktu. Zresztą o to, czy dam radę, nikt nie pyta. Wymaga się ode mnie wzorowego godzenia ról, ale jak – to już tylko moja sprawa. To nie jest kraj dla matek, a dla samotnych to już w ogóle.

– Mąż wyrzucił mnie z domu, jak byłam w ciąży z drugim synem. Zdenerwował się, nie chciał więcej

dzieci. Jak mały się urodził, nawet go nie zobaczył. Gdyby nie moja mama, nie wiem, co by było – mówi Ilna, matka dwójki chłopców, od roku pracująca w sklepie. – Najgorzej jest z pieniędzmi. Zarabiam trochę powyżej 1,4 tys. zł, dostaję 500+ na młodszego syna. Ale na starszego już mi się nie należy, bo alimenty wliczają się do dochodów, mimo że mój były mąż tylko czasami je płaci. Po opłaceniu mieszkania i rachunków zostaje mi na życie jakieś 400 zł. Moja mama, żeby nam pomóc, zaczęła dorabiać do emerytury.

– Jesteśmy z córką same od początku – to relacja Anety, policjantki wychowującej ośmioletnią

Kasię. – Jej ojciec był moim chłopakiem, kiedy miałam 20 lat. Po pół roku rozstaliśmy się. Dwa tygodnie po rozstaniu okazało się, że jestem w ciąży. Zadzwońiłam wtedy do niego. Nawyzywał mnie. To była nasza ostatnia rozmowa. Jak córka miała rok, zaczęłam z bratem jeździć na tirach. Jeździliśmy w trasy na zmianę. Potem poszłam do szkoły policyjnej.

Powodów, dla których samotne matki nie żyją z ojcem ich dzieci, jest pewnie tyle, ile ich samych. Problemy, z jakimi się mierzą, pozostają niezmiennie: zmęczenie, przeładowanie obowiązkami, finanse, brak wsparcia ze strony państwa.

Według narodowego spisu powszechnego z 2011 r. przeszło jedna czwarta dzieci w Polsce wychowywała się w tzw. rodzinach niepełnych. Zdecydowana większość samotnie wychowujących dzieci to matki. Jednak socjolożka Monika Helak podkreśla, że dziś rodzin niepełnych może już być więcej: – Sądząc po rosnącej liczbie rozwodów, można spokojnie szacować, że w tej chwili samotne matki w Polsce stanowią ok. 30% wszystkich rodzin. I jest to tendencja rosnąca.

Choć dbanie o „polskie rodziny” jest jednym z refrenów rządu, odnosi się wrażenie, że w krajowej polityce prorodzinnej miejsca dla samotnych matek nie ma. Matka to mężatka, a rodzina to małżeństwo, najlepiej z kilkorgiem dzieci. Kobiety samodzielnie wychowujące dzieci zostały w większości na lodzie. To, czy sobie poradzą, zależy przeważnie od dobrej woli ich byłych partnerów i wsparcia najbliższego otoczenia.

POD KRESKĄ

– Wystarczy, że moje dziecko poważniej zachoruje albo popsuje mi się pralka i koniec – mówi Ilona. – Każdy nagły wydatek oznacza dla mnie brak środków do życia albo długi, których nigdy nie spłacę.

– Dwa lata temu córka wylądowała w szpitalu. Nie mam umowy o pracę, więc nie mogłam wziąć urlopu. Przez dwa tygodnie kursowałam między oddziałem pediatrycznym a pracą – opowiada Iza. – Pielęgniarki w szpitalu robiły mi gorzkie uwagi za każdym razem, kiedy wychodziłam, a w pracy słyszałam, że jestem zdekoncentrowana. Gdyby to wtedy

potrwało tydzień-dwa dłużej, musiałabym zrezygnować z pracy.

Teoretycznie samotne matki mają prawo ubiegać się od drugiego rodzica o alimenty na dziecko. W praktyce ich płacenie zależy głównie od chęci ojców, bo Polska wciąż nie ma skutecznego systemu egzekwowania alimentów, a unikanie płacenia jest praktyką. „Liczba dłużników alimentacyjnych rośnie nadal – czytamy na stronie Biura Informacji Kredytowej. – W pierwszym półroczu

W polskiej polityce prorodzinnej nie ma miejsca dla samotnych matek.

2018 r. w BIG InfoMonitor przybyło ich o prawie 3% – do 319 tys., a kwota zaległości wzrosła o ponad 6% – do 11,9 mld zł”.

– Ściągalność alimentów w Polsce wynosiła w 2016 r. 16,5%. Choć sytuacja nieco się poprawia, jest to wynik żałosny – komentuje Monika Helak. – Minister Ziobro wystąpił wprawdzie z pomysłem zaostreżenia kar dla dłużników alimentacyjnych, ale nie na wiele to się zdało, skoro system egzekwowania należności nie działa, a państwo jest bezradne wobec ojców ukrywających dochody albo chociażby miejsce zamieszkania. Poza tym większe kary dla dłużników nie rozwiązują problemów finansowych ich dzieci i ich matek.

„Liczba spraw rośnie, ale wyroki sądów są bardzo łagodne – stwierdza Katarzyna Tatar ze Stowarzyszenia Alimenty To Nie Prezenty na portalu BIK. – Dłużnicy skazywani są np. na prace społeczne w wymiarze kilku godzin miesięcznie i nadal nie zwracają zaległości ani nie płacą na bieżąco”.

Rodzice, którzy nie dostają zasądzonych alimentów, mają prawo do świadczeń z Funduszu Alimentacyjnego – o ile ich dochód jest niższy niż 700 zł na członka rodziny. Matki, które mają dwoje i więcej dzieci, mogą liczyć na 500+. Gorzej, jeśli dziecko jest jedno. Świadczenie otrzymają tylko wtedy, jeśli dochód na osobę w rodzinie nie przekracza 800 zł. Minimalne wynagrodzenie netto w Polsce wynosi dziś 1530 zł, w przyszłym roku ma być zwiększone do 1634 zł. A do deklarowanych

we wniosku dochodów wliczane są alimenty. Nawet jeśli wnioskodawczyni widzi je wyłącznie na papierze. W praktyce matki muszą wybierać między korzystaniem ze świadczenia 500+ a umową o pracę i związanym z nią zabezpieczeniem socjalnym, np. prawem do urlopu w przypadku choroby dziecka.

Iza: – Próbowałam dostać 500+, bo zarabiam poniżej progu. Przez telefon zostałam poinformowana, że do wniosku muszę dołączyć orzeczenie o rozwodzie i wyrok w sprawie alimentów. Myślałam, że tylko po to, żeby udowodnić, że był rozwód. Usłyszałam, że przekraczam próg, bo alimentów mam zasądzonych 400 zł. Nie pomogły wyjaśnienia, że ojciec dziecka ich nie płaci. Usłyszałam, że skoro nie płaci, w moim interesie jest ściganie go za to.

Pozostaje jeszcze zasiłek rodzinny wynoszący, w zależności od wieku dziecka, od 95 do 135 zł. Mogą się o niego starać samotni rodzice, których miesięczny dochód nie przekracza 674 zł na członka rodziny lub 764 zł – jeśli w rodzinie jest dziecko niepełnosprawne.

Brak programów wsparcia rodzin niepełnych plasuje Polskę w ogonie krajów przyjaznych matkom. Pracownicy Wharton School przy Uniwersytecie Pensylwanii w USA opracowali ranking 60 państw sprzyjających kobietom z dziećmi. Analizy dokonano na podstawie odpowiedzi 16 tys. respondentów. W czołówce najlepszych państw do życia i pracy znalazły się Szwecja, Dania, Kanada, Holandia i Australia. Wielka Brytania zajęła 9. miejsce, a Niemcy – 11. Polska nie zmieściła się w rankingu.

– Samotne rodzicielstwo jest w Polsce jednym z głównych czynników zagrożenia ubóstwem – podkreśla Monika Helak. – Dawniej najbardziej narażone były rodziny wielodzietne, ale 500+ przynajmniej częściowo rozwiązało ten problem. Nie pomogło jednak rodzicom samodzielnie wychowującym dzieci, których warunki życia w naszym kraju wciąż są ciężkie, a wsparcie państwa – niewystarczające.

IMPAS

Matki w pojedynkę wychowujące dziecko są w Polsce w impasie. Zatrudnienie na pełnym etacie czę-

►sto wyklucza samotnych rodziców z grona uprawnionych do świadczeń, szczególnie jeśli mają tylko jedno dziecko. Pogodzenie pracy na etacie z obowiązkami rodzicielskimi wiąże się zaś z dodatkowymi kosztami. Posiadanie więcej niż jednego

Godziny pracy szkół i przedszkoli są słabo dostosowane do godzin pracy matek.

dziecka uprawnia matkę do pobierania 500+, ale utrudnia aktywność zawodową. – Jeśli pracowałabym na pełen etat, dla córki oznaczałoby to siedzenie w szkole 10 godzin dziennie. Moi rodzice pracują, a opiekunka to dla mnie za duży wydatek – tłumaczy Iza, która pracuje na umowie-zleceniu.

Monika Helak: – Badania pokazują, że większość kobiet w wieku reprodukcyjnym w Polsce, czyli między 19. a 34. rokiem życia, pracuje na umowie-zleceniu. Oznacza to dla nich brak stabilności socjalnej. Z kolei matki mające umowę o pracę skarżą się, że godziny pracy szkół i przedszkoli są słabo dostosowane do godzin ich pracy.

Jak podkreśla socjolożka, problem ten dotyczy nawet osób pracujących w standardowym ośmiogodzinnym wymiarze, szczególnie w dużych miastach, gdzie dodatkową trudnością jest dojazd z miejsca pracy do instytucji opiekuńczej. Nie mała jest również grupa rodziców pracujących zmianowo. Są to m.in. policjantki, pielęgniarki, lekarki czy ekspedientki.

Aneta: – Pracuję na 12-godzinne zmiany, od godz. 12 albo od 18 do 6. Rodzice mieszkają 100 km od Warszawy. Córka kilka razy w miesiącu nocuje u koleżanek, których mamy odprowadzają ją rano do szkoły, kiedy ja wracam po zmianie do domu. Z kolei kiedy kończę o 18, te same mamy ją odbierają i przechowują kilka godzin u siebie. 500+ mi się nie należy, alimentów nie dostaję, na opiekunkę mnie nie stać. Czasami zastanawiam się, co zrobię, jeśli któraś z moich znajomych kiedyś nie będzie mogła mi pomóc.

Zdaniem Moniki Helak macierzyństwo – nie tylko samotne – jest jednym z ważnych uwarunkowań rozbieżności wynagrodzeń mężczyzn i kobiet. – O ile kobiety zara-

biają generalnie mniej niż mężczyźni, o tyle różnica między ich dochodami utrzymuje się mniej więcej na stałym, kilkunastoprocentowym poziomie – wyjaśnia badaczka. – Sytuacja kobiet zmienia się jednak po urodzeniu dziecka; wtedy ich dochody drastycznie spadają. Dotyczy to zarówno matek samotnie wychowujących dzieci, jak i mających partnerów. Każde kolejne dziecko powiększa rozbieżność w dochodach. Co ciekawe – pojawienie się dziecka w życiu mężczyzny nie zmienia jego zarobków. Zjawisko to jest znane pod nazwą *motherhood penalty*, czyli kary za macierzyństwo.

STYGMAT

„Nie bez powodu jesteście samotnymi matkami, dyskotekowe wycieczki”, „Trzeba było nie dawać na lewo i prawo, a teraz wylewać gorzkie żale i wyciągać łapę po wszystko!”, „Z całym szacunkiem, ale paniusie już pogrzało! Trzeba było uważać, z kim się pani wiązała, suka nie da, pies nie weźmie”, „Może dlatego, że z taką roszczeniową księżniczką nie dało się wytrzymać. Może kiedy facet zaszuwał w pracy, by utrzymać rodzinę, to księżniczka jedyne, co

Unikanie płacenia alimentów jest praktyką.

dobrze robiła, to paznokcie”. To tylko niektóre komentarze pod artykułem Katarzyny Głuszk, matki samotnie wychowującej dwójkę dzieci, która zdecydowała się opisać na portalu Parenting.pl napotykaną przez siebie trudność.

Z kolei na stronie Supermamy.pl znajdujemy coś takiego: „Najbardziej toksycznym środowiskiem dla dorastającego chłopca jest samotna matka. Taki chłopiec jest wypuszczany z domu jako zagubiony i nieprawidłowo odbierający rzeczywistość. Brak mu również tożsamości”. Po tym wstępie następuje długa lista tego, co matka wychowująca samotnie syna powinna, a czego nie powinna robić. Niezależnie od słuszności podanych instrukcji dziwi fakt, że adresowane są wyłącznie do matek. Rad dla ojców nie ma.

Gdyby wiedzę o samodzielnym macierzyństwie czerpać z internetu, można by szybko dojść do wniosku, że wynika ono z bezymyślności, nieodpowiedzialności, rozwiązłości i równouprawnienia kobiet. W najlepszym wypadku samotna matka jawi się jako bohaterka, która „urodziła zamiast usunąć”. W najgorszym – jako patologia.

Stałym motywem są oskarżenia o roszczeniowość. Zgodnie z nimi matki samodzielnie wychowujące dzieci są „cwane” i „łase na kasę”, a ich samotne rodzicielstwo jest wyrachowanym wyborem. Czy nie to założenie podpowiedziało rzeczniczce rządu Beacie Mazurek, jakiej rady powinna udzielić matce samotnie wychowującej dzieci, a niemającej prawa do korzystania z 500+? – Zachęcała ją będę do tego, aby ustabilizowała swoją sytuację rodzinną i miała więcej dzieci, tak aby móc na to świadczenie, w przystawowy sposób, się załapać – oświadczyła rzeczniczka PiS dziennikarzowi Polskiego Radia 24 dwa lata temu.

Na internetowych blogach, w artykułach i komentarzach rzadko natomiast pojawiają się apele i instrukcje adresowane do ojców.

– Rodzina niepełna też jest rodziną – przypomina Monika Helak. – Polityka prorodzinna powinna sprzyjać także rodzinom niepełnym.

Aneta: – Nie lubię użalać się nad sobą, ale jest we mnie gniew. Najbardziej denerwuje mnie litość. Ja mam obiektywnie trudniej niż zamężne koleżanki, ale każde stwierdzenie tego faktu jest odczytywane jako narzekanie i roszczenie.

Iza: – Kiedy zaczynam się zastanawiać, jak przeżyłam ostatnie kilka lat, sama się dziwię, jak to zrobiłam. A państwo traktuje to jako oczywistość: oczywiście jest, że nie choruję, że się wyrabiam, że daję radę. Ale jeśli kiedyś powinie mi się noga, to bez obaw – zostanę z tego rozliczona. Okrzykną mnie złą matką i powiedzą, że wszystko przeze mnie. Myśli pani, że ktoś mojego byłego męża rozlicza z tego, kiedy ostatnio zajmował się córką albo zapłacił alimenty?

Ilona: – Gdybym wiedziała, że zostanę sama, nie wiem, czy zdecydowałabym się na dzieci. Bardzo swoich chłopców kocham, ale nikt nie planuje, że będzie całkiem sam.

Katarzyna Wierzbicka

Z Galicji



Jan Widacki

JAKA WŁADZA, TAKIE OBCHODY

Oczywiście 11 listopada 1918 r. jest datą odzyskania niepodległości po latach zaborów jak najbardziej umowną, ale przecież symboliczną – 100-lecie odzyskania niepodległości to ważna rocznica i dla państwa, i dla narodu. Miało być niezwykle uroczyste i niezwykle patriotycznie.

Tymczasem w 100. rocznicę 11 listopada 1918 r. naród jest podzielony jak bodaj nigdy dotąd. Organizacja uroczystości zupełnie zawiodła. Najpierw pan prezydent zapraszał wszystkich (łącznie z byłymi prezydentami) do udziału w „marszu niepodległości”... którego sam nie organizował, tylko został na niego zaproszony przez narodowców. W dodatku teraz, już po rozesłaniu zaproszeń, sam oznajmił, że w marszu nie będzie uczestniczył, bo tego dnia ma bardzo napięty kalendarz. A okazało się, że nie tylko pan prezydent nie pojawi się na marszu, ale również nie weźmie w nim udziału Prawo i Sprawiedliwość.

Mógłby ktoś pomyśleć, że ta decyzja zapadła nie w Pałacu Prezydenckim, lecz na Nowogrodzkiej.

Gdyby nie to, że chodzi o ważne dla Polaków święto i ważną rocznicę, cała sytuacja wyglądałaby komicznie.

Opowiada się czasem, że na przyjęcie warszawiak przychodzi z butelką, a krakus ze szwagrem. Coś jest na rzeczy. To tak, jakby ktoś zapraszał na kolację, po czym okazało się, że nie jest gospodarzem, tylko sam jest gościem, a na koniec, kiedy już wszystkich naokoło pozapraszał, oświadczył, że on w gruncie rzeczy na tę kolację się nie wybiera, bo w międzyczasie „napiął mu się kalendarz”.

Aż by się prosiło, aby na 100. rocznicę odzyskania niepodległości na główne obchody przyjechały głowy państw. Tych najważniejszych i tych ościennych. Swoją obecnością mogłyby dać dowód szacunku dla walki pokoleń Polaków o niepodległość, szacunku dla ich obecnych dokonań, dla państwa, które jest w regionie i w całej Unii Europejskiej przykładem demokracji, praworządności, tolerancji, przykładem sukcesu gospodarczego.

Obchody Święta Niepodległości powinny wyrazić dumę Polaków ze swojego państwa, z takim trudem

odzyskanego w 1918 r., tracącego jeszcze po II wojnie światowej niepodległość i znów z takim sukcesem odbudowywanego z gruzów.

Nic takiego się nie wydarzy. Na uroczystości do Polski przyjedzie może Viktor Orbán, nasz najbliższy partner w rozwalaniu Unii Europejskiej, w dodatku w momencie gdy Unia ta potrzebuje jak nigdy dotąd solidarności. Przyjedzie albo nie, najpierw dobrze przekalkuluje, czy to mu się opłaci politycznie, czy nie, czy nie będzie miał jakiegos pilniejszego spotkania, np. z prezydentem Putinem.

Nikt ważny z Europy na 11 Listopada do Warszawy się nie wybiera. Nawet nie wiem, czy ktoś został zaproszony. Świadczy to najlepiej o tym, jaka jest dziś pozycja Polski w Europie i w świecie.

Zamiast chwalić się przed Europą i światem dorobkiem minionego stulecia, dorobkiem III Rzeczypospolitej, jubileusz świętować

będziemy jako chory człowiek Europy, osamotniony, wskazywany jako przykład państwa niedorosłego do demokracji, psującego Unię, od której zależą nasza pomysłowość i nasz byt.

Świętować będziemy jako naród podzielony, skłócony, wśród wzajemnych wyzwisk i oskarżeń, które tradycyjnie od lat towarzyszą wszystkim oficjalnym uroczystościom.

To smutne, ale dominującą imprezą rocznicową będzie zdaje się „marsz niepodległości” organizowany przez faszystujących narodowców, pod ohydnyimi hasłami ksenofobicznymi, nacjonalistycznymi i rasistowskimi, wśród ryków podgolonych tłów kiboli.

Obawiam się, że właśnie taki obraz Polski i jej święta pokażą światowe telewizje.

Smutne to.

Jaka władza, takie obchody.

Świętować będziemy jako chory człowiek Europy, przykład państwa niedorosłego do demokracji, psującego Unię.

Dołącz do nas i czytaj za darmo!

www.tygodnikprzeglad.pl

Otwarty dostęp do wydań archiwalnych od 1999 r.



Znajdź nas na Facebooku i Twitterze

PRZEPROSIN NIE BĘDZIE

Sąd uniewinnił prezesa olsztyńskiej spółdzielni, ale senator Lidia Staroń tego wyroku nie uznaje

Marek Książek

W głośnej sprawie Spółdzielni Mieszkaniowej Pojezierze w Olsztynie jej prezes został prawomocnie uniewinniony, ale inicjatorka oskarżenia dalej się upiera, że rządziła tam „zorganizowana grupa przestępcza”.

Sąd Okręgowy w Olsztynie przyznał Zenonowi Procykowi 500 tys. zł zadośćuczynienia za niesłuszne aresztowanie i 111 tys. zł za utracone w tym czasie zarobki. Razem 611 tys. zł! Ale to jeszcze nie koniec dochodzenia rekompensaty. Pełnomocnik byłego prezesa SM Pojezierze mecenas Jerzy Jankowski kieruje teraz pozew cywilny o przyznanie dodatkowego zadośćuczynienia za konsekwencje, jakie miała dla Procyka wywołana afera. W tym za to, że 14 lat zasiadał na ławie oskarżonych, stracił stanowisko i wiarygodność, zaliczył przeszło ośmiomiesięczny areszt, potem

Centralne Biuro Śledcze i prokuratura. Podobno także Czesław Jerzy Małkowski, ówczesny prezydent Olsztyna, który później z powodu seksafery również odsiedział pół roku w areszcie. Mimo prawomocnych wyroków uniewinniających nikt Procyka nie przeprosił.

CZŁOWIEK NA CELOWNIKU

Kiedy pod koniec lat 90. dr Zenon Procyk został przewodniczącym Rady Miasta Olsztyna, zarzucano mu, że w czasach studenckich należał do partii i SZSP. Nie kluczył, nie wypierał się, tylko publicznie potwierdził, dodając, że nie ma czego się wstydzić. Jako prezes SM Pojezierze w 2001 r. podjął ryzykowną decyzję o oderwaniu się od monopolu Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej. Zbudował osobny ciepłociąg ze światłowodem w środku, który mógł alarmować dyspozytora siedzącego

Łatwiej było poskromić ambicje prezesa pod pretekstem walki z „mafią spółdzielczą”. To on miał symbolizować dziejące się w spółdzielniach mieszkaniowych w kraju zło, z którym walczyła Lidia Staroń, wtedy bizneswoman i działaczka społeczna niechroniona immunitetem. Głównie z jej inspiracji media okrzyknęły Procyka budowniczym skorumpowanego układu, który trzyma w garści całe miasto, w tym policjantów, prokuratorów, sędziów, a nawet dziennikarzy, przyznając im tańsze lokale. Zwłaszcza w „prominenckim” bloku przy ulicy Dworcowej 48A, gdzie za mieszkania płacono śmiesznie małe pieniądze. Procyk stał się bohaterem telewizyjnych reportaży TVN i Polsatu. Nikt nie miał wątpliwości, że temat nakręcała Lidia Staroń. Sama miała na terenie SM Pojezierze lokal użytkowy i domagała się praw własności do budynku, na co zarząd spółdzielni się nie godził, a ona twierdziła, że nalicza jej paskarskie czynsze. Była więc w sporze z prezesem Procykiem. Wkrótce utworzyła Stowarzyszenie Obrony Spółdzielców i rozpoczęła walkę ze spółdzielczą patologią. Jej akcje szły w górę, rosła też lista zarzutów pod adresem prezesa, wokół którego zaciskała się pętla oskarżeń. Najcięższy był zarzut narażenia spółdzielni na szkody wielkiej wartości poprzez wybór i zakup podzielników ciepła.

– Takie podzielniki kosztowały wtedy od 27 do 83 zł za sztukę, a my kupiliśmy po 52,50 zł, czyli za średnią cenę. Ale były to podzielniki nowoczesne, elektroniczne, pierwsze takie w Olsztynie. Jednak na zlecenie prokuratury ten zakup oceniał nie biegły elektronik, lecz hydraulik – mówi Procyk.

WALCZYŁA O MĘŻA JAK LWICA

Przetom nastąpił w kwietniu 2005 r., gdy „Gazeta Wyborcza” wyeksponowała wypowiedź Kazimierza Olejnika, zastępcy prokuratora

Rodzina Procyków długi czas była na podsłuchu, ktoś próbował podpalić ich dom.

nie mógł znaleźć pracy, jego telefon wiele miesięcy był na podsłuchu, ktoś próbował podpalić jego dom. Te problemy przypłacił dwoma udarami. Jego żądania pójść zapewne w miliony. Zapłaci skarb państwa, czyli my, podatnicy.

– Wcale nie jestem z tego powodu szczęśliwy, bo te odszkodowania powinni zapłacić ci, którzy mnie najbardziej skrzywdzili – mówi Zenon Procyk.

Na pierwszym miejscu wymienia senator Lidię Staroń, znaną obrończynię ludzi skrzywdzonych przez komorników oraz bojowniczkę o prawa „zwykłego człowieka”, również o uwłaszczenie mieszkań spółdzielczych. Tę samą, którą kiedyś Donald Tusk chwalił za to, że pokonała spółdzielczą mafię. Najpierw walczyła sama, potem w sukurs przyszły jej organy państwa, w tym

np. w Nowym Jorku, że nastąpił przeciek. Choć niektórzy zarzucali prezesowi, że inwestycja jest za droga na kieszenie spółdzielców, dzięki niej zmniejszyły się opłaty za ciepło. Ale odbiło się to na dochodach komunalnej spółki MPEC. Potem Procyk upowszechniał przekaz, że stał się ofiarą „mafii ciepłowniczej”, na co wskazywały pewne poszlaki. Na przykład w 2003 r. do SM Pojezierze nadszedł faks z gabinetu wojewody: „Zenek, zrezygnuj, mają kwity na ciebie, wiesz jakie”. Autora nie ustalono. Rok później do biura spółdzielni przyszedł mężczyzna, żądając 40 tys. zł za nagrania mające świadczyć o zawiązanym przeciwko prezesowi spisku. Procyk nie zapłacił, powiadomił prokuraturę, ale ta ustaliła tylko, że gość istotnie go szantażował, choć nie wiadomo, w czym imieniu.

generalnego, że „tak wstrząsającej patologii jak w Olsztynie nie widział nigdy”. Olejnik twierdził tak, siedząc w Warszawie. Dał tym swoim podwładnym sygnał do zdecydowanego działania. Śledztwo trafiło do Prokuratury Okręgowej w Elblągu, gdzie prokurator Grażyna Waryszak wystąpiła o aresztowanie Procyka i dwóch jego zastępców, jednocześnie wnioskując o zawieszenie prezesa w pełnieniu funkcji. Zarzuty wydawały się mocne: korupcja, niegospodarność, sprzedaż olsztyńskim notablom, w tym sędziom (!), mieszkań po obniżonych cenach, do tego

za rozesłała do władz i mediów alarmujący list otwarty. Potem zwołała w Domu Chtopa w Warszawie konferencję prasową, na której obwieściła licznie przybyłym dziennikarzom, że Zenon Procyk jest niewinny, a za szyskanami wobec niego stoi „mafia ciepłownicza”. Podała przykłady z tajemniczym faksem i wizytą szantażysty oraz wyjawiała, że ciepłownicy działają ręką w rękę ze spółdzielczą opozycją. Co niebawem potwierdziło się w czasie procesu. W MPEC organizowane były zebrania przeciwników Procyka, udostępniano im również ksero i samochód.

wspomagał panią Krystynę, wierząc w niewinność Procyka. Tymczasem jego przeciwniczka wykreowała się już na gwiazdę mediów. Zyskała nawet wsparcie Donalda Tuska, przewodniczącego PO, który przebywając przed wyborami 2005 r. w Olsztynie, uznał Lidię Staroń za bohaterkę. Mówił: „Mimo szyskan samotnie doprowadziła do rozbięcia mafii spółdzielczej w Olsztynie i aresztowania prezesa. Zdemaskowała powiązanych z korupcyjnym układem sędziów. Podczas pięcioletniej walki szyskanowano ją i zastraszano, próbowano zdyskredytować



Zenon Procyk powoli dochodzi do zdrowia.

Z Lidią Staroń Zenon Procyk spotkał się podczas procesu w Ostródzie (lipiec 2007 r.).

Prezes Procyk 14 lat zasiadał na ławie oskarżonych, stracił stanowisko i wiarygodność, ponad osiem miesięcy spędził w areszcie.



falszowanie głosowań w organach spółdzielni, co miało umożliwić prezesowi zachowanie stołka. Podjęcie decyzji o aresztowaniu było podbudowane ustaleniami CBS, gdzie szczególną gorliwością wykazywał się funkcjonariusz Gabriel P. Miał żal do Procyka, że ten nie przyznał lokalu jego matce. 16 maja 2005 r. prezes trafił do aresztu.

– Przeżyłem ogromny szok, bo w głowie mi się nie mieściło, że wsadzą mnie za kraty – opowiada. Początkowo sądził, że szybko wróci do domu, bo wszystko się wyjaśni. Ale siedział w areszcie osiem i pół miesiąca, a pewnie trwałoby to jeszcze dłużej, gdyby nie jego dzielna żona Krystyna. Zaraz po aresztowaniu mę-

Skąd ta nagła determinacja Krystyny Procyk, spokojnej na ogół kobiety, pracownicy Państwowej Inspekcji Handlowej? – Wcześniej siedziałam cicho, bo wierzyłam, że mąż jest niewinny i wszystko się wyjaśni. Ale po aresztowaniu nie mogłam milczeć – mówi. „Na sali była Lidia Staroń. Patrzyła Krystynie w oczy, a ta nie opuszczała wzroku. Wydarzenie miało posmak politycznej sensacji, bo mecenas Smoktunowicz był wtedy senatorem z ramienia PO, a Lidia Staroń z listy tejże partii dostała się do Sejmu”, odnotowała Ewa Ornacka i Piotr Pytlakowski w książce „Wojny kobiet”. Mecenas Smoktunowicz nieodpłatnie wtedy

w mediach. W jej samochodzie przecięto przewód hamulcowy, innym razem opony. Nie ugięła się. Wręcz przeciwnie, narastał w niej bunt; konsekwentnie dochodziła praw” („Gazeta Olsztyńska”, 23 września 2005). Na stronie internetowej Lidii Staroń do dzisiaj wisi ulotka z rekomendacją Tuska, Komorowskiego i Gowina, wtedy ministra sprawiedliwości w rządzie PO. Niektórzy mówią, że po grzbiecie Procyka dostała się do parlamentu.

Podczas tamtego przedwyborczego spotkania do szefa PO przedostała się także Krystyna Procyk, pokazała mu dokumenty i próbowała uświadomić, że jej męża aresztowa-

no niesłusznie. Usłyszała od Tuska, że jeśli zarzuty wobec niego są nieprawdziwe, on ją osobiście przeprosi. Do tej pory nie przeprosił, choć Procyk już dawno prawomocnie został uniewinniony.

ANONIMY, PODSŁUCHY, OSKARŻENIA

Kiedy Zenon Procyk, przeżywający katusze w areszcie, miał być przewieziony do szpitala psychiatrycznego, jego żona pojechała do szefa Prokuratury Okręgowej w Elblągu, by powiadomić go o dziwnym postępowaniu pani prokurator Waryszak. W tym o powołaniu biegłych psychiatrów bez powiadomienia obrońców i rodziny osadzonego. Z prokuratorem Zbignie-

Pojezierza stanowiły zorganizowaną grupę przestępczą. Sąd jednak nie wziął go pod uwagę, tak jak „dowodów” uzyskanych z anonimów i nielegalnych podsłuchów CBS. Bo rodzina Procyków długi czas była na podsłuchu, stenogramy z niego liczą 8,8 tys. stron A4. Śledczy notowali również rozmowy byłego prezesa z sędziami, którzy co prawda nie byli zaangażowani w sprawę, ale i tak zostali publicznie napiętnowani (nie postawiono im jednak żadnych zarzutów karnych).

Większość zarzutów upadła już w pierwszym procesie, a sprawa budowy „prominenckiego bloku” przy Dworcowej pokazała, jak różnie można interpretować niegospodarność. Ze względu na niskie koszty budowa okazała się wzorco-

czyt życie, skacząc z 10. piętra spółdzielczego bloku.

LIDIA STAROŃ NIE ODPUSZCZA

Wyroki z lipca 2010 r. podważył sąd apelacyjny, pięć lat później uniewinniając Zenona Procyka i zdecydowaną większość oskarżonych, z których trzy osoby – poza wspomnianym wiceprezesem – zmarły przed końcem procesu (o sprawie pisaliśmy w tekście „14 lat niewinności” we wrześniu 2014 r., PRZEGLĄD nr 36). Jednak Lidia Staroń podtrzymywała swoje zarzuty i to na jej wniosek, gdy była już senator niezależną (PO nie wystawiła jej w wyborach) prokurator generalny minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro wystąpił o kasację wyroku. W kwietniu 2017 r. Sąd Najwyższy oddalił kasację

Z inspiracji senator Staroń media okrzyknęły Procyka budowniczym układu, który trzyma w garści całe miasto, w tym policjantów, prokuratorów, sędziów i dziennikarzy.

wem Więckiewiczem rozmawiała dwie godziny i przekonała go, że powinien Procyka zwolnić. Tak też się stało – po wpłaceniu 50 tys. zł kaucji Zenon Procyk wyszedł na wolność.

Proces rozpoczął się w lutym 2007 r., a Sąd Rejonowy w Ostródzie zgromadził początkowo ponad 100 tomów akt – potem przybyło drugie tyle. Oskarżeniem objęto najpierw 27 osób, a prawie 90 wystąpiło w charakterze świadków, wybranych z 850 przesłuchiwanym w śledztwie. Każdy, kto choć otarł się o Procyka, musiał się liczyć z wezwaniem do prokuratury lub sądu. Kilka pierwszych rozpraw budziło zainteresowanie mediów, zwłaszcza te, na których pojawiała się Lidia Staroń, już pośtanką PO. Pod koniec lipca 2008 r. wygłosiła w sądzie oświadczenie, że władze

wa, a Urząd Kontroli Skarbowej nie dopatrzył się żadnych nieprawidłowości. Tak samo było w wypadku podzielników ciepła. Sąd pierwszej instancji skazał Procyka jedynie za to, jakoby dwukrotnie nakłaniał do zorganizowania zebrań spółdzielczych, w których brały udział osoby niebędące członkami Pojezierza. Skazano również na niewielką karę główną księgową, której zarzucono wyłudzenie mieszkania od jednej z lokatorek, choć sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Nie doczekał żadnego wyroku jeden z zastępców Procyka – jesienią 2006 r. popełnił samobójstwo. Jak potem opowiadała wdowa po wiceprezesa, po wyjściu z 48-godzinnego aresztu jej mąż był nagabywany przez funkcjonariusza CBS, aby obciążył swojego przełożonego. Nie chciał i pod wpływem presji zakończył życie.

jako oczywiście bezzasadną. Mimo że zazwyczaj SN nie uzasadnia wyroku, tym razem – ze względu na wagę sprawy – sędzia sprawozdawca Michał Laskowski szczegółowo wyjaśnił, że nie ma podstaw do podważenia wyroków niższych instancji. W tym dotyczącego rzekomego wyłudzenia mieszkania od jednej z lokatorek. Senator Staroń trwała zaś przy swoim, mówiąc w TV Olsztyn: „Sąd Najwyższy nie rozpoznał kasacji merytorycznie, a szkoda. Oddalił postanowienie z przyczyn formalnych. Uważam, że to klęska wymiaru sprawiedliwości”. Na pytanie reportera, czy nie boi się, że Procyk może ją pozwać za fałszywe oskarżenia, odparła hardo: „Nie boję się żadnych pozwów i nigdy nie będzie żadnych przeprosin”.

– Gdyby przeprosiła, tobym po chrześcijańsku odpuścił. A tak jestem zmuszony zastosować równie chrześcijańską zasadę oko za oko – ripostuje Procyk.

Lidia Staroń znów regularnie występuje w programie TVP „Sprawa dla reportera”. Zenon Procyk także już pracuje – jako przedstawiciel handlowy w prywatnej spółce. Czesław Jerzy Małkowski dostał się do drugiej tury batalii o prezydenturę Olsztyna. Tylko prokurator Grażyna Waryszak przeszła w (zasłużony) stan spoczynku.

Marek Książek

W nowym numerze tygodnika „NIE”:
uziemione Migi-29 zemstą
za (politycznego) grobu
Antoniego Macierewicza.



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

CISZEJ NAD TĄ SETKĄ

Zadnych marszów, mszy, świąt, obchodów, występów, ceremonii, celebracji, armat, ankiet, kanonów, spisów, obiadów, sondaży, koncertów, biegów, recytacji, parad, publikacji, defilad, procesji, nazewnictwa, pomników. Niech zapadnie wszechogarniająca cisza na 100-lecie odzyskania niepodległości. Niechby przyszło 100 atletów i każdy zjadłby ze 100 kotletów (sojowych), to nie udźwigną, taki to ciężar, taka to nuda, taka bezradność. Co to za miara? Bo 100 gramów – to jeszcze można udźwignąć, ale 100 lat? Poza tym tamte 100 lat trwały lat 75, od 1914 do 1989 r. Nie ma tu żadnego powodu, żeby akurat teraz tym się wachlować. Jak dobrze, że rządzący Polską nie są w stanie ogarnąć tego pomysłu na świętowanie. Dopóki nie trzeba tego przekuć na konkret, okadają się na okrągło, a jak przychodzi moment, następuje pustka i niemota. Może to zresztą nie tyle okadzanie, ile kwitowanie – budżet obchodów wynosi niemal 200 mln zł.

Chaos współczesności, nieogarnialność świata, nie-
możność zrozumienia procesów zachodzących globalnie i wytyczających nam w abstrakcyjnej korelacji rytm dnia kumuluje strach przed nieznanym, kłębią się więc chmury wrogości, zachmurzenie gniewu wzrasta, agresja buzuje. Do ognia dolewają oliwy specjaliści od marketingu politycznego, bo taką mają pracę. Mediów nie ma, bo są biznesem, a kiedy informacja staje się towarem – przestaje być tym, czym powinna.

Fakty stają się nieodróżnialne od niefaktów, fake'ów, zmyśleń, manipulacji, ubotwienia pozornych debat w cyfrowej pustyni udającej wspólnotową rozdyktowaną agorę. Odbывa się festiwal niepamięci, pisanie historii na nowo (co można zrozumieć, ale może winna istnieć jakaś racjonalna reguła nowego historycyzmu?).

Cała ta rocznica jawi się jak jakiś widmowy obowiązek, który sensu żadnego nie niesie, jest jakąś kulą u nogi, staje się nie okazją do namysłu, sporu, uczciwego bilansu zamknięcia, tylko pretekstem do dzieciennego akademio-
wania pod przymusem, z infantylnym recytatywem pod dyktando skrajnej prawicy, którą jest niemal cała klasa polityczna, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy. Trudno nawet wymienić, co takiego udało się – jeśli w ogóle tak się stało – wytworzyć, dokonać, zakończyć, co mogłoby być wyrazistym, zrozumiałym, bardziej niż własny krąg elektoratowy wspólnotowym dokonaniem na tę nieszczęsną setkę. Ani duma, ani radość, ani motywacja, ani nauka, ani drogowskaz, ani wizja.

Ale może właśnie ta entropia talizmanu zwanego patriotyzmem, który żywi się taką celebracją, puentuje go

najpełniej i najdoskonalej? Zaglądamy do tego dzbanu polskością zwanego, co do niego nalewamy i wypijamy niepodległe od 100 lat, a on ci okazuje się pusty i głucho dźwięczący? Mieliśmy róg, mamy dzban, na jedno wychodzi – tam nie zadmiesz, tu nie wychylisz. Wszystko skrojone pod tę polskość nieszczęsną, a ona jałowa, nieinspirująca, klei się do nóg i głów jak jakiś mgiełny, wszechoblepiający klej. A rodacy w nim na kolanach i ani iść, ani wstać. Można gardłować o wstawaniu z kolan, ale taka opowieść tylko potęguje wymowę beznadziejnej niemocy.

Jednym słowem, nic tak nie wymęcza jak rocznice, virtualne byty władające żywymi ludźmi. Wiemy doskonale, że polityka to spektakl, ale nużąca potworność tego przedstawienia usypia tak skutecznie, że nawet snów się odechciewa w podobnym stanie.

Zdaje sobie doskonale sprawę, że mógłbym inaczej, że alternatywnie, że przywracając miarę, od kultury, gdzie prawicy mamy w tym nieszczęsnym wieku w ilościach śladowych, naskórkowych. Żeby wspomnieć o niebotycznie potężnym projekcie emancypacyjnym, którego podmiotem i beneficjentkami stały się kobiety polskie – ale dziś znowu muszę walczyć o to, co wydawało się już historią, te mury

patriarchalnej katedry wciąż stoją i straszą. Kiedy dzisiejsze prawa stają się niewidoczne, bo po prostu niby są – znika horyzont zaangażowania. Kiedy rozmawiam ze studentkami i próbuję wspominać o tym, że przed 100 laty nie było kobiet na uczelniach ani w lokalach wyborczych, mam wrażenie, jakbym opowiadał o plejstocenie, a ich wzrok mówi: o co chodzi, przecież jesteśmy na studiach, a polityka nas nie interesuje.

Nie da się ukryć, że opowieść o Niepodległej okrutnie mnie dołuje, zniechęca i skłania do sarkazmu. Nawet gdy próbuję konstruktywnie – wychodzi jak zawsze. No, w rzeczy samej nie mam ciepłych uczuć do tej rocznicy, do tych marszów, do tej cywilizacyjnej cofki, której doświadczamy przygnieceniu trumnami marszałka i Dmowskiego. Jak to pisał Zbigniew Herbert w „Prologu”:

*Rów w którym płynie mętna rzeka
nazywam Wisłą. Ciężko wyznać:
na taką miłość nas skazali
taką przebodli nas ojczyznę.*

Czas sobie tę włóczęgę wyrwać i jako z kosturem powędrować w inną drogę.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

ODWIECZNA KLAUZULA TAJNOŚCI

Według oficjalnego raportu w latach 1946-2016 ofiarą molestowania przez niemieckich księży padło ponad 3600 dzieci

Wojciech Osiński

Korespondencja z Niemiec

Wrześniowy raport o skali nadużyć seksualnych w Kościele katolickim nie wywołał wśród Niemców większego poruszenia. Proces utraty zaufania do tej instytucji zaczął się bowiem już dawno temu.

W ostatnich dwóch dekadach skandale pedofilskie zdyskredytowały wielu duchownych katolickich na całym świecie. Śledztwa dziennikarskie amerykańskiej gazety „Boston Globe” (znakomicie odtworzone w oscarowym hicie „Spotlight”) ujawniły w 2002 r. ogromną skalę molestowania seksualnego w archidiecezji bostońskiej. Przestępstw dopuściło się kilkuset księży, a ze względu na konieczność wypłacenia odszkodowań kilkanaście amerykańskich diecezji znalazło się na krawędzi bankructwa. Był to jednak wierzchołek góry lodowej. W sierpniu 2018 r. prokurator generalny Pensylwanii ogłosił prawie tysięczny raport wymieniający setki ofiar tylko w tym stanie. Duchowni molestowali nieletnich chłopców, produkowali również pornografię z ich udziałem, którą rozprowadzali w środowisku pedofilów. W lipcu zaś „New York Times” ujawnił, że były arcybiskup Waszyngtonu, kard. Theodore McCarrick, przez dziesięciolecie gwałcił ministrantów.

Afery upublicznione w USA spowodowały falę raportów na całym świecie. Obecnie Kościół katolicki pograża się w kryzysie m.in. w Holandii, Belgii, Australii, Meksyku, Hondurasie i Norwegii. Jednak w żadnym z tych krajów dokument na temat pedofilii w Kościele nie wzbudził takiego oburzenia jak w Irlandii. Opublikowany w 2009 r. raport był w Dublinie momentem przełomowym. W ciągu kilku miesięcy wpływy księży w tym arcykatolickim kraju gwałtownie zmalały, równie gwałtownie zmniejszyła się liczba wiernych. Ogromne zmiany zaszły w kwestiach obyczajowych, Irlandia stała się dużo bardziej liberalna.



Podczas wizyty papieża Benedykta XVI w Niemczech w 2011 r. prezentowano film „Pedofilie i bezkarność”.

Po tych skandalach do Watykanu zaczęły już masowo wpływać żądania podjęcia stanowczych kroków w walce z kościelnym molestowaniem. Również w Niemczech opublikowano niedawno raport o przypadkach pedofilii w Kościele, choć – co znamienne – nie wywołał on większego zainteresowania.

SKALA PRZESTĘPSTW

W Niemczech znową milczenia przełamała po części debata #metoo, ożywiając tym samym dyskusję o pedofilii w Kościele katolickim. Z raportu, który ukazał się we wrześniu, wynika, że w latach 1946-2016 molestowanych przez niemieckich księży było

ponad 3,6 tys. dzieci. Do dokumentu przygotowanego na polecenie episkopatu dotarły tygodniki „Der Spiegel” i „Die Zeit”. W większości przypadków ofiarami byli chłopcy. Liczbę księży, diakonów oraz zakonników, którzy ich wykorzystywali, ustalono na przeszło 1,6 tys. osób. Również w Niemczech ujawnione skandale stanowią czubek góry lodowej. Sam przewodniczący episkopatu, kard. Reinhard Marx, przyznaje, że rzeczywiste rozmiary pedofilii w Kościele katolickim mogą być znacznie większe. W mediach pojawiły się doniesienia o celowym niszczeniu akt oraz manipulacjach liczbami ofiar i przestępców. Podobne oskarżenia będą padały bez końca, dopóki katolicy księży nad Renem nie oczyszczą się

z podstawowego zarzutu, jakim jest niedopuszczenie do ujawnionych dokumentów urzędników państwowych.

Choć nawet te informacje, które dzięki dziennikarzom hamburskich tygodników przeciekły do opinii publicznej, dostarczają sporo materiału do przemyśleń. Wszczęto postępowania dotyczące ok. 560 przypadków, z czego ok. 150 zakończyło się bez orzeczenia kar kościelnych; ok. 100 razy udzielono upomnienia. Sprawy jednej trzeciej podejrzanych księży znalazły się na biurkach prokuratorów, jednak tylko dzięki presji wywieranej przez ofiary bądź ich bliskich. Do sądów trafiło ostatecznie ok. 120 spraw, ale nawet w tym wypadku najwyższą ceną, jaką przyszło duchownym zapłacić za swoje przestępstwa, było – praktykowane w Polsce już od wielu lat – przeniesienie podejrzanych do kolejnych parafii bez informacji o powodach.

To, że dokument – owoc pięciu lat pracy specjalnej komisji, która przebadła akta personalne 38 tys. ludzi Kościoła katolickiego z 27 niemieckich diecezji – nieszczególnie poruszył Niemców, jest zastanawiające, gdy weźmie się pod uwagę zarzuty, jakie padły pod adresem episkopatu już po jego ujawnieniu. Tym bardziej że kiedyś niemieccy wierni z lubością przysłuchiwali się argumentom o poddaniu księży rygorom odpowiedzialności. Zamiast tego w reakcjach na wrześniowy raport pojawia się wciąż ta sama odpowiedź: „No i co z tego? Przecież wszyscy wiemy, jak jest”. Przedstawione przez hierarchów sensacje nie wywołały zaskoczenia, ponieważ proces utraty zaufania do Kościoła katolickiego, uchodzącego przez lata za nienaruszalny, zaczął się dawno temu, a ostatnie publikacje są tylko tego potwierdzeniem – swego rodzaju kropką nad i.

Fala informacji o molestowaniu wśród niemieckiego kleru wezbrała osiem lat temu po ujawnieniu skandalu w katolickiej szkole Canisius-Kolleg w berlińskim Tiergarten. Przez lata ok. 100 księży dopuszczało się nadużyć seksualnych wobec 600 uczniów i uczennic. Sprawy te po pewnym czasie zostały wyciszone. We wrześniowym raporcie oczywiście nie ma na ten temat ani słowa, podobnie jak o molestowanym latami chórze chłopięcym w Kolonii, o którym na chwilę usłyszał cały świat.

STRUKTURY NAD BOGIEM

Kościół katolicki ma w Niemczech nadal bardzo solidne struktury. Skandale pedofilskie nadszarpują wprawdzie jego reputację, lecz jedynie w nieznacznym stopniu finanse. Po berlińskiej aferze w 2010 r. nasiliły się wystąpienia z Kościoła, ale sam trend już wtedy był obecny, gdyż wielu Niemcom przeszła chęć płacenia podatku kościelnego (*Kirchensteuer*). Z roku na rok spada również liczba wiernych biorących udział w nabożeństwach. Z ustaleń dziennika „Die Welt” dowiadujemy się, że jeszcze 40 lat temu w pruderyjnej i konserwatywnej RFN chodził do świątyni co drugi katolik, dzisiaj – co dziwią. Jednak nie zmienia to faktu, że wpływy do kas obu Kościołów (katolickiego i ewangelickiego) rosną corocznie o ok. 2%. Przy czym wynika to nie z duchowego przebudzenia wiernych, ale ze znakomitej kondycji niemieckiej gospodarki i – co za tym idzie – większych wpływów z podatku kościelnego, wynoszącego ok. 10% podatku od dochodów osobistych. Już niemiecki papież Benedykt XVI (którego wybór rodacy przyjęli z podobną obojętnością jak ostatnie skandale pedofilskie) przed laty zauważył: „Istnieje u nas dominacja struktur nad Bogiem”.

Niemiecki Kościół wykazuje się tymi samymi cechami, które charakteryzują inne tutejsze instytucje – jest po prostu doskonale zorganizowany. Choć paradoksalnie w coraz mniejszym stopniu wywiera wpływ na wiernych. Zresztą polski czytelnik, często obwiniający swoich duchownych o konszachty z politykami, powinien zerknąć na sytuację za Odrą, chętnie przywoływaną jako postępowy wzór.

Niemiecki Kościół jest niezwykle zaangażowany w politykę. O jego specyficznej roli świadczy np. odbywający się każdego roku Katholikentag (Dzień Katolików), impreza z udziałem najważniejszych polityków, ludzi ze świata biznesu oraz tysięcy uczestników, którzy najwyraźniej nie przejmują się zbyt wiele wychodzącymi na jaw przestępstwami pedofilskimi. Koszty tego wydarzenia wynoszą ok. 10 mln euro, jednak dzięki uzyskanym podczas niego kolejnym funduszom i nawiązanym kontaktom zwracają się z nawiązką. Przeszło połowa niemieckich katolików uważa, że ich Kościół ma zbyt szerokie wpływy polityczne. Podobnie jest skądinąd z Kościołem protestanc-

kim (mającym 21,5 mln członków, czyli ok. 2 mln mniej niż Kościół katolicki), bardziej liberalnym w kwestiach obyczajowych, mimo to nie potrafiącym powiększyć liczby wiernych. To zresztą dostarcza amunicji konserwatywnym oponentom luteranów, twierdzącym, że forsowana przez ewangelików liberalizacja nie zapewnia przyrostu członków. W każdym razie oba Kościoły nie są wolne od polityki. W ostatnich latach nie było dnia, by jakiś niemiecki hierarcha nie odniósł się do bieżących spraw publicznych, np. do kryzysu migracyjnego.

Medialne doniesienia o nadużyciach seksualnych (których w Kościele protestanckim z wiadomych powodów jest mniej) nie budziły więc szczególnego zdziwienia, ale nowe publikacje w niemieckiej prasie stały się iskierką, która może się zamienić w płomień. Z katolickiej Nadrenii dopiero teraz zaczynają wypływać informacje o dramatycznej skali gwałtów i molestowań nieletnich. W końcu październik arcybiskupstwo w Kolonii wydało oświadczenie, że zawiesiło w służbie kilku księży, którzy dopuścili się przestępstw na tle seksualnym, i przekazało sprawy organom śledczym. Mimo tabuizacji tych spraw i obojętności niemieckich wiernych wymiar sprawiedliwości nie śpi i szykuje się do ofensywy.

PODEJRZENIE WSTĘPNE

Wyobraźmy sobie taką sytuację: pracownicy znanego niemieckiego koncernu przez dziesięciolecia pełnią w imieniu swojej firmy przestępstwa. Gdy po pewnym czasie zamiatane pod dywan sprawy zaczynają w końcu spod niego wyglądać i członkowie zarządu owej spółki przyznają się do nich, nie spotyka ich żadna kara. Podobne zdarzenie wywołałoby w Niemczech medialną burzę. Ale to właśnie się dzieje, tyle że firmą nie jest Volkswagen (tam głowy już poleciały), tylko Kościół katolicki. Jego przedstawiciele biją się w piersi, ale nadal pławią się w poczuciu bezkarności, bo niezawodni na każdej innej płaszczyźnie niemieccy prokuratorzy są ewangelicznie cierpliwi.

Nad tą dziwną niemożnością śledczych zastanowiła się grupa profesorów prawa karnego z Bawarii. Holm Putzke z uniwersytetu w Pasawie skrytykował z prawa złożenia doniesienia

► przeciwko „osobom nieznanym”. W liście skierowanym do prokuratury podkreślił, że niemieckie prawo nakazuje śledczym bezwarunkowy obowiązek wyjaśnienia „podejrzenia wstępnego”, zwłaszcza jeśli – tak jak w przypadku pedofilii w Kościele – wiele spraw jest nieprzedawnionych. Putzke złożył doniesienie w kilku bawarskich prokuraturach, wszędzie tam, gdzie znajduje się diecezja, na którą padło podejrzenie. Być może zastosowane przez pasawskich prawników instrumenty nareszcie wyciągną na światło dzienne dokumenty, które Kościół chowa „pod sutanną”, zasłaniając się klauzulą tajności.

W tym kontekście narzuca się pytanie, czy niektóre dokumenty w ogóle jeszcze istnieją. Dotychczas żaden prokurator nawet nie próbował ich skonfiskować. W najlepszym razie składał w diecezjach prośby o ich udostępnienie. – Śledczy zastaniają się argumentem, że wszystkie dane wykorzystane w raporcie były anonimowe i trudno zidentyfikować nazwiska ofiar oraz sprawców – tłumaczy Putzke. Dopóki ofiary nie złożą donie-

sienia lub konkretni księża nie przyznają się do swoich niecznych czynów, prokuratorzy mają de facto związane ręce. Śledczy muszą więc liczyć na dobre intencje przedstawicieli Kościoła, którzy sami wskażą podejrzanych. Czasem te nadzieje się spełniają, jak choćby w październiku w Kolonii. Podkreślimy jednak: czasem. Toteż zdaniem Putzkego niemieckie organy muszą zabezpieczyć wykorzystane w raporcie dokumenty. Bo nawet jeśli badania zostały przeprowadzone anonimowo, mogą one zawierać ważne poszlaki i powinny już dawno trafić na biurka śledczych. – Opracowane materiały nie mają nic wspólnego z duszpasterstwem, dlatego w tym wypadku nie mogą pozostać tajne – uważa Eric Hilgendorf, filozof prawa z Würzburga, który oczekuje, że śledczy zdobędą się wreszcie na serię przeszukań i obław policyjnych w niektórych parafiach.

Na pewno mogliby oni liczyć na wsparcie z Berlina. – W demokratycznym i praworządnym państwie takim jak Niemcy nie ma tajnych archiwów, jeśli chodzi o pedofilię w Kościele.

Winni księża nie unikną konsekwencji, wszyscy są równi wobec prawa – zaznacza Katarina Barley (SPD), minister sprawiedliwości w rządzie federalnym.

Na przełom w prowadzeniu postępowań karnych wobec niemieckich duchownych czeka także 55-letni Matthias Katsch, który jako dziecko padł ofiarą molestowania przez dwóch księży we wspomnianym berlińskim gimnazjum Canisius-Kolleg. – Państwo i Kościół w Niemczech trwają w zмовie milczenia, co zapewnia klerowi bezkarność. To musi się zmienić – żąda. Być może powoli się zmienia. Z inicjatywy papieża Franciszka odbędzie się w lutym 2019 r. w Watykanie szczyt szefów episkopatów z całego świata na temat pedofilii w Kościele. Jeśli biorący w nim udział duchowni nieco poluźnią klauzulę tajności, można się spodziewać kolejnego tsunami doniesień oraz demonstracyjnego bicia się w piersi. Pytanie tylko, czy poluźnią. Otóż muszą, jeśli Kościół katolicki chce kiedyś się oczyścić i zakończyć ten największy kryzys w swojej historii od czasów reformacji.

Wojciech Osiński

Gentleman

z rewolwerem

Skradnie ci serce

w kinach 16 listopada

Robert Redford

Sissy Spacek

Casey Affleck



COŚ TY ZROBIŁ, RONALDINHO

Zwycięstwo Bolsonaro oznacza poważny kryzys demokracji w Brazylii i w całym regionie



Lech Miodek

Jest rok 2009. Jair Messias Bolsonaro wiesza w swoim gabinecie w Izbie Deputowanych plakat z hasłem „Tylko psy szukają gości”. To wyraz jego stosunku do rodzin ofiar dyktatury wojskowej (1965-1985), które próbują odnaleźć groby setek młodych działaczy lewicowych, torturowanych, mordowanych i grzebanych w głębokich fosach. Dziewięć lat później 55% Brazylijczyków biorących udział w II turze wyborów wskazuje go jako prezydenta tego wielkiego kraju. Jego zwycięstwo oznacza poważny kryzys demokracji w Brazylii i w całym regionie.

BRAZYLJCZYCY WYBRALI PRZESZŁOŚĆ

Kraj, który dał światu wybitną literaturę, sztukę, muzykę i film, karnawał i futbol, kraj Heitora Villi-Lobosa, Caetana Velosa i Marii Bethâanii,

Machada de Assisa i Jorge Amado, Clarice Lispector i Nélidy Piñón, oddał swój głos na lidera, który neguje to, co w Brazylii najpiękniejsze i najcenniejsze. Niełatwo zrozumieć, dlaczego miliony ludzi postanowiły opowiedzieć się za kimś tak agresywnym. Zwolennikiem autorytaryzmu i stosowania tortur, przeciwnikiem demokracji, antyfeministą i homofobem. Dlaczego zrobili to czarnoskórzy lub kolorowi piłkarze, tacy jak Ronaldinho czy Rivaldo, kiedy powszechnie wiadomo, że Bolsonaro jest rasistą? Tłumaczenie, że kraj jest podzielony, że głosowano przeciw korupcji, która ogarnęła Brazylię za rządów lewicowej Partii Pracujących, to za mało. Wszak korupcja na prawicy była jeszcze większa. Także stwierdzenie, że chodzi o bezpieczeństwo – a to może zapewnić wojsko – nie wystarczy. Były spadochroniarz nie wygrał wyborów z uwagi na swoje wartości ani to, co do tej pory zrobił. Wygrał, bo część społeczeństwa marzy o powrocie do przeszłości.

Brazylia zbudowała kiedyś specyficzne społeczeństwo odznaczające się naturalną swobodą, otwartością jednego człowieka na drugiego, kreatywnym współżyciem wielu ras i kultur. Jednak nie wyzbyło się ono uczucia poddaństwa, potrzeby posiadania przywódcy, który zapewniłby mu wieczne szczęście, jak w czasach kolonii pułkownicy.

Jair Bolsonaro, emerytowany kapitan, wspierany przez politycznie prawie nieobecne ugrupowanie, Partię Społeczno-Liberalną (PSL), pokonał kandydatów centrowych i lewicowych. Fernando Haddad, który był tylko erazem uwiecznionego Luli, przegrał, choć uzyskał przyzwolony wynik (44%).

FAWELE BEZ KOLEJKI

Bolsonaro pojawił się jako produkt rozczarowania rządami lewicy, która obarczona korupcją sama zabiła nadzieje, jakie z nią wiązano. W wielkiej szkole samby zaczęła swój makabryczny taniec zdeprawowana demagogia: Bóg, porządek i rodzina. Została rozbudzona tęsknota za dyktaturą wojskową. Na cześć zwycięstwa „zbawiciela ojczyzny” już gloszą peany Kościoły fundamentalistyczne, korzystające z przywilejów podatkowych nieprzystługujących ludziom biednym. Cieszy się skorumpowana magnateria finansowa i gospodarcza, do której Bolsonaro puszcza oko. Jest faktem, że sytuacja polityczna w Brazylii powodowała ucieczkę kapitału, głównie do Stanów Zjednoczonych. Według New World Wealth, w 2017 r. były to 2 mld dol. Gospodarka znalazła się w sytuacji najgorszej od lat recesji, politycy nie potrafili sobie z nią szybko poradzić, przemoc uliczna była nie do zniesienia – w tymże 2017 r. zabitych zostało 64 tys. osób. Kraj zaczynał przypominać tonącego „Titanica”.

Błędym wspomnieniem były czasy, kiedy Brazylijczycy patrzyli w przyszłość z optymizmem. W 2011 r. największa gospodarka Ameryki Łacińskiej osiągnęła stopę wzrostu PKB 7,5% i przygotowywała się do Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej 2014 oraz igrzysk olimpijskich w roku 2016. Były pieniądze i roboty publiczne. W północnej części Rio de Janeiro, w kompleksie faweli Alemão, oddano do użytku 3,5-kilo- ▶

► metrową kolejkę linową, przedmiot chwały gubernatora Sérgio Cabrala. Kolejka obsługiwała codziennie do 120 tys. osób, w tym turystów, w rejonie uznawanym za jeden z najniebezpieczniejszych w mieście. Szefowa Międzynarodowego Funduszu Walutowego Christine Lagarde porównywała ją do kolejek alpejskich. Jednak dwa miesiące po olimpiadzie, w październiku 2016 r., rząd stanowy podjął decyzję o zamknięciu kolejki na skutek zużycia kabli trakcyjnych. Stan Rio de Janeiro popadł w głęboki kryzys finansowy. Gubernator Sergio Cabral przebywa w więzieniu skazany za korupcję. Mieszkańcy porzuconego przez rząd kompleksu faweli Alemão żyją bez kolejki.

Jednak Bolsonaro nie jest rozwiązaniem. Jeśli korupcja, rozkład instytucji publicznych i zubożała klasa średnia są problemem strukturalnym w Brazylii, to koncentracja władzy w rękach autorytarnego wojskowego może tylko przyspieszyć odejście kraju od zasad demokratycznych w kierunku dyktatury.

PANI NA GWAŁT NIE ZASŁUGUJE

W wyborze nie przeszkodziły aroganckie brednie wygłaszane przez 27 lat przez Bolsonara, gdy był deputowanym do Kongresu. Znany był z takich stwierdzeń: „Ja bym pani

nie zgwałcił, bo pani na to nie zasługuje” (do deputowanej w czasie nagrania telewizyjnego w 2003 r.), „Dyktatura powinna zabić 30 tys. osób więcej, zaczynając od Kongresu i prezydenta, Fernanda Henriquea Cardosa” (1999), „W czasach dyktatury mieliśmy demokrację. Nie mieliśmy tylko wyborów” (2016), „Nie mógłbym kochać syna homoseksualisty, wolałbym, aby zginął w wypadku samochodowym” (2001) albo „Policjant, który nie zabija, nie jest policjantem” (2017).

Jair Bolsonaro pojawił się jako produkt rozczarowania rządami lewicy.

Urodzony w 1955 r. Jair Messias Bolsonaro, syn wiejskiego dentysty, który nie miał uprawnień do wykonywania zawodu, może budzić strach części społeczeństwa. Pod koniec dyktatury wojskowej (1985) starał się zakotwiczyć w wojsku, ale ze względu na konfliktowy charakter szybko został przeniesiony do rezerwy. Oddania władzy przez wojsko w 1985 r. nie odważył się kwestionować. Nie miał też czego się obawiać, w 1979 r. została przyjęta ustawa o amnestii, która zwalniała przedstawicieli służb publicznych z wszelkiej odpowiedzialności za naruszenia praw człowieka. Poza

polityką, w której był pariasem, Bolsonaro nie miał szans funkcjonowania w innym zawodzie. Zwolennik autorytaryzmu i stosowania tortur, przeciwnik demokracji w prosperującej Brazylii za czasów Luli da Silvy (2003-2011) możliwości awansu w polityce miał nikłe.

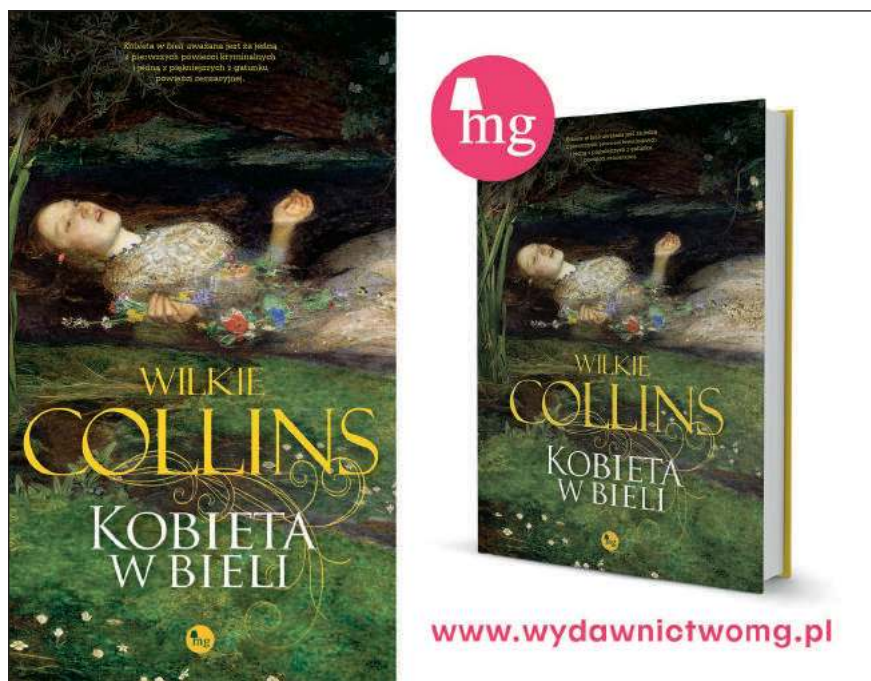
Za to zawsze z wielką atencją odnosił się do wojska. Dowodził, że ono nigdy by nie dopuściło do obecnej korupcji, przemocy i biedy. Dziś także uważa, że jego rola w państwie w zakresie bezpieczeństwa wewnętrznego powinna być zwiększona. Jest zwolennikiem szerszego dostępu cywilów do broni. Na stanowisko wiceprezydenta swojego gabinetu zaproponował ultrapravicowego generała. Nie był to przypadek. W ostatnich wyborach o stanowiska polityczne starało się 117 wojskowych.

Krytykami się nie przejmując. Kiedy protestujący krzyczeli, że jest homofobem, mizoginem, maczystą lub faszystą, odpowiadał: „Nazywajcie mnie człowiekiem skorumpowanym”.

BIADA PRZECIWNIKOM

W 2016 r. Bolsonaro z myślą o prezydenturze wywiózł swoje dzieci do Izraela, aby pastor ewangelicki mógł je ochrzcić w Jordanii. Dlatego w wyborach mógł liczyć na poparcie ewangelików (26% uprawnionych do głosowania). TV Record, druga najważniejsza sieć telewizyjna w Brazylii będąca własnością Edira Maceda, magnata medialnego i biskupa ewangelickiego Powszechnego Kościoła Królestwa Bożego, posłużyła mu do budowania wizerunku. To właśnie w niej 4 października, gdy wyszedł ze szpitala po dokonanym na niego zamachu, Bolsonaro udzielił pierwszego wywiadu.

Jego umizgom do ewangelików nie przeszkadza fakt, że żenił się trzykrotnie i ma dzieci z trzech małżeństw. Głosi, że jest zwolennikiem modelu rodziny tradycyjnej. Swoje spotkania kończy zdaniem: *Deus acima de tudo* (Bóg przede wszystkim). Jednak dla biednych rodzin ma nieco inny plan. Stwierdził, że w tym wypadku jest zwolennikiem kontroli urodzin. „Nie możemy się godzić na taką stopę urodzeń. To coś, co logicznie jest korzystne dla





W internecie
Bolsonaro
jest nazywany
Bonossauro
i Bolsonaro.

rządów skorumpowanych i populistycznych”.

Nowy prezydent nie kryje, że dla przeciwników przewiduje przemoc i wygnanie. Politykę rozumie jako pole walki z każdym, kto nie przyłączy się do krucjaty opartej na porządku, wierze i dyscyplinie wojskowej. Już w czasie kampanii wyborczej proponował rozstrzelanie członków Partii Pracujących. Ruch Bezrolnych nazywał bandytami, Ruch Pracowników bez Dachy nad Głową – organizacją terrorystyczną. Zapowiedział, że gazetę „Folha de São Paulo”, która pisała o jego strategii wyborczej opartej na fake newsach, ukarze, zabierając jej reklamę rządową. Zwracając się zaś do uwięzionego byłego prezydenta Luli da Silvy, powiedział w jednym z ostatnich wystąpień: „Poczekaj, wkrótce przyjdzie do ciebie Fernando Haddad (konkurent w wyborach prezydenckich), ale nie po to, by cię odwiedzić. Przyjdzie, aby spędzić z tobą parę lat”.

W karierze politycznej Bolsonaro był członkiem siedmiu różnych partii (w brazylijskiej Izbie Deputowanych jest ich ponad 30) i za każdym razem dbał wyłącznie o własne interesy. Ze 190 projektów ustaw, jakie wniósł, 32% dotyczyło wojskowych, 25% bezpieczeństwa publicznego, trzy dotyczyły tematów gospodarczych, dwa – zdrowia, a jeden – oświaty.

Proponuje „demokrację” na ruinach państwa prawa. Teraz ma ono uzasadniać represje i bezkarność sił „dbających” o bezpieczeństwo wewnętrzne. Demokrację bez prawa i sprawiedliwości. Ze zwolennikami żegnał się, twierdząc, że kocha dzieci i nienawidzi socjalizmu. Hasłem towarzyszącym mu w całej kampanii było: „Brazylia przede wszystkim. Bóg nad wszystkim”. Do Kongresu wprowadził 51 deputowanych, którzy z pewnością nie będą bronić praw człowieka. Przyłączył się nato-

miast do grupy BBB. Są to hodowcy bydła (*buey*) i wielcy posiadacze ziemscy, ewangelicy, którzy chcą rządzić, opierając się na Biblii, i zwolennicy uzbrojenia (*bala*) całego narodu, z dziećmi włącznie.

Wybór kandydata, który otwarcie podważa podstawowe zasady demokracji, będzie poważnie wpływał na gospodarkę kraju, który miał należeć do wiodących państw świata XXI w.

GRA O PRZYSZŁOŚĆ AMAZONII

Pisząc o Bolsonarze, nie można potraktować obojętnie opublikowanego w ubiegłym tygodniu w „New York Timesie” artykułu „O co toczy się gra wyborcza w Brazylii? O przyszłość Amazonii”.

Somini Sengupta, dziennikarka zajmująca się problematyką ekologiczną, uważa, że wybór Jaira Bolsonaro będzie miał poważne

Nowy prezydent nie kryje, że dla przeciwników przewiduje przemoc i wygnanie.

konsekwencje międzynarodowe. W zasadzie będzie to także referendum dotyczące Amazonii, płuc planety. Bolsonaro obiecał bowiem zlikwidować ministerstwo środowiska poprzez połączenie go z ministerstwem rolnictwa. Planowana wycinka dżungli amazońskiej otworzyłaby przed sektorem rolno-hodowlanym możliwość wykorzystywania nowo zdobytych gruntów pod uprawę soi i hodowlę bydła. Zdaniem Bolsonaro bowiem, polityka ekologiczna doprowadziła do „uduszenia się kraju”.

Brak stabilizacji politycznej spowodował, że w stanach Rondônia i Mato Grosso nielegalna deforestacja przyspieszyła. Jak ocenia Instytut Konserwacji i Trwałego Rozwoju

Amazonii, w ostatnich trzech latach zwiększyła się o 77%. Tylko między sierpniem 2017 r. a sierpniem 2018 r. wycinka dżungli amazońskiej zwiększyła się o 40%. W ciągu ostatnich 30 lat wylesienie objęło obszar wielkości Szwecji.

Poza wycinką drzew w dżungli poszukuje się złota i diamentów. Oba stany przekształciły się w pole walki interesów. Po jednej stronie są tubylcy wspierani przez obrońców środowiska, a po drugiej hodowcy bydła i plantatorzy. Instytucje ochrony środowiska otrzymują od rządu coraz mniejsze fundusze na działalność kontrolną i wymuszanie przestrzegania prawa na uzurpatorach, którzy – na domiar złego – cieszą się poparciem politycznym.

Nowy prezydent nie może przymykać na to oka. Brazylia jako sygnatariusz porozumień paryskich zobowiązała się do zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych o 37% do 2025 r., a jest siódmym największym emitentem tych gazów w skali planety. I chociaż jeszcze niedawno Bolsonaro deklarował, że nie zamierza chronić nawet jednego milimetra ziemi, która powinna być uprawiana, ogłosił na konferencji prasowej 25 października, że nie wycofa Brazylii z porozumień paryskich. Można to jednak traktować jako manewr przed tworzeniem rządu i zawieraniem sojuszków w parlamencie. Silna grupa właścicieli ziemskich zdaje sobie sprawę, że wychodząc z porozumienia, pozbywałaby się międzynarodowych certyfikatów jakościowych koniecznych w eksporcie produktów rolno-hodowlanych. Taki tok rozumowania potwierdził m.in. przygotowywany na ministra rolnictwa Nabhan Garcia. Jednak bez względu na to, czy Brazylia wyjdzie z porozumienia paryskiego, czy nie, wycinka dżungli amazońskiej będzie bezkarna.

Lech Miodek

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

Czy przed przyjściem do korporacji miała pani wyobrażenie, że to świat jak z amerykańskiego filmu, a więc fałszywy?

– Do korporacji trafiłam praktycznie chwilę po studiach. Nie chcę mówić, że był to świat fałszywy. Na pewno jednak nieco wyidealizowany. To chyba dość normalne, bo mało kto ubiega się o pracę w miejscu, w którym pracować nie chce. Zazwyczaj chcemy postrzegać nowego pracodawcę jako lepszego od poprzedniego. Pozwalającego nam się rozwijać, dającego szansę na awans, oferującego zadowalające zarobki. Ale z czasem zachwyt mija, a my odkrywamy różne mankamenty danej pracy i firmy.

Odkrycie prawdziwego oblicza korporacji było szokiem? A może wszystko się zgadzało?

– Gdybym się ze wszystkim zgadzała i gdyby zgadzali się inni pracownicy korporacji, nikt by z nich nie uciekał. Nikt nie myślałby co jakiś czas, aby „rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady”. Praca w korporacji wymaga konformizmu. Nie ma w niej za dużo miejsca dla indywidualistów, bo wszystko określają procedury, ale trudno powiedzieć, że można przeżyć w nich szok. To raczej powolne gotowanie żaby. I albo się przyzwyczajamy i mimo że woda staje się coraz gorętsza, znajdujemy coś, co nas w korpo trzyma – choćby pieniądze – albo uciekamy.

Czy praca w Mordorze jest ciężka?

– Tu należy odpowiedzieć jak prawnicy: to zależy. Od tego, na jakim stanowisku i w jakim dziale, ale także od okresu. Są takie okresy, że trzeba ostro zasuwać po kilkanaście godzin na dobę, a po powrocie do domu ma się ochotę tylko paść na łóżko. Ale są i takie, że znaczna część osób tworzy wokół siebie otoczkę zapracowania. Jak to mówiła moja niegdysiejsza koleżanka, „najważniejsze jest robić wokół siebie dobry PR”.

Ciężka fizycznie, psychicznie? Zbyt długa, monotonna, człowiek wstaje od biurka zdęty?

– Wszystko naraz. Czasem i stresująca – nawet bardzo. Często jest ciśnienie na wynik: kwartalny, półroczny, roczny. Z czasem jednak większość z nas uczy się, jak przetrwać



POWOLNE GOTOWANIE ŻABY

Środowisko korpuludków
tworzy sobie bańkę,
w której żyje,
bo tak mu wygodniej

SARA TAYLOR

– autorka powieści „...i wyjechać w Bieszczady. Thriller z Domaniewskiej”, w której opisała dziesięcioletnie doświadczenia z pracy w korporacji

w korporacji bez nadmiernie ambitnego wyrabiania planów i podnoszenia sobie poprzeczki. Ale to też ogromna umiejętność – zrobić niezbędne minimum, zbytnio się nie wychylać i możliwie spokojnie przetrwać kolejny miesiąc, kwartał, rok.

**MA BYĆ LEKKO,
ŁATWO I PRZYJEMNIE**

Jaki jest stosunek szefostwa do pracowników? Sympatyczny, inspirowujący, stresujący, obojętny?

– Trudno uogólniać. Wiele zależy od ludzi i od stanowiska, a także od kultury organizacyjnej konkretnej firmy. Niestety, często ci, którzy awansowali i zajmują wysokie stanowiska – nie mówię o prezesach ani członkach zarządów – niezbyt dobrze traktują

podwładnych, asystentki, sekretarki. Wielu jest pracholikami i tego samego wymaga od innych. Tacy chcą pokazać, że skoro oni coś osiągnęli, awansowali, to znaczy, że można ciężko pracować. Niekiedy chcą też dać do zrozumienia, że są lepsi. A jeśli tak, to każdy poniżej jest gorszy, słabszy... I dają to odczuć.

Wszyscy w korporacji mówią sobie po imieniu?

– Zazwyczaj tak. Ale to zależy od rodzaju organizacji, kapitału i zarządów. Trochę inaczej jest w branżach kreatywnych, a inaczej w finansach i bankowości. Zachodnie korporacje przyniosły zwyczaj zwracania się po imieniu, ale bądźmy szczerzy – żyjemy w Polsce i niektórzy uznają, że nie wypada do kogoś zwracać się po imieniu lub ta osoba wręcz sobie te-

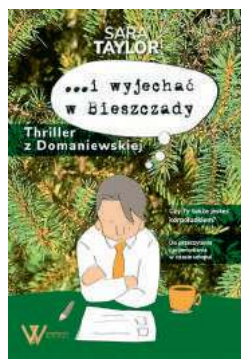
Sara Taylor to pseudonim literacki. Autorka jest Polką, pracuje w korporacji w warszawskim Mordorze. Mieszka w Warszawie, twierdzi, że jest „słoiem”, który tu studiował, a teraz pracuje. W październiku ukazała się jej kolejna powieść „Tamte wakacje” z warszawskimi korporacjami w tle, ale jest to przede wszystkim bardzo osobista opowieść głównej bohaterki, która w domu przeżywa swój dramat, a na zewnątrz jest piękną, zadbaną, elegancką, pewną siebie kobietą.



go nie życzy. Ale bardzo generalizując – tak, większość z nas zwraca się do siebie po imieniu.

Kontakty pracownik-pracownik. Największy problem czy największa przyjemność?

– Jeśli pracujemy w jednej firmie i dziale, to bardzo często rywalizujemy ze sobą, a znajomości raczej mają charakter pozorowany. Wskoczenie na dymka, małe ploty, kawkę – oczywiście tak, ale prawdziwe przyjaźnie koleżanek z sąsiednich biurko to wyjątki. Poważniejsze lub mniej poważne relacje osobiste też się rodzą między korpuldkami, ale niekoniecznie w ramach jednej organizacji. Łączy nas chyba przede wszystkim styl życia, myślenia i poziom zarobków. Dzięki czemu po prostu lubimy i możemy podobnie spędzać czas wolny, jeść na mieście, imprezować, wyjeżdżać na wakacje. Środowisko korpuldków bardzo często tworzy sobie bańkę, w której żyje, bo tak jest mu wygodniej. Ale ta bańka dotyczy środowiska, a nie poszczególnych korporacji.



Czyli przyjaźń i miłość to tylko kilka sympatycznych wspólnych nocy? Ale nie do końca budujących szczęście?

– Wśród korpuldków zdarzają się prawdziwe przyjaźnie i związki na całe życie, ale nasze podejście jest bardzo konsumpcyjne również w tych obszarach. Chętniej żyjemy w myśl zasady, że ma być lekko, łatwo i przyjemnie, niż w ramach małżeńskiej przysięgi „na dobre i na złe”. Bo po co ma być nam źle, skoro i tak dzieje się tyle złych rzeczy, że nie musimy nosić na sobie balastu niezbyt udanego związku. Lepiej się rozstać. Później wiele osób czuje się samotnych, porzuconych, skrzywdzonych. Ale ciągle biegniemy przez ten sklep z pięknymi towarami, nowymi facetami i kobietami, szukając lepszego, fajniejszego zabawki. Wymarzonego partnera lub partnerki. W najnowszej książce „Tamte wakacje” pokazują jednak, że są osoby, które z różnych powodów nie kończą niezbyt udanego, wręcz toksycznego związku. Ale

tu znów się pojawia pozorantstwo – bo na zewnątrz ten związek wygląda idealnie. Często wizerunek jest dla nas ważniejszy od bolesnej prawdy. Choć wiem też, że po przeczytaniu tej książki wiele osób z Mordoru nazwie moją bohaterkę nierealistyczną i głupią, bo skoro może odejść z toksycznego związku, to czemu tego nie zrobi? Zapewne nie będzie chciało ani potrafiło mojej bohaterki zrozumieć. Z drugiej strony znam wiele osób, wiele koleżanek, które doskonale takie sytuacje rozumieją.

Dużo się mówi o przypadkowym, doraźnym seksie.

– Ale też nie wszyscy tak żyją. Najczęściej jest to próba znalezienia „miłości”. Choćby tej fizycznej. Choćby na chwilę. Każdy zdrowy człowiek lubi seks, a jak się nie ma stałego partnera czy partnerki, trzeba sobie jakoś radzić. Wspólna jedna noc, czy kilka nocy, daje nam namiastkę związku, bliskości. Potrzebujemy się przytulić. No i te przygodne, krótkie znajomości są łatwiejsze. Nie trzeba się angażować, iść na kompromisy. Romans kojarzy się zazwyczaj tylko z tym, co przyjemne. Życie i tak niesie pewne nieporozumienia i przykrości.

Ćpanie, uprawianie przygodnego seksu, zaradumiałość i kilkunastotysięczne zarobki to korporacyjna norma?

– Wszystkich to nie dotyczy. Co nie znaczy, że tych, którzy właśnie tak postępują, nie ma. My większość rzeczy robimy „bardziej i mocniej”. Lubimy życie na maksa. Poza tym twardy reset jest dla nas jakimś wentylem bezpieczeństwa. Szybko i dużo pracujemy. Zarabiamy. Chcemy z tego korzystać. Bardziej, mocniej i lepiej doświadczać życia. Oczywiście wiem, że mnóstwo osób powie, że to bzdura i stereotyp, ale jeśli ktoś mi nie wierzy albo usłyszy od innego korpulduka, że to bzdury, niech porozmawia np. z taksówkarzami, którzy w weekend wożą do domów albo z imprezy na imprezę naćpanych menedżerów zajmujących poważne stanowiska.

LUBIMY LANS I FEJM

Jak wygląda dieta korpulduka? Naprawdę przeważają weganizm i wegetarianizm?

– Bardzo często tak jest, przynajmniej na poziomie deklaracyjnym. Ma być przede wszystkim zdrowo. ▶

► Mamy być fit. Pięknie wyglądać. Niekiedy dochodzi jeszcze dbałość o zwierzęta, czyli dbam nie tylko o siebie, ale i o środowisko naturalne. Jestem wrażliwa itp. Ale nierzadko to jedynie pozorowana społeczna odpowiedzialność biznesu. Chcemy być postrzegani jako osoby odpowiedzialne. A jednocześnie potrafimy sobie doskonale wytłumaczyć nasze odstępowstwa: bo mój organizm potrzebował, bo przy okazji imprezy, bo raz na jakiś czas mogę. Alkohol i jakoś tak samo sięgnęło się po kebab. Na co dzień jedni jedzą w knajpach, drudzy przynoszą jedzenie z domu, co pokazuje, że potrafią gotować. A to też dziś modne, w dużej mierze za sprawą telewizyjnych programów kulinarnych. Mimo wszystko wciąż mało kto wyobraża sobie pracę w korporacji bez „pana kanapki”.

Ktoś śmiał się, że pracownicy korporacji mają za małe garnitury i za ciasne buty. Czy zwraca się uwagę na markowe ubrania?

– Jeszcze jak! Wygląd, ubranie podkreślają nasz status społeczny, wysokość naszych zarobków, poczucie smaku i estetyki. Są istotnym elementem podczas różnego rodzaju spotkań biznesowych. Chcemy wyglądać niczym z żurnala i mamy na to pieniądze. Ale pod perfekcyjnym makijażem i tym markowym ubraniem, podkreślającym naszą nienaganną figurę, skrywają się osoby z wieloma problemami. Często chodzące do psychologa. Przyjmujące leki na poprawę samopoczucia. Istnieje, a właściwie rządzi, kult piękna, młodości, efektywności, zmotywowania, optymizmu, szczęścia. Smutas w pracy demotywuje i wprowadza złą atmosferę. My mamy być nastawieni na cel. Mamy wręcz tryskać energią, ocierającą się o ADHD, i optymizmem. Te wewnętrzne cechy mają się przejawiać też na zewnątrz, w stroju eleganckim, modnym, z odpowiednią metką, będącą poświadczeniem, że jesteśmy ludźmi sukcesu.

W jednym z wywiadów powiedziała pani: lubimy lans i fejm.

– Lubimy dobrze wyglądać i się pokazać. Kochamy wystąpić na konferencji – nawet jeśli zapłaciliśmy za możliwość wystąpienia. Wyjść na scenę, by odebrać nagrodę – nawet jeśli zapłaciliśmy za tę nagrodę. Pokazać się w jakiejś gazecie, na bankiecie... Dlatego tak chętnie używamy



mediów społecznościowych, aby się pokazywać, aby trochę kreować nasz świat na idealny. Na taki, którego można nam pozazdrościć. Jesteśmy trochę ekshibicjonistami, ale oczywiście pokazujemy nie prawdziwe życie, tylko to wylukrowane.

A wasze dramaty, przemyślenia, słabości?

– Skrywamy je bardzo głęboko, bo one nie są sexy i nikogo nie interesują. Bo przecież każdy chce żyć w komforcie.

Mówi się, że w dużych korporacjach jest wciąż szczurów, po trupach do celu.

– Najczęściej wygrywa „moje jest moje”, czyli przypadkiem nie próbuj wchodzić w moje kompetencje. Każdy projekt, w którym moją pracą było tylko wystanie mejla z kilkoma zdaniem opinii jest oczywiście „mój”. Puszczanie plotek na czyjś temat. Albo zwyczajnie pośrednie lub bezpośrednie donoszenie do przełożonych, jeśli to mogłoby nam pomóc w awansie. Albo przetrwaniu, gdy istnieje zagrożenie. Bo np. dwie osoby zajmujące się tym samym nie są potrzebne.

Są jednak liczne korzyści z pracy w korporacji. Stabilizacja, godziwe zarobki itd.

– Jak napisałam w książce, korporacje są OK, bo właśnie dają stabilizację, możliwość rozwoju, czerpania

z międzynarodowego know-how, wyjazdów na szkolenia... No i oczywiście zarobki. Ale nie dotyczy to wszystkich, bo przecież nie każda osoba pracująca w telefonicznym biurze obsługi klienta w banku czy u operatora telefonii komórkowej zarabia dużo i ma dostęp do wiedzy czy zagranicznych szkoleń. Ja korporację i pracę w niej odbieram przede wszystkim jako stan umysłu. Bo gdybyśmy uznawali, że każdy pracownik międzynarodowej firmy jest typowym korpolutkiem, to i pani na kasie w markecie byłaby korpolutkiem, i ktoś, kto pracuje w polskiej firmie, ale zarejestrowanej w raju podatkowym albo z udziałem kapitału zagranicznego. Mentalność korpolutka dotyczy tylko pewnej części pracowników, zwłaszcza tych, którzy z jednej strony utożsamiają się z tym środowiskiem, a z drugiej odpowiednio zarabiają.

MAMY BYĆ ZWYCIĘZCAMI

Jaka jest pozycja kobiety w korporacji? Czy alarmistyczne telefonny z przedszkola, szkoły lub zwolnienia na dziecko są respektowane?

– I tu, przyznaję, jest problem. Macierzyństwo, niestety, staje się problemem. Bo nie chciałabym demonizować, że generalnie kobiety są



Mordor to kwartał ulic na Służewcu Przemysłowym, wokół ul. Domaniewskiej, wypełniony biurowcami – największe w Warszawie skupisko zagranicznych korporacji. Pracuje tutaj kilkadziesiąt tysięcy ludzi, głównie 20-, 30- i 40-latków. Są tutaj też prywatne przychodnie zdrowia, kawiarnie, biura turystyczne, zakłady kosmetyczne, apartamentowce, sklepy z luksusowymi towarami. W dni robocze uliczki Mordoru są zastawione samochodami.

Na szczęście jeszcze mnie nie rozszyfrowano, choć kilkakrotnie gdzieś słyszałam albo widziałam coś na temat mojej książki. Zapewne nie straciłabym pracy ani nie spotkałabym się z jakimiś represjami, ale zawiść i złośliwość ludzka nie zna granic – więc po co? Też jestem w pewien sposób konformistką, ceniącą sobie wygodę. Gdyby tak nie było, nie wytrzymałabym dziesięciu lat w korpo. Ale trochę mnie to już uwiera. Za bardzo nie pozwala się rozwinąć, dlatego byłabym szczęśliwa, gdybym mogła żyć z pisania książek i to byłoby tymi moimi Bieszczadami, bo wcale nie zamierzam wyjeżdżać na stałe

uczestnicząc w zajęciach teatralnych lub tanecznych. Kazik Staszewski śpiewał, że „wszyscy artyści to prostytutki”, ale zazwyczaj bez względu na to, kim jesteśmy, często się prostytuujemy. Sprzedajemy część siebie, bo chcemy coś osiągnąć, np. pieniądze, a dzięki nim wygodniejsze życie, sławę... Ale coś za coś. Z czegoś musimy zrezygnować. Czemuś musimy umieć się podporządkować przez osiem-dziesięć godzin dziennie, aby nie martwić się o swój byt i spłatę kredytu hipotecznego. Resztę dnia możemy poświęcić na: pisanie, bieganie, śpiewanie...

Pisze pani, że korpo jest OK, tylko ludzie nie zawsze. Jacy powinni być ci ludzie, aby też byli OK?

– Jestem w dużej mierze taka jak inni, więc nie mam moralnego mandatu do mówienia, jak być powinno. Mogę tylko mówić, jak jest. Często oczywiście generalizując, bo nie każdy korpuludek jest do szpiku kości zepsuty. Ale jeśli ktoś pracuje kilka lat w korpo i widzi w tej pracy więcej plusów niż minusów, nie płacze codziennie rano, to zazwyczaj świadczy o nim, że jest korpuludkiem z krwi i kości. Lubimy lans, fejm, pieniądze, nasze życie ma być idealne.

A jednak zbuntowała się pani, jakby te kości zabolęły.

– W porządku. Ale wszyscy mamy być ludźmi sukcesu i tak bardzo, żyjąc w korpo i z korpuludkami, jesteśmy o tym przekonani i tą ideą przesiąknięci, że nawet nie dopuszczamy do siebie myśli, że mogłoby być inaczej. Jeżeli nawet dotrze do nas głos spoza tej bańki, uważamy go za coś nienormalnego, dziwnego, głupiego i odrzucamy. Ja w książce „...i wyjechać w Bieszczady” starałam się nakłuć ten balonik. Pokazać, jacy jesteśmy, jak żyjemy. Starałam się, aby książka była lustrem, w którym możemy zobaczyć siebie z pewnej perspektywy. Zastanowić się, czy to, co widzimy, jest OK, czy może jednak trzeba coś zmienić. Chciałam wywołać pewien dyskomfort. Zmusić do pomyślenia. Ale czy ktoś uzna, że chce w jakiś sposób się zmienić, czy nie, to już nie moja sprawa. Nie uważam, aby moim zadaniem było moralizowanie. Pokazuję pewien obraz, którego często w życiu nie widzimy lub widzieć nie chcemy, ale co dalej z tym zrobimy – każdy zadecyduje sam.

Bronisław Tumilowicz

w korporacjach jakoś gorzej traktowane od mężczyzn. To, że być może nas, kobiet, na stanowiskach menedżerskich jest mniej, wynika często z tego, że same się ograniczamy, wątpimy w siebie albo wolimy poświęcić się rodzinie i dzieciom. Gdybyśmy miały podobne podejście do życia jak mężczyźni, zawodowo byłybyśmy zapewne postrzegane jak faceci. Natomiast biologii nie zmienimy. To my rodzimy dzieci i najczęściej się nimi opiekujemy. A przecież pracę ktoś musi wykonać. Musimy być w pracy, pod mejlem i telefonem, na spotkaniu i w delegacji. Fizycznie bardzo trudno to wszystko pogodzić.

Czy już panią rozszyfrowano? Co by się stało, gdyby tę książkę uznało za powieść z kluczem?

– Ja, podobnie jak większość kobiet, nie do końca w siebie wierzę. Wielu facetów, wydając książkę, pewnie chodziliby z nią, pusząc się. A ja nie jestem pewna, czy to, co robię, jest dobre, choć bardzo bym chciała, aby tak było. Nie mam ambicji walczyć o literackiego Nobla ani nawet o Nike. Chcę tworzyć literaturę popularną. Bawić, wzruszać, dawać nadzieję. Być może czasem wywołać jakąś dyskusję. Uderzyć w jakąś rezonującą strunę. Chcę najpierw się sprawdzić. Zobaczyć, czy to, co mam do napisania, spodoba się czytelnikom, a zwłaszcza czytelniczkom.

Korporację i pracę w niej odbieram przede wszystkim jako stan umysłu.

z Warszawy. Wiem, że wielu polskich autorów żyje z pisania, że literatura dotycząca polskich realiów coraz lepiej się sprzedaje. A moje książki są mocno w nich osadzone. Z powieścią „Tamte wakacje” można niemal zwiedzać Warszawę i Lublin, ponieważ dokładnie opisuję miejsca, gdzie bywają główni bohaterowie.

Czy zna pani twórczość zespołów Mordorski i Megafony? Czy ich piosenki i teksty typu: „Wszystkie korpuludki to prostytutki” są popularne w środowisku korporacyjnym?

– Znam te zespoły, choć raczej nie nucę sobie codziennie rano ich utworów i chyba niezbyt wielu korpuludków to robi, ale dobrze, że są. Mogę jedynie się domyślać, że oni traktują swoją twórczość też jako pewnego rodzaju wentyl bezpieczeństwa. Realizują w ten sposób swoje pasje, tak jak ja poprzez pisanie. Inni, aby nie oszaleć i wprowadzić jakieś urozmaicenie do swojego życia, biegają maratony, kilka razy w tygodniu chodzą na siłownię, zapisują się na wolontariat, by pomagać dzieciom lub osobom starszym (choć to rzadkość, gdyż wolimy robić coś dla siebie), majsterkują,

Maciej J. Nowak

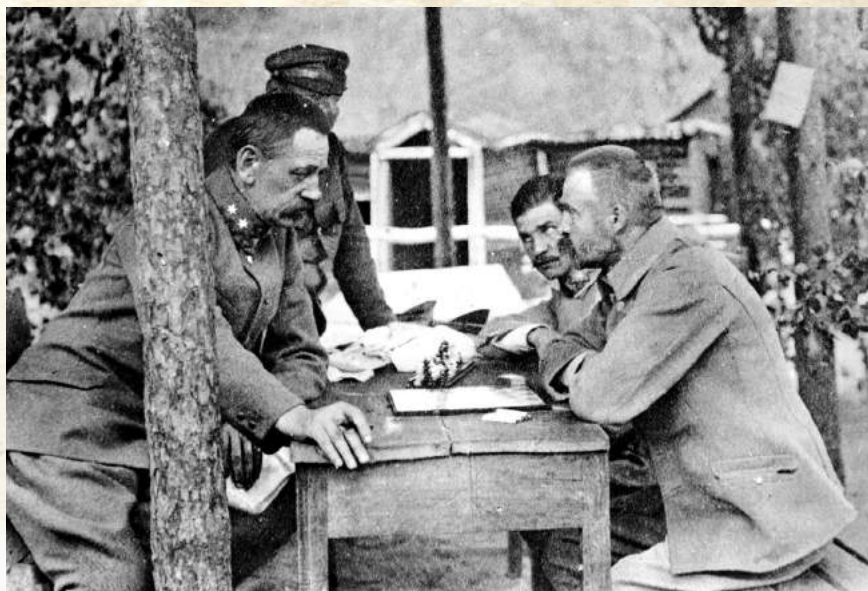
Z pozoru wygląda to w miarę nieskomplikowanie. 11 listopada 1918 r. Rada Regencyjna przekazała władzę wojskową Józefowi Piłsudskiemu, 14 listopada ostatecznie się rozwiązała. Następnie Piłsudski powołał na prezesa – jak mówiono wówczas, prezydenta – Rady Ministrów (na krótko) Jędrzeja Moraczewskiego, a w styczniu 1919 r. Ignacego Jana Paderewskiego. Duet Piłsudski-Paderewski miał symbolizować narodowe porozumienie i wspólną pracę państwowotwórczą. Za każdą jednak decyzją personalną i za każdym ruchem politycznym stoi zazwyczaj kalkulacja, uwzględniająca także inne warianty. Warto więc się zastanowić, jak wyglądały poważnie rozważane alternatywy w pierwszych miesiącach II RP. Może niewiele brakowało, a pierwsze twarze II RP byłyby zupełnie inne? Zaczniemy od samej Rady Regencyjnej, powołanej w roku 1917 przez władze okupacyjne. Ostatecznie w jej składzie znajdowali się ówczesny arcybiskup warszawski Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i hrabia Józef Ostrowski. Rada próbowała nie tylko formalnie, ale również faktycznie sprawować nadzór nad wszystkimi środowiskami politycznymi. Nie odnosiła jednak na tym polu zbyt dużych sukcesów. Pewne nadzieje wiązała zwłaszcza z rządem ziemianina Józefa Świeżyńskiego, ale i ta koncepcja nie wypaliła. Rząd, po pewnych próbach usamodzielnienia się, nieco konwulsyjnych, bardzo szybko upadł. I wtedy, na początku listopada 1918 r., do księcia Lubomirskiego niespodziewanie zgłosili się przed-

Może duet Lubomirski-Witos sprawdziłby się równie dobrze jak duet Piłsudski-Paderewski, jeśli nie lepiej?

stawiciele części lewicy. Wśród nich, zapewne trochę przestraszeni rozwojem nastrojów rewolucyjnych, Artur Śliwiński i Stanisław Patek. Wskazali wprost, że Rada Regencyjna nie ma legitymacji do rządzenia i jedynym sensownym rozwiązaniem będzie rezygnacja Kakowskiego i Ostrowskiego oraz przejęcie pełni władzy przez samego Lubomirskiego. Dlaczego akurat przez niego? Pomimo ziemian-

Naczelnik Lubomirski lub premier Głębiński

Niewiele brakowało, a pierwsze twarze II Rzeczypospolitej byłyby zupełnie inne



Józef Piłsudski znał się z Jędrzejem Moraczewskim jeszcze z Legionów. Nz. rozgrywają partię szachów w Wołczeczku w czerwcu 1916 r.

skiego pochodzenia cieszył się dużą popularnością jako sprawny administrator Warszawy. Popularność ta co prawda została trochę zachwiana poprzez fakt udziału w „zaborczej” Radzie Regencyjnej, ale książę był tego w pełni świadom i – jak wspominała jego żona – jak najbardziej liczył się z konsekwencjami podjętej decyzji. Samodzielne, oryginalne sta-

minano o kandydaturze Wincentego Witosa lub jego rywala w walce o ludowy rząd dusz – Stanisława Thugutta. Kto wie, może duet Lubomirski-Witos sprawdziłby się równie dobrze jak duet Piłsudski-Paderewski, jeśli nie lepiej? Pomysł ów nie spodobał się jednak innemu członkowi Rady Regencyjnej, Józefowi Ostrowskiemu. Aby cały plan mógł zostać łatwo i szybko zrealizowany, potrzebna bowiem była również jego rezygnacja. A jak wiadomo, politycy nie są przesadnie skorzy do oddawania władzy. O ile Kakowski od razu wyraził taką gotowość, o tyle Ostrowski znalazł wymówkę. Twierdził, że jest zobowiązany przysięgą, zgodnie z którą władzę złożył tylko królowi lub władzy wyłonionej przez Sejm Ustawodawczy. Argumentacja ta od razu została zakwestionowana, bo przecież był Kakowski. Arcybiskup od razu zaproponował współregentowi zwolnienie od przysięgi i wzięcie na siebie rozliczeń z Panem

nowisko potrafił wyrażać też później. Pomimo dobrych związków z sanacją (w 1926 r. bardzo poważnie rozważano jego kandydaturę na prezydenta kraju) potrafił zdecydowanie skrytykować aresztowania brzeskie.

W każdym razie, zdaniem Śliwińskiego i Patka, właśnie uczynienie z Lubomirskiego naczelnika byłoby najlepsze. Następnym ruchem miało być powołanie premiera; tu wspo-

Bogiem. Hrabia pozostał jednak nieugięty. Pomysł padł. A Ostrowski i tak swojej przysięgi nie dotrzymał – kilkanaście dni później Rada Regencyjna przeciw się rozwiązała.

Zresztą w listopadzie pojawiały się w niej różne pomysły. Zaraz po tym jak plan z Lubomirskim nie wyszedł, regenci zaproponowali tekę szefa gabinetu jednemu z przywódców endecji, Stanisławowi Głabińskiemu.

Przybycie do kraju najpierw Piłsudskiego, potem Paderewskiego stawiało innych polityków przed faktem dokonanym.

Mechanizm bardzo przypominał ten, który po kilku dniach został zastosowany wobec Piłsudskiego. Rada Regencyjna oświadczała, że rezygnuje ze swoich uprawnień na rzecz Rządu Narodowego, który to rząd miał właśnie zorganizować Głabiński. W tym przypadku Ostrowski już nie oponował. Adresat propozycji jednak odmówił – jak twierdził, przede wszystkim z powodu braku możliwości porozumienia z lewicą, która miała „popęlić zdradę wobec obozu narodowego i wejść na drogę rewolucyjną”. Sama ta ocena (dokonana we wspomnieniach) dyskwalifikuje Głabińskiego jako kandydata do roli, którą odegrał później Piłsudski. Przedstawiciel endecji nie potrafił się wznieść ponad spory i wciąż na inne formacje polityczne patrzył po partyjniacku. Zresztą, pomijając wszystko inne, były minister w rządzie austriackim i polityk przede wszystkim parlamentarno-gabinetowy był słabym kandydatem na męża opatrnościowego odradzającego się państwa.

WITOS ZAMIAST PIŁSUDSKIEGO

Zwolennicy Józefa Piłsudskiego słusznie podnoszą, że w 1918 r. to on okazał się politykiem, który potrafił zyskać autorytet u większości środowisk politycznych, stworzyć silny ośrodek władzy państwowej, zapobiegając np. walkom prawicy z lewicą (np. Rady Regencyjnej z rządem Daszyńskiego). W pełni można z tym się zgodzić, ale warto też zapytać, czy tylko Piłsudski mógł wówczas zadanie to zrealizować. W różnych układankach personalnych pojawiał się nazwisko Witos. Chłopski

przywódca już wtedy miał ogromne doświadczenie polityczne, zarówno samorządowe, parlamentarne, jak i partyjne. Co istotne, reprezentował jeden z ośrodków władzy – był przewodniczącym funkcjonującej w zaborze austriackim Polskiej Komisji Likwidacyjnej Galicji i Śląska Cieszyńskiego.

Sytuacja polityczna komplikowała się coraz bardziej po powstaniu

w nocy z 6 na 7 listopada 1918 r. rządu lubelskiego z Ignacym Daszyńskim na czele. Przedstawiciele konserwatywnej Rady Regencyjnej ani myśleli go uznać. Tworzyło się zatem coraz więcej ośrodków władzy i ktoś musiał nad tym chaosem zapanować. Piłsudskiego jeszcze nie było na miejscu, zaczęto więc rozważać, kto mógłby stanąć na czele rządu łączącego różne skłócone opcje polityczne. W grę nie wchodził ani

dnia jechał zresztą wspólnie z innymi politykami (przyszłymi członkami rządu) do Lublina autosemblem i jazda była wyjątkowo pechowa. Co chwila łapali gumę, a w końcu w szczerym polu zabrakło benzyny. Kolejnym środkiem lokomocji musiał się stać wóz chłopski. Na domiar złego na jednego z polityków ludowych, Jana Stapińskiego, spadł szlaban mytniczy, raniąc go w głowę. Towarzysze rzucili się ratować rannego, ale Daszyński średnio tym się przejął; wziął Witos na bok i zażartował: „Szkoda, że nie lepiej!”.

Wspólne przygody nie poprawiły klimatu negocjacji. Jak wspominał Daszyński, w trakcie wieczornej dyskusji wyszły na jaw poważne rozbieżności programowe. Witos (przez chwilę, jak to później określał, „zamianowany” bez swojej zgody do tego gabinetu) mocno się dystansował i wyraźnie chciał porozumienia z prawicą, co pozostali politycy – zwłaszcza Thugutt – żywo zakwestionowali. Wtedy polityk chłopski opuścił salę obrad i udał



Działacze PSL „Piast” po kongresie w Grudziądzu, czerwiec 1925 r. W środku Wincenty Witos.

konserwatyści i endecy, ani politycy zbyt lewicowi. Potrzebny był ktoś ze środka sceny politycznej, i to z dostatecznie dużym autorytetem. Wypisz wymaluj Witos. Były wójt z Wierchostawic często ujawniał wielkie ambicje polityczne, taki układ zatem w pełni mu odpowiadał. Co ciekawe, jeszcze 7 listopada uczestniczył on w Lublinie w naradzie powstałego rządu Daszyńskiego. Poprzedniego

się pociągiem do Krakowa, tworzyć inny rząd. Jak to ujął we wspomnieniach Moraczewski – tym samym od razu zaczął rzucać lewicowemu rządowi kłody pod nogi. Udało mu się po burzliwych, kilkugodzinnych obradach uzyskać wstępne porozumienie narodowych demokratów z Galicji (z przyległościami) i ludowców. Skład rządu był już nawet wstępnie ustalony – dalszym działaniom ▶

► przeszkodziły informacje o powrocie Piłsudskiego z Magdeburga.

Rzeczywiście – dopóki komendanta nie było, istniała spora szansa na realizację planów Witosza. Jak sugerował historyk Janusz Pajewski, z Radą Regencyjną można było się układać, a rząd Daszyńskiego w razie większych problemów zdusić siłą (jak wspominał Witos, można było łatwo dać sobie z nim radę, w razie oporu nawet przy pomocy garnizonu krakowskiego). Potem może wypadłoby uzyskać jeszcze porozumienie z częścią lewicy... Ale wszystkie te rachuby legły w gruzach, gdy na scenę polityczną wrócił pierwszoligowy gracz. I o ile Piłsudski miał władzę podaną na tacy, o tyle Witos musiałby ją sobie wyszarpywać, nie zawsze z możliwym do przewidzenia skutkiem. Ujmując to obrazowo, Piłsudski wysiadł prosto z tramwaju na przystanku niepodległość, a droga Witosza do tego przystanku przypominałaby feralną wyprawę do Lublina.

PREMIER SMOLEŃSKI, A MOŻE PREMIER BISKUP?

Jednak Piłsudski po przejęciu władzy nie miał sytuacji zupełnie komfortowej. Na premiera powołał na początku (po małych perturbacjach związanych z kandydaturą Daszyńskiego) zaufanego socjalistę Jędrzeja Moraczewskiego. O ile prywatnie był on dość dobrze odbierany przez część polityków prawicy, o tyle z perspektywy całokształtu polityki naczelnik państwa musiał

faktów). Twierdził on, że w grudniu 1918 r. sam Moraczewski miał dosyć rządu i potrzeba znalezienia jego następcy stała się tym bardziej paląca. Śliwiński już wcześniej prowadził grę polityczną, m.in. proponował przejęcie władzy przez Lubomirskiego, więc i teraz został zaangażowany przez naczelnika. Traf chciał, że zmierzając do Piłsudskiego w tej sprawie, spotkał prof. Władysława Smoleńskiego. Był to wybitny przedstawiciel warszawskiej szkoły historycznej, specjalista zwłaszcza z zakresu

Stanisław Głąbiński nie potrafił się wznieść ponad spory i na inne formacje polityczne patrzył po partyjniacku.

historii Polski w XVIII w. Profesor również żywo interesował się bieżącymi wydarzeniami politycznymi i w trakcie owego przypadkowego spotkania miał przedstawiać różne pomysły, zdaniem Śliwińskiego zupełnie amatorskie z punktu widzenia profesjonalnego polityka. Ale gdy później zastanawiał się nad możliwymi kandydaturami, właśnie to nazwisko przyszło mu do głowy. Tłumaczył Piłsudskiemu: „Znakomity historyk, starszy pan, długa siwa broda, głos tubalny, profesor uwielbiany przez studentów (...), ale jego poglądy na najważniejsze dziś zagadnienia są na poziomie wyrobienia politycznego panienek Świętej Zyty”. Można by rzec, gdyby udało się pomysł ten zrealizować, mielibyśmy zapewne o kilka lat wcześniejszą wersję Ignacego Mościckiego.

leński namowom ani prośbom nie ulegał. Wówczas zrozpaczony Śliwiński rzucił kandydaturę bp. Władysława Bandurskiego. Naczelnik miał się zachnąć: „Oszalałeś pan? Klecha na premiera?”. Ale pomysł wydawał się o tyle dobry, że Bandurski sprawował funkcję biskupa polowego Legionów. Był więc do zaakceptowania zarówno przez prawicę, jak i lewicę. Dalsze negocjacje przerwał przyjazd do Polski Ignacego Jana Paderewskiego. Pojawił się kolejny ważny gracz. Biograf Paderewskiego, Roman Wapiński,

wskazywał co prawda, że Paderewski chciał niewątpliwie premierem zostać, ale osobne, przesądzające wrażenie zrobiła na nim sama propozycja ze strony naczelnika. Niewątpliwie jego wcześniejsi kontrkandydaci nie byli tak silnie umocowani politycznie. Smoleński zaś sprawdzał się dalej w karierze akademickiej. Na wydziale prawa jego studentem był m.in. Witold Gombrowicz.

Na tym oczywiście nie kończą się niespełnione pomysły personalne z czasów II RP. Wręcz przeciwnie. Kandydatur na różne stanowiska było coraz więcej. PPS myślała o wysunięciu Daszyńskiego zamiast Witosza na premiera Rządu Obrony Narodowej, później powracała kandydatura Stanisława Głąbińskiego czy Wojciecha Korfańskiego na premiera; zwłaszcza silna osobowość tego ostatniego mogła jeszcze bardziej spolaryzować życie polityczne. Obserwując jednak alternatywy dla najwyższych stanowisk państwowych przy okazji samych narodzin II RP, można stwierdzić, że wszelkie kalkulacje ustępowały miejsca kolejnym dynamicznym zdarzeniom. Przybycie do kraju najpierw Piłsudskiego, potem Paderewskiego stawiało właściwie innych polityków przed faktem dokonanym. Oczywiście można spekulować, co by się stało, gdyby na początku listopada hrabia Ostrowski się nie zaparł, gdyby po utworzeniu rządu ludowego Witos działał bardziej zdecydowanie, a prof. Smoleński nie miał obiekcji... Niewykluczone, że sporów politycznych i problemów byłoby wówczas jeszcze więcej.

Maciej J. Nowak

Rząd Moraczewskiego i jego lewicowe pomysły były dla Piłsudskiego przykrą koniecznością.

się troszczyć również o poszerzenie własnego zaplecza. Już w listopadzie 1918 r. kilkakrotnie wyrażał dystans wobec socjalistów. Rację trzeba więc przyznać Andrzejowi Garlickiemu, sugerującemu, że rząd Moraczewskiego i jego lewicowe pomysły były dla Piłsudskiego przykrą koniecznością. Poszukiwano zatem kandydata na nowego szefa rządu i spoza PPS, i spoza endecji. Warto tu przytoczyć historię opowiadaną przez działającego na zapleczu komendanta wspomnianego już Śliwińskiego (nie biorąc zupełnie bezkrytycznie wszystkich podawanych

Smoleński został umówiony na spotkanie z Piłsudskim kolejnego dnia. Nie podano mu konkretnego powodu rozmowy. Już na wstępie zaczął gorączkowo przekonywać, że rządy Moraczewskiego to rządy czerwonej międzynarodówki i że wszystko robią źle. Gdy naczelnik niespodziewanie zaproponował mu urząd premiera, profesor bardzo się zdziwił i zaczął odmawiać. Argumentował, że ma swoje lata, że jest trochę chory... Piłsudskiemu jednak bardzo się spodobał: bardzo porządny człowiek i przy odpowiednim ukierunkowaniu nada się na premiera. Tyle że Smo-

Oko w oko



Tomasz Jastrun

ŻARÓWKA W GŁOWIE

Znowu śmierć kogoś bliskiego, aż głupio być zdrowym i żywym. Jak tak dalej pójdzie, a pójdzie, życie to będzie wielki nietakt. Odeszła Marysia Stauber, dowiedziałem się o tym przypadkiem w dniu, kiedy chciałem do niej napisać i spytać, czemu mi nie odpowiada na list. Trzy lata temu mieszkaliśmy u niej w Paryżu w jej zdumiewającym domu z fasadą zdobioną kolorową mozaiką (dzieło szalonego murarza, który ten dom zbudował). Byliśmy wtedy na obiedzie u jej mamy Lusi Stauber, lekarki. Miała wtedy 97 lat i chadzała sama systematycznie na basen. Dożyła setki, była przyjaciółką twórczyni żydowskiego pochodzenia, pięknej Zuzanny Ginczanki, poetki wybitnej, autorki słynnego wiersza „Non omnis moriar”. Ginczanka w czasie okupacji zginęła z rąk hitlerowców, wydana przez Polaka. Marysia zdążyła opublikować piękną książkę o przyjaźni swojej mamy z poetką – „Musisz tam wrócić”. Szkoda, że tak późno odkryła swój literacki talent. Książka ukazała się w maju, kilka miesięcy przed śmiercią Marysi.

**Takiego mamy prezydenta.
Przyjdzie mu umrzeć z tą żarówką.**

Czytam na Wirtualnej Polsce tekst o zamachu w synagodze w Pittsburghu. Pod nim 500 komentarzy, w 95% antysemickich, spora część w stylu hitlerowskim. Piszący nigdy nie widzieli Żyda na oczy. Czyli przekazali im to rodzice, a rodzicom ich rodzice? Jak ci ludzie zachowywali się w czasie okupacji? Który z nich wydał Ginczanekę?

I znowu jestem w małym miasteczku, 200 km od Warszawy. Mieszka tu 7 tys. ludzi, dostatnio, jezioro z ładnym parkiem stworzonym za pieniądze Unii, podobnie jak deptak nad rzeczką. Niewielka biblioteka w zabytkowym budynku, gdzie drewniane sufity. Tylko 2 tys. tomów, mam pewnie tyle w domu, niestety, książki mnie zjadają i żadnej nie mogę znaleźć, a tu taki cudny alfabetyczny porządek. Kilka klas z liceum i szkoły średniej, duża sala pełna, uważnie mnie słuchają. Potem bibliotekarki i nauczyciele nawiązują do sytuacji politycznej, w aluzjach lub wprost. Tu też poczucie, że istnieją dwa osobne narody. „Ich nawet można poznać po twarzach”, ktoś mówi. I powraca motyw, że było przecież tak dobrze, jaka tragedia. Kiedy utraciliśmy normalność, idealizujemy ją. A młodzi robią na mnie dobre wrażenie. Nauczycielka jednak widzi to ciemno. Napisała do mnie list, zacytuje fragment, ten głos to jeden z kluczy do sukcesów prawicy w Polsce. „Współczesna młodzież nie ma pomysłu na siebie, kopiuje

cudze, mają poczucie braku możliwości. Mojej młodzieży nikt nie powiedział, że aby coś osiągnąć, potrzeba pracy. Nie tej fizycznej, którą będzie część z nich wykonywać w najstępszym »owadim dyskoncie«, lub pseudo-umysłowej, którą wykonuję ja jako licealna polonistka, ale pracy nad sobą – wysiłku włożonego w rozwój swojego intelektu. Bo to JEST PRACA, ale ktoś oszukał te dzieci, mówiąc, że wszystko im przyjdzie szybko, łatwo i przyjemnie. Jakiś czas temu fala krytyki i posądzenie o »klaszizm« dotknęły Jana Hartmana. W jednym miał rację – nie ma u nas tradycji inteligentkich, nie ma klasy średniej z dziada pradziada, bo tę przecież przetrzebiono w XIX w.

i wykończono w czasie wojny. (...) Piszę te słowa, wnuczka chłopów z Wielkopolski i Kaszub. Potomkom chłopów i robotników już w PRL-u sprzedano socjalistyczny *american dream*, że wszyst-

ko można osiągnąć, że im też się należy. Uczę w szkole i przykładam rękę, co bardzo mnie martwi, do funkcjonowania systemu, który powiela te wzorce. (...) Poza paroma chlubnymi wyjątkami, do których moje miasteczko nie należy, prowincję mamy ciągle z Czechowa. Wszystkimi szparami internetu pcha się do nas wielki świat i obietnica możliwości i posiadania. Tymczasem okazuje się, że studia nie gwarantują sukcesu, że chamstwo popłaca i w ogóle zostało się oszukany. Tu wkraczają na scenę frustracja i partie obecnie rządzące, które żerują na naiwności mojej młodzieży i ich rodziców”.

Tyle cytuję z listu. Można powiedzieć, że zawsze ludzie prowincji byli ograniczeni, nawet zniewoleni miejscem swojego urodzenia, ale po raz pierwszy młodzi nie godzą się z taką sytuacją. Lepszy świat zdaje się być w zasięgu ręki, ale nic z tego, a to rodzi bunt.

To będzie głupstwo roku. Rzecz powszechnie już wysmiana, ale czuję się trochę kronikarzem, więc nie mogę pominąć słów prezydenta. „Wielu ludzi zadaje sobie pytanie, dlaczego UE zabrania tego, zabrania tamtego. Dlaczego np. w sklepie nie można w tej chwili kupić już zwykłej żarówki, można kupić tylko żarówkę energooszczędną? Bo UE zakazała. To są problemy, nad którymi zastanawiają się ludzie”. Takiego mamy prezydenta. Przyjdzie mu już umrzeć z tą żarówką.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Tomasz Skowronek

DZIECIĘCE GANGI TRZĘSĄ NEAPOLEM

Są znudzeni, agresywni, sfrustrowani. Palą, piją, zażywają narkotyki. Na cel biorą głównie rówieśników i ogólnie słabszych

Zazwyczaj idą w grupie. Są wściekli, znudzeni, agresywni, sfrustrowani. Palą, piją, zażywają narkotyki. Czasem otaczają się symbolami, które dają im poczucie przynależności, takimi jak tatuaże, kurtki, muzyka, grupy na Facebooku, na których publikują filmy i zdjęcia. Za cel obierają głównie rówieśników i ogólnie słabszych. *Baby gangs*, czyli młodociane bandy, coraz częściej sięgają postrach na ulicach Neapolu.

Maria Luisa Iavarone nie może się otrząsnąć z tego, co spotkało jej dziecko. Wciąż ma przed oczami tłumy gapiów i policjanta, który trzymał dwa palce na krwawiącej szyi jej półprzymkniętego syna leżącego na chodniku. 17-letni Arturo szedł ulicą, gdy został zaczepiony przez grupę nieletnich i zapytany o godzinę. Agresorzy chcieli sprawdzić, czy ma przy sobie smartfona. Wywiązała się pyskówka. Po serii przepychanek padły ciosy. Uderzyli go 16 razy i zaatakowali nożem, a potem zostawili w kałuży krwi. Napastnicy przebili mu tętnicę szyjną na 2 mm i uciekli. Na szczęście przejeżdżające tamtędy małżeństwo zauważyło pobitego chłopaka i wezwało pomoc.

Arturo natychmiast został zabrany do pobliskiego szpitala San Giovanni Bosco, gdzie wprowadzony w stan śpiączki farmakologicznej trafił na stół operacyjny. Operacja trwała dwie i pół godziny. Przebudził się dopiero po 36 godzinach.

„Początkowo stracił sens życia. Dla rodzica to ogromny ból. Jeśli twoje dziecko przestaje patrzeć w przyszłość, jest to przedsmak depresji. Arturo nosi ślady tej sprawy, znaki, które są nie tylko na ciele, ale przede wszystkim na duszy. Dwa razy w tygodniu spotyka się z logopedą, bo ma uszkodzone struny głosowe, uczęszcza również na psychoterapię”, mówi Maria Luisa, która po tym wydarzeniu zdecydowała się poświęcić walce o praworządność i powstrzymanie przemocy w mieście, powołując stowarzyszenie o nazwie ARTUR.

„Moim głównym celem jest wstrząsnąć tym miastem i krajem. Nikt nie może powiedzieć, że to nie jest nasz problem. Chcę, aby miasto konkretnie zaangażowało się w walkę z przemocą. Uważam młodociane



Członkowie gangu Parocchiella mają od 9 do 12 lat.

gangi za nieodrobioną lekcję, a można było temu odpowiednio wcześniej zapobiec”.

W Neapolu roi się od nastoletnich przestępców. Rodzice i władze są bezsilni wobec tych gangów. Problem istnieje już od kilku lat, ale tempo eskalacji przemocy neapolitańscy uświadomili sobie w połowie grudnia 2017 r., kiedy doszło do wspomnianego ataku. Zaledwie cztery tygodnie później na stacji metra Chiaiano 15-letni Gaetano został otoczony przez grupkę małoletnich i skopany. Chłopak trafił do szpitala, był tak pobity, że trzeba było mu usunąć śledzionę.

Niestety, nie są to sytuacje odosobnione. O podobnych napadach czy aktach wandalizmu co chwilę możemy poczytać w lokalnej prasie.

Agresorzy przeważnie mają ok. 15 lat. Właśnie to budzi po-

wszechne oburzenie. Jeszcze młodszy jest gang Parocchiella z Montesanto, którego członkowie mają od 9 do 12 lat. Na koncie na Facebooku ośmiu nieletnich pozowało z różną bronią: kijem bejsbolowym, pistoletem, nożami i paskami nabitymi kolcami. Fotografia zaszokowała Włochów. Konto grupy zostało usunięte, ale problem nie zniknął.

Już 30 lat temu Giancarlo Siani, neapolitański dziennikarz zabity później przez mafię, napisał swój ostatni artykuł na temat dzieci zatrudnionych przez miejscowych mafiosów. Nazywane młodymi camorristami bądź *muschilli*, czyli muszkami, zajmowały się głównie handlem narkotykami i doręczaniem podejrzanych przesłank. Bossowie używali ich, by samemu uniknąć kłopotów. O ile jednak wykorzystywanie dzieci do drobnych przestępstw było przez lata dość

powszechne w stolicy Kampanii, o tyle obecna sytuacja jest alarmująca.

Młodzi ludzie są znacznie bardziej zaangażowani w gangi i osiągnęli wyższe stopnie w hierarchii mafijnej, niestety bywają też coraz okrutniejsi. Tak jak Emanuele Sibillo. Nie mając jeszcze 20 lat, był przywódcą jednego z klanów. Stał się uosobieniem młodego camorristy, typem faceta, który mówi o swojej broni, tak jak się mówi o dziewczynie. Kiedy rozpoczął wojnę ze starymi klanami, aby zająć terytorium konkurencyjnego gangu, został zamordowany w 2015 r., w wieku 19 lat, na pobliskiej ulicy, będącej terenem rywalizującej załogi.

Emanuele nadal wywiera wpływ na młodych ludzi z biednych dzielnic. Jego imię wypisują sprejem na ścianach bazyliki San Paolo Maggiore, w każdą rocznicę śmierci pod graffiti

Mają po 15 lat. Właśnie to budzi powszechne oburzenie.

pojawiają się znicze, portrety i kwiaty. Na ścianie widnieje napis „Emanuele Sibillo 17” oraz „E.S 17” (17 oznacza literę S – 17. w alfabecie). Wśród członków *baby gangs* Emanuele jest pamiętany jako dobry chłopiec, który wyrwał się z biedy, był hojny, zawsze gotowy pomagać słabym i uciskanim, niczym Robin Hood.

Jeszcze inni młodzi ludzie naśladują sceny z serialu „Gomorra”. Od dłuższego czasu ich ulubioną techniką działania jest *stesa*. Termin wywodzi się od słowa *stendere* – rozciągać się. Polega to na tym, że kilku zamaskowanych młodzieńców na skuterach przejeżdża przez biedne dzielnice i strzela gdzie popadnie: w powietrze, ale i w okna, wystawy, samochody. Nie żeby zabić, tylko by zastraszyć i pokazać, kto tu rządzi. Ale i *stesa* może się zakończyć tragedią. Trzy lata temu podczas takiego rajdu został śmiertelnie postrzelony 17-latek Genny Cesarano.

Sędzia Nicola Quatrano w czasie procesu 43 młodych przestępców z okręgu Forcella porównał nieletnich agresorów do terrorystów. Stwierdził, że mają podobną obsesję na punkcie śmierci i zadawania bólu jak dżihadysty.

Ale *baby gangs* niekoniecznie wiążą się z przestępczością zorganizowaną. Według Marii de Luzenber-

ger, adwokatki nieletnich z Neapolu, władze stają się coraz bardziej świadome obecności nie tylko nastoletnich mafiosów, ale i dzieci, które popełniają przestępstwa bez powodu, jedynie po to, aby potwierdzić swoją obecność, aby oznaczyć terytorium. Jak uważa pani mecenas, problem wynika m.in. z braku usług socjalnych oraz z biedy, zwłaszcza na obrzeżach miasta.

W podobnym tonie wypowiada się Maura Manca, dyrektor Krajowego Obserwatorium Młodzieży: „To są gangi nastolatków, którzy dorastali bez reguł i granic”. Manca mówi o „mentalnym upadku”, który zaczyna się we wczesnym dzieciństwie. „Obserwujemy to od lat. Nowością jest to, że młodzi ludzie rozpoczynają karierę przestępczą już jako 11-latków”.

„Zjawisko przestępczości nieletnich jest związane z brakiem odpowiedniej edukacji dla dzieci oraz dobrej polityki społecznej”, twierdzi Carlo Borgomeo, prezes Fondazione con il Sud, organizacji, która pomaga biednej młodzieży na przedmieściach Neapolu i współpracuje ze stowarzyszeniem ARTUR.

Na zamieszkanym przez ponad 1 mln osób peryferiach Neapolu żyje najwięcej nieletnich w porównaniu z innymi obszarami kraju. W tych rejonach brakuje podstawowych usług edukacyjnych, za to panuje ubóstwo i bezrobocie wśród młodzieży, no i rozwija się przestępczość. „Ale obszary te, jeśli się je wesprze, mogą mieć imponujące wyniki”, tłumaczy szef fundacji.

„Według naszych danych chłopiec, który odwiedza centrum młodzieżowe, »kosztuje« cztery razy mniej niż nieletni zamykani w więzieniach. Usuwamy dzieci z ulicy i oferujemy im możliwości, przygotowujemy do normalnego życia”, dodaje Borgomeo.

W pomoc angażuje się również arcybiskup Neapolu, kard. Crescen-

zio Sepe. W wywiadzie dla dziennika „La Stampa” duchowny stwierdził, że młodzież dołącza do band, bo dorasta w próżni. Zaapelował o powołanie gremium, gdzie omawiano by problemy przestępczości wśród nieletnich. I choć gorzko stwierdził, że Neapol to zepsute miasto, walka z przemocą jeszcze nie została przegrana.

W południowych Włoszech zawsze istniały gangi. Ale te młodociane nie występują tylko w Neapolu czy na południu kraju. W Rzymie dziecięce gangi atakowały i okradały rówieśników w okolicy Villa Borghese i Piazza Mancini. Czterech młodych ludzi w wieku 16-17 lat, którzy stali się koszmarem dla innych dzieciaków, zostało zidentyfikowanych i aresztowanych. Problem nieletnich band coraz częściej dotyczy również bogatą północ. Czwórka nastolatków kradła pieniądze, smartfony, tablety, a nawet buty w mediolańskiej dzielnicy Quarto Oggiaro. Oskarżono ich o 12 napadów. W tym samym mieście czterech 15-latków zostało aresztowanych za wymuszenia na dwóch rówieśnikach, których regularnie okradali.

Problemem nieletnich gangów coraz bardziej interesują się władze centralne. „Chcemy dać poczucie bezpieczeństwa młodym ludziom, aby wiedzieli, że państwo jest po ich stronie, aby zrozumieli, że styl życia, przyzwyczajenia ogromnej większości nie mogą być zakłócane przez



Pogrzeb 17-letniego Gennego postrzelonego przypadkiem przez gang młodocianych.

małą grupkę”, powiedział minister spraw wewnętrznych Marco Minniti, dodając: „Gangi dziecięce nie są terrorystami, ale stosują podobne metody”. ■

Mateusz Mazzini

Niegdyś wyśmiewana, doczekała się wreszcie statusu szanowanego, a przede wszystkim powszechnie dostępnego źródła wiedzy. Jeszcze kilka lat temu w szkołach czy na uniwersytetach zakazywano jej używania, a powoływanie się na treści zaczerpnięte z tego źródła budziło nierzadko politowanie. W ciągu ostatniej dekady Wikipedia przeszła niewyobrażalną transformację statusu społecznego – od internetowego eksperymentu do największego na świecie źródła weryfikowalnych informacji. Poszerzona baza danych, ulepszony system redakcji i kontroli wpisów, bogata baza przypisów, integracja z wyszukiwarką Google'a, profilami na Facebooku i opisami kont w serwisie YouTube – to wszystko sprawiło, że darmowa encyklopedia internetowa w dużej mierze wpływa na zdobywanie wiedzy i kształtowanie opinii użytkowników sieci, zwłaszcza młodszych. Pozostaje przy tym cały czas instytucją otwartą, którą każdy może współtworzyć. Tylko że każdy w tym wypadku oznacza również zawodowców trudniących się dezinformacją na masową skalę.

Do tej pory przekłamania w Wikipedii pojawiały się przede wszystkim w formie żartów lub prowokacji. Zakładanie fałszywych stron celebrytów czy polityków, najczęściej z wyśmiewającą ich zawartością, było jeszcze kilka lat temu dość popularnym wybrykiem. Zjawisko to pozostawało jednak w dużej mierze niegroźne z dwóch powodów. Po pierwsze, przekłamania były na tyle wyraźne, że środowisko redaktorów Wikipedii, szczycące się bardzo wysokimi standardami merytorycznymi w pracy nad encyklopedią, natychmiast wyłapywało i kasowało nieprawdziwe hasła. Po drugie, zasięg Wikipedii był mniejszy niż obecnie, a jej prestiż znacznie niższy, więc w konsekwencji dezinformacja wyrządzała dużo mniejsze szkody. Od tamtego czasu wiele się zmieniło w świecie mediów i internetu. Dezinformacja stała się realnym zagrożeniem stabilności demokracji liberalnych w wielu krajach, a przekłamania, fałszywe informacje i internetowa propaganda wygrywają dziś wybory i obalają rządy. Wikipedia może zatem już niebawem stać się ofiarą własnego sukcesu i z szanowanego źródła informacji przekształcić



ENCYKLOPEDIA POD OSTRZAŁEM

Zawartość Wikipedii może już za chwilę stać się kolejnym frontem wojny informacyjnej

się w kolejny – potencjalnie najbardziej niebezpieczny z dotychczasowych – front wojny informacyjnej.

Jest o co walczyć, a przejście nawet częściowej kontroli nad internetową encyklopedią byłoby dla specjalistów od dezinformacji ogromnym sukcesem. Najlepiej o zasięgu platformy mówią liczby. Jak podaje internetowy magazyn „Slate”, Wikipedia jest piątą najczęściej odwiedzaną stroną w całym internecie – przebywa na niej regularnie ok. 35 mln internautów. Spośród nich prawie 200 tys. to tzw. aktywni redaktorzy, czyli użytkownicy tworzący lub edytujący przynajmniej jedno hasło w miesiącu. W całej Wikipedii istnieje ponad 48 mln artykułów napisanych w więcej niż 300 językach, z czego niecałe 6 mln po angielsku. Mimo tak wielkiej skali platforma uniknęła dotychczas rażących błędów. Kolejne badania statystyczne pokazywały, że Wikipedia zawierała mniej więcej taki sam odsetek nieprawdziwych bądź niepełnych informacji, co tradycyjne książkowe encyklopedie, tworzone przez zespoły wyspecjalizowanych naukowców.

Tak wysoki standard był możliwy do utrzymania głównie dzięki bardzo rygorystycznemu systemowi klasy-

fikacji redaktorów. Dawniej edytować i zapisywać zmiany w Wikipedii mógł prawie każdy, a nowe treści przynajmniej przez chwilę pokazywały się na stronie bez weryfikacji. Dziś byłoby to wręcz niemożliwe – prawa do edycji tekstów mają tylko redaktorzy z odpowiednio wysokim statusem, nadawanym poprzez aktywność i regularne tworzenie i poprawianie haseł.

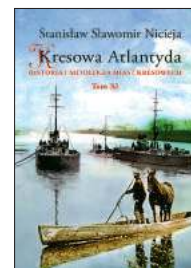
Na pierwszy rzut oka wygląda to na dość prosty, a jednocześnie skuteczny mechanizm w walce z dezinformacją. Aby otrzymać odpowiednio wysoki status, trzeba bowiem latami pracować na bardzo zaawansowanym poziomie merytorycznym. A to – przynajmniej w teorii – wyklucza manipulację informacjami pod wpływem chwili i na potrzeby konkretnych wydarzeń, takich jak wybory.

Co się jednak stanie, jeśli skrzyżowaniu ulegnie system redakcyjny, a przynajmniej jego część? Im głębiej bowiem sięga Wikipedia, tym łatwiej zaszyć w niej dezinformację i trudniej ją następnie wykryć. Zresztą, żeby wywołać informacyjny konflikt w internecie, nie potrzeba nawet kłamstwa, wystarczy prawda przedstawiona za pomocą różnych optyk.

Doskonale widać to na przykładzie analizy porównawczej dokonanej przez dziennikarzy „The Jerusalem Post”, którzy zestawili ze sobą wpisy na stronach Wikipedii poświęcone wojnie Jom Kippur z 1973 r., napisane po arabsku

Stanisław Stawomir Nicieja **Kresowa Atlantyda** **Historia i mitologia miast kresowych** **Tom XI**

Wydawnictwo MS
Opole 2018



Cykl „Kresowa Atlantyda” ocalił od zapomnienia kilka tysięcy ludzi różnych zawodów, kompetencji i talentów, różnego znaczenia i miejsca w dziejach. Tych, którzy tworzyli nieistniejący już świat kresowych sztetli, ukraińskich i białoruskich siół, ormiańskich skupisk, jak i polskich miasteczek, dworów i pałaców. W XI tomie autor stawia tamy niepamięci na wodach zalewających Polesie. Głównym miastem tomu jest Pińsk, ze wsiami rozłożonymi w międzyrzeczu Piny, Prypeci czy Horynia. Wiele uwagi poświęca dworom i pałacom, które były własnością znanych polskich rodów.

Longin Pastusiak **Prezydenci Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter - Donald Trump 1977-...**

Oficina Wydawnicza - Poligraficzna ADAM
Warszawa 2018



Najwięcej biografii prezydentów Stanów Zjednoczonych ukazuje się – co zrozumiałe – w USA. Obok prac poważnych wydawanych jest tam wiele biografii tendencyjnych, apologetycznych. Często biografowie otaczają tak jasną aureolą swoich bohaterów, że w gruncie rzeczy zaciemnia ona prawdę historyczną o prezydentach i ich roli w historii Stanów Zjednoczonych. Na tym tle wyróżnia się opracowanie prof. Longina Pastusiaka. W ostatniej części trylogii autor przedstawia polityczne biografie prezydentów: Jamesa Cartera, Ronalda Reagana, George’a Busha, Williama Clintona, George’a W. Busha, Baracka Obamy i Donalda Trumpa. Jak autor deklaruje, starał się nie odrywać biografii prezydentów od epoki, w której żyli, ani od problemów politycznych, gospodarczych i społecznych, z którymi mieli do czynienia.

i hebrajsku. Ponieważ hasła tak obszerne i politycznie wrażliwe nigdy nie są w internetowej encyklopedii wiernie tłumaczone z innych języków, ale pisane od zera, analiza miała na celu pokazanie ewentualnych odchyłań w obu wersjach. I faktycznie, choć w hasłach nie ma błędów czy nieścisłości, jerozolimscy dziennikarze doszukali się odchyłań w treści. Wersja arabska szeroko opisuje amerykańską pomoc militarną dla Izraela, ale analogicznemu wsparciu wojskowemu dla koalicji arabskiej udzielonemu przez Związek Radziecki poświęca jedynie krótki akapit. Jak łatwo się domyślić, wersja hebrajska zawiera to samo odchylenie, tylko skierowane w przeciwną stronę. Chociaż takie przypadki nie kwalifikują się jeszcze jako przykłady dezinformacji, doskonale ilustrują, jak Wikipedia może, niejako podskórnie, wpływać na kształt debaty publicznej w bardzo wrażliwych politycznie kwestiach.

Konflikt między Izraelem i krajami arabskimi nie jest zresztą jedynym przykładem używania Wikipedii do wybielania historii. Do podobnej sytuacji doszło na stronach w języku serbsko-chorwackim, które są poświęcone historii Bałkanów. Kilka tygodni temu europejskie media zaczęły się rozpisywać o tym zjawisku, gdy wyszło na jaw, że serbsko-chorwacka strona, pisząc na temat obozu koncentracyjnego w Jasenovacu, w którym z rąk ustashów, członków chorwackiej faszystowskiej organizacji nacjonalistycznej, zginęło przeszło 80 tys. osób, głównie Serbów, Żydów i Romów, nazywa to miejsce „obozem karnym” i opisuje je raczej jako więzienie, nie wspominając o masowych mordach. Biorąc pod uwagę wcześniejsze liczne przykłady ignorowania rewizjonizmu historycznego przez rząd Chorwacji, można uznać wpis o Jasenovacu za świadectwo, że Wikipedia nie jest odporna na tendencje polityczne.

Unaocznili on też inny problem tej platformy – brak możliwości weryfikacji haseł pisanych w niszowych językach. Siłą rzeczy redaktorów mających nie tylko wiedzę, ale i zdolności językowe pozwalające na sprawdzanie haseł takich jak to o obozie w Jasenovacu jest bardzo niewielu. Na razie tę lukę w systemie wykorzystują rewizjoniści historyczni i radykałowie. Łada moment jednak mogą zacząć to robić zawodowi dezinformatorzy, pracujący po prostu dla tego, kto zapłaci więcej.

Jak mógłby wyglądać taki dezinformacyjny atak? Mimo wszystko byłby dość trudny do przeprowadzenia, choć nie niemożliwy. Grupa naukowców z amerykańskich uniwersytetów w Maryland i Stanford przeanalizowała tzw. udane dezinformacje, czyli całkowicie fałszywe lub przekłamane wpisy, które przeszły przez sito redaktorów Wikipedii. Łącznie naliczono w anglojęzycznej wersji encyklopedii 301 takich haseł, powstałych w ostatnich siedmiu latach i utrzymujących się na platformie co najmniej tydzień.

Autorzy raportu wyodrębnili kilka cech, po których najłatwiej poznać artykuły napisane w celach dezinformacyjnych. Przede wszystkim są one znacznie dłuższe niż zwykłe teksty. Podczas gdy mediana prawdziwego wpisu w anglojęzycznej Wikipedii wynosi 71 słów, dla fałszywych haseł liczba ta była przeszło dwukrotnie większa (134). Co więcej, fałszywki niemal w całości składają się z pisanego tekstu. W prawdziwych artykułach tekst stanowi ok. 52% treści (reszta to najczęściej mapy, tabele, wykresy, dane statystyczne i zdjęcia), a w fałszywych – przeszło 90%. Innymi słowy, fałsz najłatwiej poznać po bardzo rozwlekłym tekście i braku jakichkolwiek materiałów pomocniczych. Internetowi fałszerze treści mają jednak sposoby na uwiarygodnienie swoich wpisów. Używają w tym celu przede wszystkim linków do źródeł spoza Wikipedii – w przeciwieństwie do prawdziwych wpisów w fałszywkach linków zewnętrznych jest bardzo dużo. Mniej, co do pewnego stopnia wydaje się logiczne, jest natomiast odniesień do wewnętrznych treści z encyklopedii (tzw. wikilinków). Badacze z Maryland i Stanford obliczyli, że w prawdziwym, zweryfikowanym artykule pojawiają się one niemal dwa razy częściej niż w artykule zawierającym fałszywe treści.

Z pewnością dużo trudniej zmanipulować Wikipedię niż Facebooka czy Twittera. Nie powinno to jednak obniżać naszej czujności. Dezinformacja w encyklopedii ma bowiem zupełnie inny charakter niż w mediach społecznościowych. Jest głębiej zaszyta, może nawet bardziej elitarna. I dlatego może być dużo bardziej niebezpieczna w skutkach. Naukową prawdę w internecie trzeba więc chronić wszystkimi dostępnymi środkami – sama nie obroni się na pewno. ■

Kadry z filmu „Niebieskie Chachary”.



Rozmawia Mateusz Demski

Pamięta pan, jak to było, kiedy pierwszy raz trafił pan na stadion przy ulicy Cichej?

– To były lata 70. Mieszkaliśmy w Chorzowie, czyli w mieście specyficznym. Kiedy zbliżał się weekend, wszyscy nagle znikali z placu przed naszym domem. Kierunek był jeden – stadion Ruchu przy Cichej. Miałem więc do wyboru: pójść z nurtem albo zostać sam. Człowiek jako istota społeczna wybiera zwykle ten pierwszy kierunek. Pociąga go ciekawość, tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie. Kiedy byłem bajtlem, tata zabierał mnie jeszcze na mecze polskiej reprezentacji, które odbywały się na Stadionie Śląskim. Dwa zero z Anglią, trzy zero z Walią, cztery jeden z Holandią. 100 tys. ludzi na stadionie w nieopisanej euforii. Jako dziecko nie mogłem pozostać wobec tego obojętny. Tylko że mimo święta, które odbywało się w Chorzowie, szybko się z tego środowiska wymiksowałem.

Dzisiaj wielu młodych ludzi marzy o wejściu do tego grona. Pan nie chciał być jednym z nich?

– Wyobraża pan sobie pacyfistę i kosmopolitę, który z założonymi rękami patrzy na bójki na stadionie? Ideologicznie jestem daleko poza tym nurtem, agresja doprowadza mnie do szału. Nie akceptuję takich zachowań. Ale też nie jestem osobą, która opowiadałaby się po którejśkolwiek stronie barykady w tym konflikcie. Dokumentalista musi być uczciwy – pokazywać, że nienawiść i agresja napływają z różnych stron. Kiedy filmowaliśmy „powitanie” fanów Ruchu

Niebieskie Chachary –

Kibice Ruchu Chorzów to ludzie, którzy codziennie oddają się sprawie



CEZARY GRZESIUK

– reżyser filmu dokumentalnego „Niebieskie Chachary”

z kibicami Legii Warszawa oraz za przyjaźnionego Zagłębia Sosnowiec, stanęliśmy w oku cyklonu. Między kibicami zwaśnionych klubów a policją. Pokazaliśmy to wydarzenie od środka, tak żeby dało się odczuć emocje różnych reprezentantów tłumu. Te emocje to konkret – przemawiają z ogromną siłą.

Wpakował się pan na pole minowe. Co się stało, że chciał pan wrócić w rodzinne strony i stanąć obok fanatyków, którzy nie są przecież

z pana bajki? Żeby wśród nich być i o nich opowiadać?

– Wypada przywołać słowa Wojtka Kuczoka: kibicowania nie rzuca się jak palenia. Śląsk to moje życie – smutki i radości. Mimo że wyemigrowałem do Warszawy za pracą, nadal uważam się za Niebieskiego. Sentyment do pierwszych barw zostaje do końca życia. Miałem poczucie, że wychowałem się w tym świecie, że powinienem wrócić. Jednak brama na stadion nie została szeroko otwarta.

Podejrzewam, że obawiał się pan relacji interpersonalnych, w które wejdzie pan jako intruz. Zrozumiał



solidarni jak mało kto

pan wtedy, że kibice są nieprzysiadalni?

– Nie ma co się oszukiwać, środowisko kibiców jest dziś szczególnie hermetyczne. Stara zasada psychologii głosi, że jeśli będziemy trzymali psa na łańcuchu i lali go po dupie, to wychowamy dzikie zwierzę. Kibice są w ten sam sposób traktowani przez media, społeczeństwo, a co za tym idzie, trudno nawiązać z nimi porozumienie. Zaczynałem więc małymi krokami – od akredytacji medialnej, postawienia stopy na murawie. Długo stałem jednak za siatką, nie mając dostępu do jakichkolwiek sektorów. Zanim do tego doszło, minął rok, a przecież trzeba było jeszcze zdobyć zaufanie kibiców. Drzwi do tego kościoła uchylały się powoli.

Mówi pan o stadionie jak o miejscu świętym. Piłka nożna to religia?

– Na Śląsku ten sport jest otoczony kultem. Zresztą powstało wiele naukowych opracowań na temat piłki nożnej, które zestawiają ją ze sferą *sacrum*. Niektórzy filozofowie stawiają znak równości między meczem piłkarskim a świętami kościelnymi. Flagi

i sztandary wydają się odpowiednikami ikon, stadion to „duchowy dom”, a sędziowie porównywani są do kapłanów sprawujących posługę. Kibice Ruchu nie są sezonowcami, którzy raz na cztery lata siadają przed telewizorem z okazji mistrzostw świata. To ludzie, którzy codziennie oddają się sprawie – uczestnicząc w piłkarskiej eucharystii.

Na plakacie pana filmu widnieje cytat: „Piłka nożna to nie jest sprawa życia i śmierci. To sprawa o wiele ważniejsza”. Zastanawiam się, jak pan sobie wyobrażał spotkanie z kibicami.

– Myślę, że każdy w naszej ekipie miał obawy. W czasie pierwszego wyjazdu z kibicami Ruchu zastanawiałem się, czy razem z kamerą nie wylecimy przez drzwi pociągu. Po powrocie okazało się, że nasze lęki to wynik fałszywych wyobrażeń – krzywdzących stereotypów, które siedzą w głowie, ale nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości. To było ciekawe doświadczenie, dlatego chcieliśmy podjąć się trudu przekonania kibiców do wzięcia udziału w filmie o byciu kibicem. Pierwszym odważnym, który

się zgodził na pokazanie twarzy, był Simon, ultras Ruchu, który na co dzień pracuje dla międzynarodowej korporacji. Na zdjęciu zapraszał nas do Miami, gdzie znajdowała się siedziba jego firmy – chłopak ze stadionu przy Cichej. **I został pan zaakceptowany, dzięki czemu dołączyli kolejni. Kmiciol, Frontal i wielu innych.**

– To był proces. Na początku kilku zgodziło się na występ przed kamerą – nie w kapturze czy odwróceniu plecami, ale twarzą w twarz. Później odzywali się, jak tylko działo się coś ważnego. Kiedyś w sobotę z samego rana dzwonił Kmiciol i mówi, że muszę za kilka godzin pojawić się w Świdnicy na ślubie Arka Piecha, wówczas gwiazdy zespołu. Pomyślałem, że będzie to ważna scena, więc złamałem chyba wszystkie możliwe ograniczenia na kilkusetkilometrowej trasie z Warszawy. To były spontaniczne akcje, czysta partyzantka. **Z tego, co pan mówi, wynika, że zdążył pan się z nimi zaprzyjaźnić. Wyobrażam sobie, że komuś mogło to się nie spodobać. Są tacy, którzy uznają ten film za obronę chuliganów.**

– Żądano od nas postawienia konkretnej, medialnej tezy i jednoczesnego jej pogłębienia – że kibice są tacy a tacy. Że to tylko umięśnione, wytatuowane „karki” z maczetami, przez których nacjonalizm, faszyzm i antysemityzm przeżywają renesans. To był najważniejszy wymóg stawiany przez instytucje, które poprosiliśmy o wsparcie finansowe. Kiedy projekt został skierowany do poprawek scenariuszowych, wielokrotnie pojawiały się głosy, że uprawiamy gloryfikację chuliganstwa. Dwa lata trwało samo przepychanie projektu i zadowalanie urzędników. ▶

Cezary Grzesiuk – producent, reżyser oraz montażyista filmowy. Właściciel studia filmowego Blue Dream Film. Wykładowca w krakowskiej Akademii Filmowej AMA. Pracował jako montażyista przy takich produkcjach jak: „Skazany na bluesa” (2005), „Różycka” (2010), „Imagine” (2012), „Pewnego razu w listopadzie” (2017). Nagrodzony Złotym Lwem na festiwalu w Gdyni w kategorii montaż za filmy „Przystań” (w 1998) oraz „Ogniem i mieczem” (w 1999). W 2016 r. został odznaczony medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.



► Oczywiście nie można zrobić filmu bez pieniędzy, ale zarazem nie sposób tkwić w sferze wyobrażeń, uprzedzeń, stereotypów. Kiedy przez 10 lat zaliczasz 80 wyjazdów na zdjęcia z kibicami Ruchu, dochodzisz do wniosku, że ten świat nie jest ani czarny, ani biały.

Co to znaczy?

– Mama Frontala, jednego z naszych bohaterów, mawia tak: na stadionie jest 40 tys. osób. Założmy, że weźmiemy ludzi z jakiegokolwiek miasta na Ziemi, przedstawicieli różnych grup społecznych. Nie ma możliwości, aby w tak wielkiej grupie nie znalazł się fajdak, awanturnik czy zaczepny dzieciak, który wypije o jedno piwo za dużo i przewróci toaletę.

[Do rozmowy włącza się współscenarzysta Piotr Nosal]

Piotr Nosal: – Media szybko reagują i traktują to jako sensację. Fokusuje się na takim zdarzeniu, dzięki czemu widowisko sportowe w postaci finału Pucharu Polski, przypominające symboliczną bitwę o Troję, zamienia się w nagłówkach w „bitwę o toi toia”. Takie incydenty doprowadzają

Każdy wie, że na stadionie i poza nim panują pewne zasady.

do sytuacji, w której na ogół kibiców spada wszystko to, czego się dopuści garstka osób pozbawionych wyobraźni. Trudno o empatię wobec środowiska kibicowskiego, choć jasne jest, że nie wszyscy jego członkowie są za ten stan rzeczy odpowiedzialni.

Jakoś w ogóle mnie to nie dziwi – czasem mam wrażenie, że kibice tworzą pełen przekrój społeczeństwa. A na końcu i tak lądują w jednym worku.

– Zgadza się. Kibiców Ruchu może pan szukać wśród różnych grup, zaczynając od tzw. patologii, przez doktorów nauk ścisłych, po artystów pokroju Wojtka Kuczoka czy osoby pełniące funkcje publiczne, takie jak premier Jerzy Buzek. Oczywiście nie każdy chodzi na akcje, ale wszyscy wiedzą, że na stadionie i poza nim panują zasady i przekonania, które na pierwszym miejscu stawiają poczucie przynależności, chęć niesienia pomocy, a przy tym tworzenie silnych więzów społecznych. Idziesz się spotkać z kolegami, pogadać, napić się piwka, a kiedy komuś dzieje się krzywda, jednomyślnie przemaszerujecie ulicami miasta z reklamówką i zorganizujecie zbiórkę charytatywną. Życzyłbym sobie, żeby w każdym środowisku panowała taka solidarność.

Burzą panowie medialny obraz. Lubimy obarczać winą jedną, niepopularną stronę.

– Tutaj nikt nie jest bez winy. Media, politycy, policja niejednokrotnie pogłębiają skuteczność działania stereotypów. Reakcje kibiców są wynikiem nie tylko psychologii tłumu, ale także nacisków ze strony tzw. służb porządkowych. Trzeba mówić o tym głośno. Kiedy wchodziliśmy na mecz Ruchu, jeden z policjantów bez powodu wyciągnął pałkę, uderzył operatora i zniszczył naszą kamerę. Rozsypała się w drobny mak. Tak samo policja zachowuje się w stosunku do kibiców, stwarzając niepotrzebne zagrożenie.

Piotr Nosal: – Na wyjeździe kibice są całkowicie wyjęci spod prawa. Kiedy widzisz ludzi wchodzących na stadion pod okiem kordonów uzbrojonej policji w pełnym rynsztunku, włącznie z tarczami, butlami gazowymi i karabi-

nami, to w głowie zapala się lampka z napisem: *Wanted!* Zupełnie jak na Dzikim Zachodzie. Szkoda tylko, że współcześni szeryfowie często sami idą po linii najmniejszego oporu, stwarzając zagrożenie, napięcia i paradoksy. **Ryzykowne stwierdzenie, szczególnie dziś.**

– Tych kuriozów jest więcej. Niestety, żaden policjant nie odważył się mówić o nich do kamery bez zgody przełożonego. Rozmawialiśmy z gen. Adamem Rapackim, który wskazywał trudną sytuację i dwie strony medalu. Od innych funkcjonariuszy dowiedzieliśmy się, że jeszcze kilka lat temu funkcjonował zapis, według którego policjanci obecni pod stadionem nie otrzymywali żadnego dodatkowego wynagrodzenia ani zwrotów, ponieważ za zabezpieczenie meczu było wpisane w ich regularną służbę. Sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, jeśli chociaż raz została użyta broń gładkolufowa. Nie chciałbym stawiać żadnej tezy, ale można się zastanowić, czy awantury nie były dla niektórych policjantów po prostu opłacalne.

Śląsk to moje życie – smutki i radości.

Na straży stadionowego porządku stała legenda Chorzowa – Gerard Cieślík. Do samego końca był przeciwnikiem wszelkich objawów przemocy.

– To legenda nie tylko Chorzowa, ale po prostu całego kraju! Mecz ze Związkiem Radzieckim na Stadionie Śląskim to jedno z najważniejszych futbolowych spotkań w historii reprezentacji Polski. Kiedy w 1957 r. Gerard Cieślík wcisnął dwie bramki Związkowi Radzieckiemu, 100-tysięczny tłum oszalał z zachwyty. Po meczu był noszony przez kibiców na ramionach i ten szacunek pozostał do śmierci. Niestety, nie udało nam się spotkać, czego bardzo żałuję. Gerard Cieślík niespodziewanie zrobił dla nas zupełnie inną scenę – zmarł 3 listopada 2013 r. Tysiące osób uczestniczyło w jego pogrzebie i pożegnaniu na stadionie przy Cichej. Wszyscy odmawiali różaniec. Myślę, że Gerard Cieślík był jednym z elementów *sacrum*, o którym mówiliśmy na początku. A zarazem strażnikiem czystego futbolu – to, co bolało go najbardziej, to właśnie agresja i mowa nienawiści na stadionach. Dzisiaj życzyłby sobie zgody. Między nami wszystkimi.

Mateusz Demski

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

NIEŚMIERTELNOŚĆ

Czasami trzeba tłumaczyć jak małym dzieciom. Kazimierz Wielki miał jednocześnie (*sic!*) trzy ślubne żony: Adelajdę Heską, Krystynę Rokiczańską i Jadwigę Żagańską. Każde z tych małżeństw było pobłogosławione w kościele. Ta trzecia (co za dużo, to niezdrowo) tak dalece rozżłościła papieża Urbana V, że wysłał do króla bardzo ostry list, w którym wyliczył również przeszłe królewskie grzeszki. Kazimierz rzeczywiście nie był wielbicielem szóstego przykazania. Żony też mu nie wystarczały. Do swoich zamków i dworów sprowadzał dziesiątki nałożnic. „Osadzał te kobiety – pisze kronikarz – w Opocznie, Czchowie, Krzczowie i z nich jakby domy nierządne potworzył”. Już zimą 1349 r. usiłował wyperswadować władcy taką nieprzystojność krakowski wikary katedralny, ksiądz Marcin Baryczka. Monarcha wysłuchał uważnie wszystkich argumentów, po czym kazał kaznodzieję utopić w przerębli na Wiśle, a sam udał się na igraszki z kochanką Esterką, która skądinąd była Żydówką.

Adam Mickiewicz raczej nie zapisał się w historii jako tytan intelektu. Jego wykłady w Collège de France były na krawędzi kompromitacji. Dał się omdać dziwaczemu sekciarzowi Towiańskiemu. W Rosji nawiązywał zgola podejrzaną przyjaźnię i bywał na jeszcze bardziej podejrzanym salonach. Żonę, Celinę Szymanowską, która denerwowała go nieustanną grą na fortepianie, a jeszcze bardziej rozrzutnością, wsadził do szpitala wariatów (tak wtedy nazywano tę szlachetną psychiatryczną instytucję), gdzie „leczono” polewaniem zimną wodą, straszaniem, bezsennością itp., o czym oczywiście mógł nie wiedzieć, gdyż nie zniżał się do odwiedzania nieszczęśnicy. Do powstania listopadowego „nie zdążył”, choć trwało prawie rok, a on przebywał w tym czasie w Rzymie, czyli nie na antypodach. Kiedy w końcu się ruszył, jechał do Polski przez Genewę i Paryż – po drodze mu było.

Mimo to zarówno Kazimierz Wielki (już sam przydomek mówi wszystko), jak i Adam Mickiewicz weszli do panteonu historii narodowej i błaznem byłby każdy, kto by chciał ich stamtąd usuwać. Albowiem liczy się bilans. Czasami jest on trudny do ustalenia, powikłany, skomplikowany, jak choćby w przypadku króla Stanisława Augusta Poniatowskiego czy margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, i zapewne historycy będą się oń spierać aż po kraj mogiły. Niekiedy jednak, jak w przytoczonych przykładach, ów bilans jest jasny i ostateczny. I tak jest właśnie, moi milusińscy z IPN czy PiS, z niejakim Lechem Wałęsą.

Mógł być Wałęsa przez jakiś czas „Bolkim”, mógł skać przez inne ptoty, niż dzisiaj przewodnicy pokazują,

mógł niepotrzebnie wywoływać „wojnę na górze”, mógł – co jest zapewne największą jego przewiną w oczach i zwolenników, i przeciwników – nie docenić mrocznego sprytu i żądzy władzy braci Kaczyńskich, mógł się otaczać dziwnymi Wachowskimi i Cybulami... Cały kraj śmiał się do łez z jego „Ani be, ani me, ani kukuryku”, „Jestem za, a nawet przeciw”, „Nie chcę, ale muszę”, „Zdrowie wasze w gardła nasze!”, „Jest remis, więc nie przegrałem”, „Mam dość słuchania, że obiecałem, a nie dałem”. To wszystko odejdzie w niepamięć lub znajdzie się pod lipą w formie anegdoty. Pozostanie ten, którego jako swojego przywódcę wynosili robotnicy na ramionach ze stoczni, człowiek, który nie dał się przekupić ani zmanipulować w Arłamowie, z którego imieniem związane jest przede wszystkim rozdarcie żelaznej kurtyny, pierwszy prezydent nowej Rzeczypospolitej. Człowiek symbol. Już to musi budzić w Polsce zawiść. Nienawiść zaś fakt, że będąc ongiś w centrum wydarzeń, wie lepiej niż ktokolwiek, kto i w jakiej mierze do nich się przyczynił. Próbowano go najpierw umniejszyć przez wysuwanie niedopieczonych

Mało co, a wyrósłby nam z Wałęsy Wallenrod na odwyrtkę, który udając męża opatrnościowego, podkłada pod Solidarność czerwone komunistyczne bomby.

kontrkandydatów. Że to nie jego zasługi, ale Walentynowicz, Gwiazdy, aż dziw, że nie Mateusza Morawieckiego. Potem przyszedł czas na opluwanie – z małego i krótkotrwałego „Bolka” zrobił się nagle groźny agent. Mało co, a wyrósłby nam Wallenrod na odwyrtkę, który udając męża opatrnościowego, podkłada pod Solidarność czerwone komunistyczne bomby. Jeżeli nikt nie odważy się skasować niestawnego IPN, wkrótce takim będzie w polskich podręcznikach szkolnych.

Tym jednak przesadnie bym się nie przejmował. Kłamstwa i złość IPN mają ograniczony zasięg i bardzo przejściowe oddziaływanie. Pamięć zbiorowa Europy przechowuje i przechowuje nazwisko Wałęsy pośród najważniejszych w naszych czasach. Jeden tylko rodzi się problem. Oto coraz częściej spotykam się we Francji (i nie tylko) z pytaniami inteligentnych ludzi: „Macie postać, która – rzecz wyjątkowa – budzi międzynarodowy podziw i konsensus. Zamiast się nią chwalić, budować pomniki, usiłujecie, na szczęście głupio i nieudolnie, pluć na nią i deptać. Co wam do głowy strzeliło?”. Pytanie to przekazuję niemiłościwie nam panującym. Niby dziecko by zrozumiało, ale może do starszaków jeszcze nie dorośli.



MIŁOSNE PODCHODY

Zgrabnie skrojona komedia obyczajowa z typowo angielskim poczuciem humoru w inteligentnym przekładzie Klaudyny Rozhin, która zna się na rzeczy i potrafi wypatrzeć tekst sprawdzający się na scenie. Będzie więc tu niejedno *qui pro quo*, nie wszystko okaże się takie, jakie się wydaje, ale – jak to w komedii – na koniec przynajmniej jedna para się odnajdzie. Bo o miłosne podchody tu idzie, nawet jeśli bohaterowie nie od razu zdają sobie z tego sprawę.

Akcja toczy się w dobrym tempie, mimo że jej terenem jest z pozoru senny sklepik z tanią odzieżą Kup ciuszek, co nie przypadkiem brzmi prawie jak Kopciuszek. Albowiem markowe czerwone szpilki, które ktoś oddaje na sprzedaż, będą tu przymierzane i traktowane jako środek poszukiwania baśniowego Kopciuszka.

Aktorzy mnożą się, zaludniają ruchem scenę – jest ich tylko czworo, ale grają grubo ponad dziesięć postaci, często gęsto z poczuciem humoru i śmiało używaną charakterystycznością – i budzą rosnące zainteresowanie, bo intryga sprawia niespodzianki.

Półtorej godziny dobrej zabawy, w sam raz na jesienne szarugi, bo choć premiera warszawska odbyła się już w czerwcu, to jesienna w Nowym Sączu, 13 października, na powitanie mniej słonecznej pory roku. „Mała rzecz a cieszy” doda nieco słońca do nadciągającego zachmurzenia, zwłaszcza że doborowe grono wykonawców potrafi rozbawić i wzruszyć widownię.

Tomasz Miłkowski

Liz Lochhead, „Mała rzecz a cieszy”, przekład Klaudyna Rozhin, reżyseria Piotr Jędrzejak, Teatr IMKA, premiera warszawska 8 czerwca 2018, Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu, premiera 13 października 2018

SEN NA JAWIE

Są trzy światy – mówi nam Szekspir w swojej komedii. Ten pierwszy, realny, gdzie są zwykli ludzie z ich problemami, a zwłaszcza ciężko przeżywaną miłością. Drugi świat to duchy, które mogą nam szkodzić lub pomagać, jak im się spodoba. Świat trzeci stoi w połowie drogi między pierwszym a drugim – to teatr, w którym wszystko jest możliwe. Reżyser z Węgier pokazuje to jak na dłoni. Nie wszystko w tej dosyć surowej i ubogiej inscenizacji jest idealne, ale niektóre pomysły scenografa robią wrażenie, tak jak zaczarowany las imitowany przez różnej wielkości ruchome żarówki albo łożo z jednej wielkiej poduchy. Aktorzy dwoją się i troją, dochodzi nawet do pojedynku w stylu dowolnym



dwóch dziewcząt. Najśmieszniej jest oczywiście w teatrze, który jest teatrem w teatrze. A publiczność teatru w teatrze w trakcie spektaklu wychodzi, aby wrócić szybko do oklasków. Tak się dzieje naprawdę i na niby i w tym tkwi magia Szekspira.

Bronisław Tumitowicz

William Szekspir, „Sen nocy letniej”, przekład Konstanty Ildefons Gałczyński, reżyseria Gábor Máté, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, premiera 12 października 2018

ZASŁUCHAJ SIĘ

Martha Argerich, Mischa Maisky, Amadeus Chamber Orchestra of Polish Radio
HAYDN PIANO&CELLO CONCERTOS
NIFC

Niezwykłe wykonania dwóch arcydzieł pierwszego ze słynnych klasyków wiedeńskich, Józefa Haydna. „Koncert fortepianowy D-dur” gra zjawiskowo Martha Argerich. Zaraz po tym jest bis słynnej pianistki, krótka sonata Domenica Scarlatti. Drugi koncert Haydna gra świetny wiolonczelista Mischa Maisky. Tutaj znów możemy się za-



chwycić pięknym, nasyconym brzmieniem instrumentu i bezbłędną techniką. A na bis mamy jeszcze trzy dawne tańce z suit wiolonczelowych Jana Sebastiana Bacha.

Solistom towarzyszy obchodząca w tym roku piękny jubileusz Orkiestra Kameralna Polskiego Radia pod dyktando Agnieszki Duczmal. Całość nagrania osiąga najwyższy światowy poziom – jest to rejestracja występów w Warszawie, podczas festiwalu Chopin i jego Europa w 1992 i 1993 r. To dowód, jak wspaniałą imprezę muzyczną mamy w stolicy.

Bronisław Tumitowicz

NA EKRANACH

JESZCZE DZIEŃ ŻYCIA

reż. Raúl de la Fuente i Damian Nenow,
prod. Belgia, Hiszpania, Niemcy, Polska,
Węgry, już w kinach

Polak Damian Nenow i Hiszpan Raúl de la Fuente pokazują znaczenie informacji na wojnie. Choć strony konfliktu w Angoli cały czas mówią o broni, to nie ona decyduje, w jaki sposób potoczą się losy kraju. Ekranowy Ryszard Kapuściński staje przed dylematem, jak wiele powinien mówić w swoich relacjach, a reżyserzy zastanawiają się, czy można zataić prawdę, gdy jej ujawnienie grozi znaczącym wpływem na bohaterów. Stare jak reportaż pytanie, czy reporter ma prawo ingerować

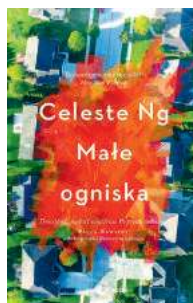
w opisywane zjawisko, podano w niespotykanej w naszym kraju formie. Animowana część filmu odtwarza przebieg zdarzeń, a dokumentalne rozmowy z Angolczykami, których Kapuściński opisywał, łączą wspomnienia o wojnie i polskim mistrzu reportażu. Portret „Ricarda”, jak go nazywano, jest jednak niepełny. Mówi się o nim wyłącznie pozytywnie, nie podaje w wątpliwość słuszności wyborów, choć pośmiertna dyskusja o Kapuścińskim właśnie do tego zachęcała. Formalnie odważny film okazuje się przez to ugrzeczniejszy i zachowawczy w treści.

Artur Zaborski



MIĘDZY OKŁADKAMI

ZAJRZYJ TU



Celeste Ng
MAŁE OGNISKA
tłum. Anna Standowicz-Chojnacka
Papierowy Księżyc, Słupsk 2018

Katastrofę mamy już na pierwszej stronie. Splot zdarzeń, który do niej doprowadził, przypomina te skomplikowane wzory układane z kostek

domina – obserwowanie, jak pada klocek za klockiem, jest fascynujące. Od czego się zaczęło? Przyjmijmy, że od spotkania pani Richardson, matki i żony bardziej z lat 50. niż z 90., z Mią, artystką fotografką. Ta pierwsza reprezentuje zasady, druga wolnego ducha. Ich dzieci zaprzyjaźniają się, po jakimś czasie kobiety niemal wymieniają się córkami. Jedyńca Mii, Pearl, tęskni za stabilizacją. Izzy, najmłodsza, zbuntowana latorośl Richardsonów, potrzebuje zrozumienia. Mia i Izzy są tym, czym pani Richardson nie potrafiła się stać. Owszem, miała ideały, ale nie miała odwagi ani potrzeby zaryzykowania czegośkolwiek w ich imię. Spełnia dobre uczynki, ale widać w pewnym momencie, że podlicza je jak buchalter, to wręcz inwestycje w ludzi, które powinny zapocentrować. Mia okazała się chybioną inwestycją – i ma tajemnicę...

Celeste Ng z talentem pisze o relacjach rodzice-dzieci, o macierzyństwie: planowanym, nieplanowanym, wyczekiwanym, lecz nienadchodzącym, o rasizmie i o tym, że życie w modelowych społecznościach wymaga konformizmu.

Aleksandra Pańko

A ŚLADY ZASYPAŁ PIASEK...

Przekazana do MNK kolekcja numizmatycznych i archeologicznych skarbów żołnierzy 2. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, prezentowana w Muzeum Czapskiego, miała być подарowana po II wojnie światowej zniszczonemu muzeum w Polsce. Zbiór liczy ok. 12 tys. monet, a wśród eksponatów archeologicznych znalazły się odważniki, lampki oliwne oraz paciorki ze szkła, kamieni półszlachetnych czy gliny. Wielkość kolekcji sugeruje, że było kilkadziesiąt, a może nawet kilka tysięcy darczyńców. Niestety, większość pozostaje anonimowa.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DO 26 MAJA



FESTIWAL



17. Międzynarodowe Forum Krótkometrażowych Filmów Fabularnych CINEMAForum

„Od lat staramy się nadać festiwalowi realnie międzynarodowy wymiar. W tym roku świadczą o tym nie tylko składające się na konkurs główny filmy z całego świata, ale też retrospektywy krótkometrażowych filmów austriackich i brytyjskich (...) oraz dwa specjalne zestawy prezentujące najlepsze tytuły z festiwalu w Oberhausen. Tym ostatnim towarzyszyć też będzie debata na temat miejsca krótkiego metrażu we współczesnej kulturze filmowej”, piszą organizatorzy.

W programie znajdzie się również seans filmu jednego z najlepszych światowych badaczy kina – Thomasa Elsaessera. Hasłem tegorocznej edycji są „Krótkie historie” – co oznacza „możliwość przeżycia wielu kolejnych historii i nieustannego rozpoczynania ich na nowo, doświadczania zbawionego życiowego dobrodziejstwa nowych początków”. Wstęp na seanse jest bezpłatny. Szczegóły: cinemaforum.pl.

WARSZAWA, KINOTEKA, 7-11 LISTOPADA

Katie Roiphe

WRZESIEŃ 1939 ROKU

Wczesnym rankiem we wrześniu Freud otwiera powieść, którą właśnie czyta: „Lichy czas dla topielców – rzekła, śmiejąc się, staruszka w łachmanach”. Przeszkłone drzwi gabinetu wychodzą na ogród z kwitnącym migdałowcem. (...)

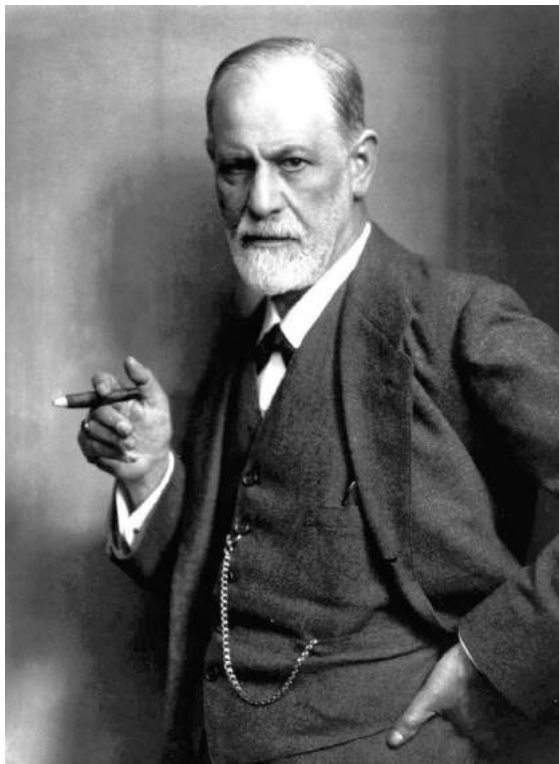
Kilka miesięcy wcześniej, podczas szczególnie brutalnego naświetlania, Freud napisał do dawnej pacjentki i przyjaciółki Marie Bonaparte: „Mój świat znowu jest tym, czym był – wysepką bólu unoszącą się na morzu obojętności”. Obecny niesforny ból dla większości ludzi byłby nie do zniesienia. Rodzina i przyjaciele namawiają go do zażywania środków przeciwbólowych, ale Freud nie chce brać nic mocniejszego od aspiryny; czasem sięga po butelkę z gorącą wodą.

– Wolę myśleć w udręce niż nie móc myśleć klarownie – mówi.

Trudno się patrzy na kogoś, kto nie chce przyjmować środków przeciwbólowych. Niektórzy uznają to za upór. (...) Rzeczywiście niełatwo jest wpłynąć na starszego pana. Podjął decyzję w sprawie ostatniego etapu. Chce mieć możliwość zastanawiania się i analizowania tego, co jeszcze pozostało do przeanalizowania. (...)

Martwica w ustach zaczęła wydawać przykrą woń. W policzku Freuda widnieje otwór jak po przejściu kuli. Skomplikowana proteza, którą jego córka Anna prywatnie nazywa „potworem”, chrobocze mu w ustach. W nocy, ponieważ woń przyciąga owady, Freud śpi pod moskitierą, co nadaje scenie egzotyczną, kolonialną atmosferę, jakby znajdował się w Indiach czy Tajlandii. (...)

W słoneczne dni Freud leży na szezlongu w ogrodzie. (...) Słucha radiowych doniesień o wojnie. Czyta gazetę, śledząc marsz Niemców przez Europę. Czyta listy od przyjaciół, od obcych. Listy docierają do Maresfield Gardens w Londynie, chociaż są zaadresowane tylko „Dr Freud, Londyn”,



TO JEST MOJA OSTATNIA WOJNA

Zygmunt Freud umarł na swój własny sposób, wtedy, kiedy chciał

co wprawia go w zdumienie. Jest w tym coś magicznego, zaczarowanego. Po poważnych i dokuczliwych prześladowaniach ze strony nazistów takie drobniaczki na powitanie w Anglii są przyjemną odmianą.

Na kolanach Freuda leży powieść, którą czyta, mroczny, halucynacyjny „Jaszczur” Balzaka.

– To jest książka w sam raz dla mnie – mówi Freud do swego prywatnego lekarza, Maxa Schura. – Opowiada o kurczeniu się i głodowaniu. (...)

Mogłoby się wydawać, że ten energiczny, witalny człowiek trochę przesadnie przygotowywał się do śmierci. O tym, że jest jej bliski lub że się z nią pogodził, zaczął mówić na długo przed faktycznym umieraniem. Jako trzydziestokilkuletni mężczyzna cierpiał na rozmaite schorzenia, w tym wedle jego własnego określenia na

„nagły ucisk serca”, palpitacje utwierdzające go w przekonaniu, że jest bliski śmierci. Problemom kardiologicznym towarzyszyło „uczucie przygnębienia, które wyrażało się poprzez wizje śmierci i odchodzenia, rugujące normalną gorączkową żywotność”. Z najbliższym w owym czasie przyjacielem, Wilhelmem Fliessem, otwarcie rozmawiał o swoim lęku przed śmiercią, który nazywał „śmiertelnym delirium”. Tak więc myśl o umieraniu lub byciu bliskim śmierci pojawiła się na długo przed rakiem czy innymi poważnymi kłopotami ze zdrowiem. (...)

Jeszcze w Wiedniu, czekając na pozwolenie wyjazdu do Anglii, dokąd pragnął uciec przed nazistami, Freud często mówił, że skończył z życiem i nie warto zaczynać od początku. Podczas gdy jego przyjaciele usiłowali nakłonić władze nazistowskie, by zezwoliły mu wywieźć do

kumenty i bibliotekę (...), Freud powiedział do Ernesta Jonesa:

– Gdybym był sam, już dawno zakończyłbym życie.

Jednocześnie w swoich działaniach przejawiał nie-spożytą energię. (...)

Kiedy zimą 1923 r. u Freuda zdiagnozowano rogowacenie białe jamy

ustnej, jego poczucie zbliżającej się katastrofy wreszcie przybrało namacalną postać. Aby usunąć rogowacenie, przeszedł pierwszą z wielu trudnych operacji. Lekarze nie poinformowali go natychmiast, że zmiany mają charakter nowotworowy, ale Freud wyczuł, że tak właśnie jest, a naświetlanie oraz terapia rentgenowska potwierdziły te podejrzenia. Fakt, że lekarze traktowali go jak zwykłego pacjenta, okłamując go i ukrywając prawdę, budził jego gniew. Nie chciał, by go chroniono czy pocieszano. (...)

Sześć lat później, po namowach Marie Bonaparte, Freud postanowił zatrudnić osobistego lekarza, dr. Maxa Schura, oddanego młodego internistę, ogromnie zainteresowanego psychoanalizą. (...) Zatrudniając osobistego lekarza, Freud wszedł w osobistą relację ze śmiercią. Zainicjowany w ten

sposób proces można niemal nazwać negocjacją. Poprosił Schura, by pomógł mu umrzeć, gdy nadejdzie czas, i ten wyraził zgodę. Freud poprosił go też o całkowitą szczerość i na to lekarz również się zgodził.

Stoicki, racjonalny Freud był w pewnym sensie idealnym pacjentem. Sam nazywał siebie „pacjentem potulnym” Maxa Schura, wykazywał odwagę i nie skarżył się nawet podczas największych niepowodzeń

Praca bez cygara wydawała się niemożliwa. Bez niego trudno było sobie wyobrazić nawet samo życie.

w leczeniu, w trakcie aż 33 bolesnych, a niekiedy też spapranych operacji jamy ustnej. Jednak w kwestii palenia cygar nadal zwodził i buntował się przeciwko chorobie i śmierci. Freud wiedział, że palenie wzmacnia zmiany chorobowe, a mimo to palił nadal. (...)

Nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak bardzo przywiązany był do palenia, nawet wtedy, gdy lekarze kazali mu przestać. W dużej mierze był to oczywiście nałóg, ale częste peany wygłaszane przez Freuda na cześć palenia ujawniają, że kryło się za tym coś więcej. „Stodki nałóg palenia”, jak sam go określał, zaczął się, gdy miał 24 lata. Sięgnął wtedy po papierosa, po czym przerzucił się na cygara. Jego ojciec był zagorzałym palaczem, a sam Freud wkrótce wypalał 20 cygar dziennie. Kiedy jego 17-letni siostrzeniec Harry odmówił przyjęcia papierosa, Freud rzekł: „Mój chłopcze, palenie jest jedną z największych i najtańszych przyjemności w życiu, a jeśli to góry rezygnujesz z palenia, mogę ci tylko współczuć”.

W lutym 1923 r., kiedy Freud odkrył w gardle narośl, nie od razu powiadomił o niej lekarzy, wiedział bowiem, że znowu każą mu rzucić palenie. Po usunięciu nowotworu nadal cierpiał z powodu zmian chorobowych, obrzeków oraz dużej, niewygodnej protezy, mającej zastąpić część podniebienia. (...)

Chociaż Freud poważnie traktował swoje problemy zdrowotne, nigdy nie porzucił całkowicie nałogu. (...) Życie bez cygar było nieznośną udręką. Już na wczesnym etapie łączył palenie z wyobraźnią, z twórczą stroną swej natury. Praca, koncentracja bez cygara wydawała się niemożliwa. Bez niego trudno było sobie wyobrazić nawet samo ży-

cie. Z cygarami wiązało się coś kluczowego, coś zbliżonego do tożsamości.

Naukowa reakcja na jego stan medyczny była jednoznaczna, ale Freud nadal uchylał się przed racjonalnymi opiniami badaczy. W końcu lekarze sporządzili pisemny raport dotyczący szkód wyrządzanych przez palenie jego gardła i podniebienia. Za powracające przedrakowe narośle i stany zapalne jednoznacznie obwiniano nikotynę. (...) Raport kończył się upo-

mnieniem: „Pacjenta należy z całą mocą przekonać do rezygnacji z palenia”. Kiedy Schur pokazał raport Freudowi, ten tylko wzruszył ramionami. (...)

Palenie oznaczało dla Freuda wiele rzeczy. Nie tylko integralnie wiązało się z jego procesem twórczym do tego stopnia, że bez cygara nie wyobrażał sobie żadnej istotnej pracy intelektualnej, ale stanowiło też formę buntu, dzikości, ekspresję, na jaką zwykle sobie nie pozwalał. (...) Freud sugeruje, że cygara mają zasadnicze znaczenie dla jego biografii, dla zrozumienia jego życia i czasów. Interesuje go inna historia, pisana dymem. Nie jest ostrożny. Nie jest akuratywny. Nie jest punktualnym, opanowanym, odpowiedzialnym finansowo, miesz-

Freud nie miał nic przeciwko odbieraniu sobie życia w sytuacji granicznej, ale nie chciał, by zmuszali go do tego faszyci.

czańskim Freudem. (...) Trawi go szalona namiętność do cygar. To ogień, opał, ukoronowanie. (...)

Badacze przeczesywali jego życie w poszukiwaniu skandalu, potwierdzenia obsesji seksualnych, co doprowadziło do gorących spekulacji na temat domniemanego romansu ze szwagierką, Minną Bernays. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, by postępowanie Freuda wyływało z zauroczenia siostrą żony, nic nie potwierdza istnienia takiego zauroczenia. Jego jedyną anarchiczną czynnością, jedyną wadą, której nie chciał się wyrzec, jedynym przejawem irracjonalnego, destrukcyjnego postępowania, „grzechem”, do jakiego mógł się przyznać, było palenie cygar. Podczas burzliwych zaręczyń pisał: „palenie jest nieodzowne,

jeśli człowiek nie ma czego całować”. Sugeruje, że palenie stanowi substytut seksualności, jest wyrazem libido. (...)

Pomijając powyższe okazjonalne aluzje, Freud wzbraniał się przed dogłębną analizą swego nałogu nikotynowego, który znajdował się niejako poza granicami świata poddającego się analizie. W „Objaśnianiu marzeń sennych” oraz innych pracach analizował siebie wyczerpująco. Pomijał jednak palenie, zjawisko najwyraźniej złożone i pełne namiętności. Nie rozważał wieloletniego nałogu nawet w obliczu choroby i wyraźnych zakazów kolejnych lekarzy. (...)

Coraz bardziej koncentrował się na kwestii kontroli, kontroli tak rozległej i wszechogarniającej, że obejmowała nawet sposób czy metodę umierania. Freud chciał sam wybrać moment i sposób śmierci. Kiedy córka Anna zaproponowała, żeby się otruli, jeśli nie zdołają uciec z Wiednia przed naziistami, warknął z irytacją:

– Dlaczego? Ponieważ tego właśnie chcę?

Freud nie miał nic przeciwko odbieraniu sobie życia w sytuacji granicznej, ale nie chciał, by zmuszali go do tego faszyci. Sam pragnął zdecydować o tym, kiedy umrzeć. Oczekując na wizę, która pozwoliłaby mu opuścić Austrię, napisał, że chce „umrzeć na wolności”, co oznaczało,

że chce umrzeć w Anglii, z dala od poważnych i dokuczliwych prześladowań ze strony nazistów. Miał też jednak na myśli, że „organizm pragnie umrzeć tylko na własny sposób”. (...)

Pomimo rosnącego zaabsorbowania podupadającym zdrowiem Freud nie chce przestać pracować. Na przestrzeni lat w trakcie najróżniejszych bolesnych zabiegów leczniczych przyjmował pacjentów, a po operacjach często brał tylko dzień czy dwa wolnego. W marcu 1939 r. w Londynie, osłabiony silnym naświetlaniem, nieprzerwanie przyjmował pacjentów. Gotów był znosić niemały ból i skrzyżnię korzystał z okazji przedłużania życia, pod warunkiem że było produktywnie. (...)

Praktykę psychoanalityczną kończy dopiero 1 sierpnia [1939 r.], zbyt słaby, by oficjalnie kontynuować pracę. ►

Freud z wizytą
u Marie Bonaparte,
Paryż 1938 r.



► W tym czasie w domu w Maresfield Gardens przyjmuje czterech pacjentów, a jedną osobę uczy techniki analitycznej. Wizyty i opłaty zapisuje w granatowych notesach. Do przyjaciela pisze: „Godząc się na los, jak przystało na uczciwego człowieka, w głębi serca pragnąłbym uniknąć tylko jednego: paraliżu mocy z powodu udręki fizycznej. Gińmy w przyłbicy i z orężem, jak mówił król Makbet”. (...)

Kiedy Schur wraca z Ameryki, by starać się o wizę dla siebie, zauważa, że Freud schudł i jest bardzo blady. (...) Nawet w młodości Freudowi

Korzystał z okazji przedłużania życia, pod warunkiem że było produktywne.

nie podobała się idea przedłużania życia za wszelką cenę. Nie podpisywał się pod żadnymi wzniosłymi czy sentymentalnymi koncepcjami długowieczności. (...)

1 września Freud czyta w gazecie o napaści Niemców na Polskę, a Schur przeprowadza się do Maresfield Gardens, by zaopiekować się pacjentem. Z powodu nalotów łóżko Freuda zostaje przesunięte do bezpieczniejszej części domu. Pewnego razu słuchają radia i lektor mówi o wojnie jako o „ostatniej wojnie”. Schur pyta pacjenta, czy jego zdaniem to faktycznie jest ostatnia wojna.

– To jest moja ostatnia wojna – odpowiada Freud. (...)

14 WRZEŚNIA

Anna pisze do swojej bliskiej przyjaciółki Dorothy Burlingham w Nowym Jorku, że stan ojca się pogorszył i medycyna nie ma mu już nic do zaoferowania. (...)

Ból jest teraz otępiający, ale Freud nadal nie chce przyjmować środków przeciwbólowych. Godzi się na aspirynę i butelkę z gorącą wodą na noc. Złe sypia, co jest dla niego nietypowe. (...) Decyduje nie tylko o tym, jak długo chce cierpieć, ale także o sposobie przeżywania cierpienia. Nie życzy sobie przycięcia, zaktęczenia ani osłabienia przytomności. (...)

O swoim ojcu, który zmarł w wieku 82 lat, pisał: „Dzielnie trwał do końca, jak przystało na nadzwyczajnego człowieka, jakim był”. Taki właśnie model jest bliski Freudowi. Kiedy początkowo lekarze zataili przed nim fakt, że ma raka, bardzo go to przybiło, podobnie jak ich późniejsze kłamstwa o szansach wyzdrowienia.

19 WRZEŚNIA

Anna pisze do Dorothy Burlingham, że ojciec jest w beznadziejnym stanie i znosi ogromny ból. Dorothy odpisuje: „Nic nie można powiedzieć. Jest tylko współczucie dla niego i dla ciebie. W tych dniach czuję się jak Hiob:

zaglądam do gazety i znajduję same złe wiadomości, codziennie gorsze niż poprzedniego dnia”.

Ale w Londynie niebo ucichło. Naloty ustały na kilka dni.

21 WRZEŚNIA

Anna informuje Dorothy, że stan ojca uległ dalszemu pogorszeniu. (...) Freud kończy powieść Balzaka i zamyka książkę. Już nie pracuje.

Nie czyta. Mówi:

– Mój drogi Schurze, pamiętasz naszą pierwszą rozmowę. Obiecałeś wtedy, że pomożesz mi, kiedy nie będę mógł więcej znieść. Teraz to jedynie bezsensowna tortura.

Prosi Schura, by porozmawiał o tym z Anną, Anną, która stała się niemal przedłużeniem jego ciała. Schur prosi ją o zgodę. (...) Anna najpierw odmawia, potem wyraża zgodę.

Schur podaje Freudowi jedną trzecią grama morfiny. Chory zasypia. Później, gdy zaczyna być niespokojny, Schur podaje więcej morfiny.

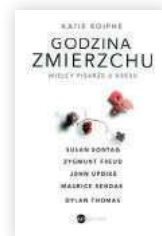
W domu panuje cisza. Freud leży spokojnie pod moskitierą.

23 WRZEŚNIA

„Organizm pragnie umrzeć tylko na własny sposób”. Zgodnie z tym, co pisał, umarł na swój własny sposób, wtedy, kiedy chciał. Wybrał i sprawował kontrolę nad czymś, co większości z nas nie jest dane. Wyobraził sobie własną śmierć. Dla innych wyglądało to tak, jakby zasnął. We wczesnych godzinach rannych przestał oddychać. Anna napisała: „Wydaje się, że nie ma nic gorszego niż patrzeć, jak najbliżsi nam ludzie tracą cechy, za które ich kochamy. W przypadku mojego ojca dostało mi to oszczędzone; do ostatniej chwili pozostał sobą”. Do tego stopnia pozostał sobą, że Anna miała wrażenie, że ojciec wyruszył tylko w jedną ze swoich podróży, a ona ma pilnować spraw do jego powrotu. (...)

„Nie możemy wyobrazić sobie własnej śmierci”, napisał autorytatywnie i z takim przekonaniem, a jednocześnie stale robił, co w jego mocy, by tego właśnie dokonać.

Fragmenty książki Katie Roiphe *Godzina Zmierchu. Jak odchodzili wielcy pisarze*, przekład Paweł Lipszyc, Wielka Literatura, Warszawa 2017



Prezydent nie słucha Trójki

Edward Mikołajczyk

To wielka niestosowność – publicznie pytać prezydenta dużego państwa, dlaczego jakaś stacja radiowa w jego kraju nie podała w piątek ważnej wiadomości. Bo niby skąd mąż stanu, który ma na głowie całe państwo, może wiedzieć, co niedobrego zrobił w piątek jakiś redaktor?! Kiedy zapytanemu uda się przy tej okazji dobrze odegrać rolę politycznego niewiniątka, obecni na konferencji sprawozdawcy, a za ich pośrednictwem także wszyscy telewidzowie, zostaną dodatkowo poinformowani o niczym niekrępowanej wolności mediów w ich kraju. Dowiedzą się np., że „jak ktoś zgwałcił kobietę albo są gwałcone kobiety, będzie to natychmiast opisane ze szczegółami”.

Niestety, ludzie domagają się podobnie nieskrępowanego zachowania mediów także w przypadku innego rodzaju gwałtów, kiedy np. ofiarą przemocy politycznej pada jakiś przepis ustawy zasadniczej. Tak właśnie było w Berlinie kilkanaście dni temu. Pytanie dotyczyło postanowienia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który nakazał Polsce natychmiastowe zawieszenie przepisów prezydenckiej ustawy o Sądzie Najwyższym, a wymieniona stacja to PR III, czyli Trójka, jedna z rozgłośni radia publicznego, od trzech lat wszystkimi siłami obsługującego propagandowo partię i rząd PiS. A wspomniany piątek to był 19. dzień października, rozpoczynający weekend z niedzielnymi wyborami samorządowymi. Do kompletnego braku jeszcze tylko informacji, że pytanie skierowane było do prezydenta naszego państwa, a w tej roli występował w Niemczech Andrzej Duda, siedzący na konferencji obok prezydenta Republiki Federalnej.

Niestosowność bez dwóch zdań dyskwalifikuje autora pytania, ale prezydent Duda wielkodusznie nie wypomnił jej dziennikarzowi. Wyznał szczerze, że nie słuchał radia, co spotkało się ze zrozumieniem, bo nikt nie sądzi, że prezydent może mieć coś takiego w zakresie obowiązków. I dodał jeszcze, że nie ma żadnego wpływu na media, które są wolne, i w tym miejscu opowiedział o gwałtach, które podobno zaświadczały o wyższości swobód polskich nad wolnością prasy w Niemczech. Jako wytworny mąż stanu nie powiedział tego dosłownie, tylko pozostawił rzecz domysłności gospodarza, na którego wymownie spojrział.

Co sobie pomyślał w tym momencie Frank-Walter Steinmeier, zapewne przeczytamy po latach w jego memuarach, jeżeli kogoś będzie jeszcze interesowało, kto był prezydentem Polski 100 lat po zakończeniu I wojny światowej. A my, którzy tu i teraz żyjemy, możemy tylko wyrazić podziw dla postępów w nauce Andrzeja Dudy, który miał przecież prawo, a może nawet obowiązek przejąć od swojego prezesa i jego partyjnych kumpli cały katalog traktowania dziennikarzy z buta, a nie robi tego, mimo że siedzi na najwyższym urzędzie. W odpowiedzi na dowolne pytanie prezydent nie zawsze życzy reporterowi dobrego dnia, jak kiedyś Macierewicz, a dzisiaj nawet Suski, ale czasem

podejmuje rozmowę, tyle że na swoich warunkach. Udaje, że nie chodzi o prezydencką ustawę, udaje, że jeszcze nie wie, o co może chodzić Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej, udaje, że nie uczestniczy w październikowej rewolucji nowogrodzkiej, która ma ustanowić rządy PiS w samorządzie, czyli już wszędzie w Polsce. I robi wrażenie człowieka, który nie jest zorientowany, że na potrzeby inwazji zmobilizowano cały transport rządowy

i wszystkie usta Polskiego Radia PiS i TVPiS. Słowem, ma reportera za hetkę-pętelkę, a opinię, dla której dziennikarz pracuje, za ignorantów nieliczących się w rozgrywce politycznej. Nawiasem mówiąc, teraz z akcji promocyjnej TOK FM można się dowiedzieć, że prezydent – co prawda nie osobiście – słucha tego właśnie radia.

Za przykładem Dudy z pałacu podąża Duda ze związku zawodowego. Jego arogancki rzecznik o nazwisku Lewandowski odmawia akredytacji na zjazd organizacji dwójce niedoszłych sprawozdawców: dziennikarzom radia TOK FM i „Gazety Wyborczej”. Pisze do nich, że ma prawo zapraszać, kogo chce. Piotr Duda ma własne towarzystwo, ale jak się domyślam, dziennikarzom niekoniecznie chodziło o dopuszczenie do tego zacnego grona. Chcieli posłuchać obrad zjazdu Solidarności w Częstochowie, a gestorami tego prawa w państwie prawa nie mogą być pojedynczo ani obaj prominenci, ani cały ich związek.

Przez pierwsze 100 lat niepodległej Polski nie udało się tego wytłumaczyć uzurpatorom. ■



Nasz tygodnik
dostarcza

KOLPORTER



Ulubiony tytuł znajdziesz w:

- Salonikach Kolportera,
- kioskach,
- supermarketach,
- sklepikach,
- stacjach paliw.

NAJWIĘKSZY DOSTAWCA PRASY

ZESZTYWNIĄŁE OKOLICZNOŚCI

Polscy chorzy na zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa nie mają dostępu do nowoczesnego leku stosowanego w całej Europie

Barbara Jagas

Nikt nie może zrozumieć, w jakim jest stanie osoba chora na zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa (ZZSK). Tego, że ktoś cierpi na tę jedną z chorób reumatycznych, po prostu nie widać. W początkowym stadium schorzenia, które może trwać wiele lat, nie ma jeszcze charakterystycznych mostów kostnych, które rujnują stawy, prowadząc do niepełnosprawności. A chorzy cierpią, odczuwając trudny do określenia ból, który przeszywa ciało. Towarzyszą mu osłabienie i zesztywnienie ciała, które uniemożliwiają wstanie z łóżka.

Zesztywniające zapalenie stawów kręgosłupa jest zapalną chorobą reumatyczną. Pojawia się z nieznaney przyczyny, atakując stawy kręgosłupa. W Polsce cierpi na nią 150 tys. osób. Są to głównie ludzie młodzi, przed czterdziestką.

Podstawowym objawem tej choroby jest ból pleców. Najbardziej dokuczliwy jest w drugiej części nocy i nad ranem, co odróżnia ZZSK od symptomów przeciążenia i urazów. Ból nie ustępuje po odpoczynku, a zmniejsza się dopiero po wysiłku fizycznym,



PAULINA KRYSZCZYŃSKA: Jakby ktoś mnie odciął od prądu

– Był rok 2011. Pracowałam od poniedziałku do piątku, w weekendy studiowałam. Zawsze starałam się być aktywna. Aż któregoś dnia jakby ktoś odciął mnie od źródła prądu. Nie mogłam wstać z łóżka. I ból między kręgami w klatce piersiowej. Czułam się coraz słabiej, ale nie zwracałam na to uwagi – byłam zbyt zapracowana.

Kiedy mówisz: reumatyzm, wyobrażasz sobie pochylone staruszki z pokrzywionymi palcami. Nie wiesz, że odmian chorób autoagresywnych są setki. Nawet kiedy odbierzesz wyniki badań, nie dociera do ciebie, że jesteś bardzo chory i już nigdy nie wyzdrowiejesz.

podkreśla prof. Brygida Kwiatkowska, kierownik Kliniki Wczesnego Zapalenia Stawów w Narodowym Instytucie Geriatrii i Reumatologii. Zdarza się także, że choroba objawia się poza kręgosłupem, np. w postaci zapalenia przyczepu ścięgniętego ścięgna Achillesa, zapalenia błony naczyniowej oka, zapalenia zastawek aorty, łuszczycy czy nieswoistego zapalenia jelit.

Choroba jest przewlekła i nieuleczalna, ale w każdym momencie można ją zatrzymać, stosując odpowiednie leki. W początkowej fazie są to niesteroidowe leki przeciwzapalne. Na pewnym etapie trzeba jednak zastosować leczenie biologiczne, by powstrzymać proces zesztywnienia stawów.

W ZZSK ważna jest jak najwcześniejsza diagnostyka. Zastosowane w porę leczenie spowoduje, że chory uwolni się od cierpienia, a co

jeszcze istotniejsze, schorzenie nie doprowadzi do jego niepełnosprawności. Niestety, w Polsce postawienie prawidłowej diagnozy trwa od 5 do 10 lat, a niekiedy dłużej. Często objawy podawane przez pacjentów są lekceważone i lekarze nie rozpoznają ZZSK. Wtedy chory krąży od lekarza do lekarza i dopiero po latach trafia do reumatologa, który ostatecznie wykryje właściwą chorobę i zaleci leczenie.

Cierpienie chorych na ZZSK pogłębiane jest przez osamotnienie i niezrozumienie. Zwraca na to uwagę mieszkający w Londynie fotograf Piotr Sobik, sam chory na ZZSK. Portretuje towarzyszy niedoli w ramach akcji „Najważniejszy dzień w życiu”. Jeździ po świecie i przygotowuje wystawy, których celem jest wywołanie zainteresowania chorobą przynoszącą nieznosny ból. W ten sposób chce po-



KATARZYNA WOŹNIAK: Oślepiłam z powodu choroby

– Nie może pani boleć, bo jest pani za młoda. Pani cierpi na staropanieństwo – słyszałam przez lata od kolejnych lekarzy, a leki przeciwbólowe tykałam garściami, jak cukierki. Dzięki temu, że na jakiś czas oślepiłam z powodu choroby, po 18 latach udało się postawić właściwą diagnozę. Wcześniejsze działania być może uchroniłyby mnie przed kalectwem. Na szczęście znów widzę. Pogodziłam się z tym, że kiedyś mogę przestać chodzić. Za wszelką cenę jednak muszę widzieć – czytanie pozwala mi żyć wielokrotnie.

kazać światu, że istnieje taka choroba. – Nie chodzi mi o wywołanie współczucia, bo to krótkotrwałe, ale o zainteresowanie – podkreśla Piotr Sobik.

Akcja skierowana jest także do decydentów, którzy dysponują lekami na ZZSK, mogącymi uchronić młode osoby przed niepełnosprawnością i śmiercią. – Bo choroba źle leczona lub nieleczona tak się kończy – twierdzi prof. Brygida Kwiatkowska. – Pacjenci umierają nie z powodu samego ZZSK, ale na skutek powikłań sercowo-naczyniowych – precyzuje.

Chodzi o dostęp do nowego leku biologicznego, który zatrzymuje proces tworzenia się mostów kostnych. Obecnie tacy chorzy leczeni są dwoma lekami, dostępnymi w ramach specjalnego programu. Ale nie w każdym przypadku ta terapia jest skuteczna. Problem pojawia się już na etapie kwalifikowania chorych do programu, bo kryteria są zdaniem prof. Kwiatkowskiej zbyt ostre i wiele osób nie może skorzystać z leczenia. A potem okazuje się, że nie każdy farmaceutyk jest skuteczny w przypadku konkretnego chorego i trzeba spróbować innej



ZBIGNIEW GRABOWSKI: Pierwsze były bóle pleców

– Pierwsze objawy pojawiły się około 17. roku życia. Bóle pleców. Mieszkam na wsi, a jak to na wsi, pracy wiele i nie było czasu na takie problemy, więc tabletki i do przodu. Drugi, silniejszy atak choroby przyszedł, kiedy byłem w wojsku. Mocowałem się z kumplem w zapasach, coś chrupnęło w kręgosłupie i pojawił się guz. Przez trzy miesiące utykałem na prawą nogę. Poszedłem do lekarza wojskowego. Stwierdził, że to nic takiego i że samo przejdzie. Potem było już tylko gorzej. W 2005 r. znów poszedłem z bólem pleców do lekarza. Wtedy pani doktor po raz pierwszy wymówiła nazwę choroby. Nie mogłem w to uwierzyć. Przeżyłem szok. Bo jak to: młody człowiek, pełen zapału i taka choroba? Odepchnąłem od siebie jej widmo.

terapii, opartej na innym mechanizmie działania. – Odpowiedzią dla takich chorych jest nowy lek biologiczny, który wpływa na interleukinę 17, a jest to cytokina – najważniejsza, jeśli chodzi o patomechanizm ZZSK. Niestety, nasi pacjenci nie mają na razie do

niego dostępu – mówi prof. Brygida Kwiatkowska, dodając, że frustruje to lekarzy, którzy nie mogą pomóc swoim podopiecznym.

Lek jest już stosowany w całej Europie i tylko polscy chorzy nie mają do niego dostępu. ■

ZOBACZ CAŁĄ KOLEKCJĘ NAJWYBITNIEJSZYCH FILMÓW RADZIECKICH

**KLASYKA KINA
RADZIECKIEGO**

dostępne tylko w salonach Empik i na Empik.com

empik
empik.com

Szczepionkowy zaścianek Europy

Co czwarty Polak uważa, że szczepienia są niebezpieczne

Tomasz Borejza

Na Ukrainie od początku roku do 26 października na odrę zmarło 14 osób, w tym 10 dzieci, zarejestrowano już kilkadziesiąt tysięcy chorych. Polski Sejm poważnie obradował nad ustawą znoszącą obowiązek szczepień. To, że argumenty antyszczepionkowców padają na podatny grunt, widać nawet w materiałach promujących szczepienia. Kiedy województwo małopolskie przygotowało materiał telewizyjny zachęcający, by z nich korzystać, występujące przed kamerą matki mówiły: „Boję się, ale zaszczepię”.

Był to wyraźny sygnał, że antyszczepionkowcy zaczynają wygrywać dyskusję toczącą się głównie w internecie i przy imieninowych stołach. Nie było tylko wiadomo, czy udaje im się wystraszyć wystarczająco wiele osób, żebyśmy zeszli poniżej progu zapewniającego zbiorowe bezpieczeństwo. Zwykle określa się go na ok. 95% zaszczepionej populacji. Nowy raport Komisji Europejskiej, w którym przedstawiono wyniki badań postaw wobec szczepionek w 28 krajach członkowskich Wspólnoty, przynosi odpowiedź: antyszczepionkowcy są coraz silniejsi.

Raport „State of Vaccine Confidence in the EU 2018” („Zaufanie do szczepień w Unii Europejskiej 2018”) porównuje wyniki z bieżącego roku z uzyskanymi trzy lata wcześniej w podobnych badaniach prowadzonych przez Światową Organizację Zdrowia. W sondażu pytano o to, czy szczepionki są bezpieczne, ważne dla dzieci i efektywne. Polska została w raporcie kilkakrotnie wyróżniona (*in minus*), ponieważ udzielane przez ankietowanych odpowiedzi lokują nas wśród krajów, w których zaufanie do

szczepień jest najniższe. Znajdujemy się w sąsiedztwie Bułgarii i Łotwy, a także Francji. Przekonanie, że szczepienia są dla dzieci ważne, deklaruje 75,9% pytanym Polaków. W to, że są bezpieczne, wierzy 72,4%, a w to, że są efektywne – 74,9%. Jednocześnie tylko 72,9% ankietowanych uznało, że bezpieczna jest szczepionka MMR, która chroni m.in. przed odrą.

Zostaliśmy wskazani jako kraj, w którym zaufanie do szczepień spada najszybciej w Unii Europejskiej:



„Wyniki sondażu sugerują, że w Polsce spadek zaufania dotyczy wszystkich czterech stwierdzeń. Procent respondentów zgadzających się z tym, że szczepionki są ważne dla dzieci, spadł o 9,2%, że są bezpieczne – o 7,3%, efektywne – o 7,7% i zgodne z przekonaniami religijnymi – o 17,1%”. W tych samych badaniach sprawdzano też postawy lekarzy pierwszego kontaktu. Ci niemal w 100% deklarowali przekonanie, że szczepionki są bezpieczne, efektywne i potrzebne, mimo to kilkanaście procent mówiło, że nie rekomenduje swoim pacjentom szczepienia przeciwko odrze.

Dr Radosław Tyrała, socjolog z Wydziału Humanistycznego krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, który od

pewnego czasu zajmuje się tym tematem, tłumaczy te postawy w sposób następujący: „Nie ma jednej, prostej odpowiedzi. Na spadek zaufania do szczepionek składa się wiele czynników. Pierwszym jest ogólny niski poziom zaufania Polaków do instytucji. Drugim jest to, że szczególnie niskie zaufanie mamy do służby zdrowia i lekarzy jako grupy zawodowej, co jasno pokazują badania porównawcze. Wskazuje to na poważny problem systemowy. Mamy za mało lekarzy, co sprawia, że nie mogą oni poświęcić pacjentom wystarczająco dużo czasu. Kuleje również system zgłaszania niepożądanego odczynu poszczepiennego (NOP), a to budzi w pacjentach przekonanie, że w przypadku problemu będą zdani sami na siebie. Wszystko to sprawia, że więcej ludzi zwraca się w stronę alternatywnych źródeł wiedzy medycznej. Idealną tego egzemplifikacją jest medialna kariera Jerzego Zięby”. Kariera, która

– jak podkreśla Tyrała – nie byłaby możliwa bez upowszechnienia internetu. „Gdyby nie internet – demokratyzujący przekaz i umożliwiający »kult amatora« – ani Jerzy Zięba, ani Stowarzyszenie STOP NOP nie zdobyłoby takiej popularności. Gdyby nie ta platforma mobilizacji, z pewnością nie udało by się zebrać wystarczającej liczby podpisów pod obywatelskim projektem przeciwko obowiązkowi szczepień. W dobie tak

dynamicznych zmian niszczone są rutyny społecznej codzienności – również ta, która przez wiele lat sprawiała, że Polacy traktowali szczepienie dzieci jako coś oczywistego i niekwestionowanego” – mówi.

Podobnie o całej Unii Europejskiej mówił komisarz ds. zdrowia Vytenis Andriukaitis. Polityk wskazywał, że powodem nieufności jest przede wszystkim rosnące znaczenie grup antyszczepionkowych, które w internecie oraz na forach politycznych szerzą nieprawdziwe informacje. Dodawał, że Europa musi podjąć działania naprawcze, bo robi się groźnie.

Musi je podjąć także Polska, ale dziś wszystko wskazuje na to, że otrzeźwienie przyjdzie za późno. ■

✉ EDUKACJA EKONOMICZNA

Znani ekonomiści, prof. Witold Orłowski i Wiesław Rozłucki, rozmawiali 2 października w TVN o marnych perspektywach systemu emerytalnego w naszym kraju. Sprawy te przeszły z obszaru ekonomii do agitacji politycznej bazującej na emocjach. Jako wyjście z tej sytuacji dyskutanci zaproponowali intensywną edukację ekonomiczną społeczeństwa. Zapomnieli jednak o dwóch sprawach. Po pierwsze, dewastację systemu emerytalnego rozpoczęły już poprzednie władze, demolując rynek pracy przez umowy śmieciowe. Po drugie, elity już wielokrotnie oszukiwały suwerena w sferze ekonomii i boleśnie doświadczony nie będzie on podatny na kolejne opowieści.

Pamiętamy PPP, czyli program powszechnej prywatyzacji. Był on czystą kpiną z suwerena. Nawet nie wysilano się zbytnio z opisem mechanizmów, jakie w nim zadziałają, tylko stwierdzono, że będziemy bogaci. Politycy prześcigali się w wielkości kwot, które spłyną na nasze rachunki. Licytacja doszła do 50 mln zł na uprawnionego obywatela. A narodowe fundusze inwestycyjne? Tutaj obiecywano, że przyjadą wspaniali menedżerowie z Zachodu, przywiozą ze sobą najnowsze technologie i staną się potęgą gospodarczą. Na wszelki wypadek, żeby nie powstała konkurencja, zabroniono grupowania w jednym funduszu firm z tej samej branży. Wynikało to z braku rozeznania czy było oczywistym oszustwem otwierającym ścieżkę dla małych i większych interesików?

Wprowadzając otwarte fundusze emerytalne, obiecywano wakacje pod palmami, sielskie życie emerytów i 7% kosztów obsługi. Na pytanie, co będzie, gdy koniunktura na giełdzie się

pogorszy, słyszeliśmy odpowiedź, że przecież oddajemy nasze pieniądze w ręce fachowców, którzy w każdych warunkach je pomnożą. No i pomnożyli je przez liczby wyraźnie mniejsze od jednego. Na pytanie, dlaczego odstąpiono od podstawowej kapitalistycznej zasady, że zysk ma być wynikiem działalności, a nie odcięciem procentu od powierzonego kapitału, po prostu nie odpowiadano.

Dla przedsiębiorstw, które po przełomie znalazły się w całym nowej sytuacji rynkowej, przygotowano pakiet „dobrych rad”. Przykłady standardowych recept: cięcie kosztów i likwidacja wszystkiego, co nie generuje natychmiastowych zysków, np. biur rozwojowych czy wszelkiej działalności socjalnej, oraz podział przedsiębiorstwa na spółki. Znam opracowanie strategii rozwoju przedsiębiorstwa sygnowane przez autorów z tytułami profesorskimi, w którym nie wspomniano nawet o produktach, technologii firmy ani rynku, na którym działa. Nie zabrakło natomiast rady, aby podzielić przedsiębiorstwo na małe spółki.

Z kolei podatek majątkowy dla przedsiębiorstw, który miał uzdrowić budżet państwa, pogrążył najlepiej doinwestowane firmy, rolnictwo zaś cofnął do koncepcji drobnotowarowej.

Przełknięcie przez suwerena kolejnych bajek nazywanych nową ekonomią można wytłumaczyć szokiem zmian. Teraz żadne „szkolenie ekonomiczne” nie będzie skuteczne, tzw. elity straciły wiarygodność już jakiś czas temu. Nie przeszkadza im to jednak nadal wierzyć, że „ciemny lud to kupi”. Taką postawę widzieliśmy na festiwalu kłamstw i obietnic przy okazji wyborów samorządowych.

Adam Antoń, Drzonków

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Jak ocalić świat na małej scenie?

Góo Bâ, Ilczuk, Kłak, Łysak, Manuilov,
Pieczyński, Simon, Sztarbowsky, Wysota
premiera 9.11.2018
kolejne pokazy: 10, 11.11 i 6, 7, 8, 9.12



Patroni
mediaini

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestgrane24

AKTIVIST

Prasa

www.powszechny.com

Iwona Szelezińska

Manisha pracuje w recepcji, wygląda na znudzoną swoim zajęciem. Była w Kalkucie w Sonagathi (największa dzielnica czerwonych latarni w mieście). Jeszcze nie odzyskała spokoju ducha.

Nie można ufać Pięknej Pani.

Teraz Manisha to wie. Nie wiedziała, gdy w wieku 11 lat uciekała z domu.

Piękną Panią spotkała w autobusie, który wioził dziewczynkę w nieznaną, bo zmęczona i smutna jechała gdziekolwiek, byle dalej od proble-

z małym dzieckiem. Nie wymagało to od niej żadnego wysiłku. Piękna Pani wciąż piękniała.

Czerwone tabletki w zielonym opakowaniu. Manisha brała je codziennie, dwie rano i dwie wieczorem. Piękna Pani przyniosła ich cały karton. Powiedziała, że dziewczynka musi je brać, bo przyjechała z gór, a Kalkuta to gorące i wilgotne miasto. Pomogą jej w aklimatyzacji. (...)

Zaczęła tyć, jej ciało puchło. Zakręglili się buzia, urosły piersi, zmieniły się rysy twarzy. Jakby ktoś wsadził ją do pieca i z jej drobnego ciała robił pulchniutkie wypieki. Była senna, apatyczna, miała spłycony oddech. Nie narzekała, widziała, że

pracy, bo postanowiono, że zacznie bezpośrednio po nim. Kupiła dziewczynce kosmetyki, uczyła robić makijaż. Mówiła, że w pracy Manisha będzie musiała malować się codziennie.

Długo jechały taksówką. Wysiadły przed dużym domem, przeszły przez wysoką bramę. Piękna Pani przekazała ją Starszej Kobiecie, torbę wziął jakiś chłopak, wprowadził je do środka, pokazał Manishy jej pokój, wszyscy byli mili i uśmiechnięci. Jeszcze przez chwilę siedziały razem w holu, kobiety rozmawiały, Piękna Pani trzymała ją za rękę, głaskała po włosach, obiecywała, że niebawem ją odwiedzi. Odeszła, nie powiedziawszy, co to za miejsce.

Albo będziesz prostytutką, albo umrzesz

Z reguły tak się robi, tamie się dziewczyny
w jednym miejscu, odbiera się im godność
i sprzedaje się dalej, po dobrej cenie

mów. W autobusie panował tłok. Stały obok siebie, Piękna Pani ubrana w niebieskie sari, z mnóstwem biżuterii. Manisha nigdy wcześniej nie widziała tak szykownego stroju ani tak pięknej kobiety. Z nią poszła by wszędzie. Piękna Pani wiedziała, jak rozmawiać z dzieckiem, w jaki ton uderzyć, żeby poczuło się bezpiecznie. Robiła to już wiele razy.

Zabrała ją do Kalkuty, do domu, gdzie mieszkała z mężem i kilkumiesięcznym synem. Ona potrzebowała niańki, a Manisha – pracy i nowego lokum. W zamian za opiekę nad niemowlakiem mogła zostać ile chce, jeść ile chce, swobodnie poruszać się po domu. Dostała swój kąt. Piękna Pani robiła się coraz piękniejsza.

Manisha po raz pierwszy znalazła się w dużym mieście, miała solidny dach nad głową, była syta i wypoczęta. Zupełnie inaczej niż na wsi. Tutaj nie musiała pracować w polu przy rozsadzaniu ryżu, zbierać chrustu na opał, ciąć trawy dla kóz. Całymi dniami była sama w domu i bawiła się

Piękna Pani jest zadowolona, a na tym zależało jej najbardziej. Wyrzuciła ze swoich rzeczy, dostała nowe. Krótsze i bardziej obcisłe niż stroje, do których była przyzwyczajona, za to nowiusienkie, tylko dla niej, kolorowe i błyszczące. Piękna Pani nie przestawała pięknieć.

Zaczęły rozmawiać o prawdziwej pracy. Pani co wieczór wracała do domu z torbą pełną pieniędzy. Wyrzucała je na podłogę, masę zgniecionych w kulkę banknotów, wszystkie o niskim nominale. Siadały na ziemi i układały je, jeden po drugim. Manisha lubiła te chwile. Dziecko spało, mąż Pani jeszcze nie wrócił, miały czas tylko dla siebie. Czuci się potrzebna, poza tym nigdy wcześniej nie trzymała w rękach takiej ilości gotówki. Piękna Pani mówiła o przyszłości. Manisha powoli się przygotowywała, żeby jej pomóc w biznesie. Spędziła w tym domu już pięć miesięcy.

Nadchodziła Durga Pudża. Piękna Pani była zajęta, musiała przyszykować dom na święto i Manishę do



Starsza Kobieta kazała się rozglądać. – Obserwuj i ucz się – mówiła.

Manisha się rozglądała. W nowym miejscu było dużo kobiet, większość starsza od niej, niektóre grube jak ona. Rano widziała kobietę myjącą podłogę, pomyślała, że też to potrafi. W kuchni zobaczyła inną, szykującą posiłek – w porządku, gotować też umie. Wieczorem zrobiło się jakoś inaczej, przyszli mężczyźni, dziewczyny miały wyuzdane makijaże i mętny wzrok, zewsząd dochodziły dziwne jęki. Śmierdziało alkoholem. Zaniepokoiło ją to. Spytała którąś, co tu się dzieje.

Pobiegła na dół do Starszej Kobiety, już wiedziała, że to *gharwali*. Próbowała tłumaczyć, że nie chce w ten sposób pracować, jest jeszcze dzieckiem, tylko tak urosła po tych czerwonych tabletkach, że to pomyłka. Jak tylko Piękna Pani dowie się, co to

za miejsce, to ją odbierze. *Gharwali* wysłuchiwała, po czym wściekle wyrzygała potok słów. Krzyczała o pieśniadach, za które ją kupiła, że teraz jest jej dziwka, o braku wdzięczności, bo nie każdy ma szansę pracować w Sonagathi, o tym, że Piękna Pani nie wróci. Nigdy. (...)

W tym momencie Manisha się rozkleja. Do tej pory mówiła spójnie. Teraz łamie się jej głos, zaczyna wypowiedź i urywa ją w połowie. (...) Siedzimy po turecku przy niskim stoliku, na dużych, zielonych poduszkach. Manisha co chwilę zmienia pozycję. Ma na kolanach poduszkę, próbuje nią zakryć możliwie największy fragment siebie.



cia, posiniaczona, śmierzdzała paloną skórą, moczem i kałem. Wyglądała na martwą, ale słyszeć było jej cichy jęk. Musiała wisieć tak przez długi czas, torturowana, odzierana ze skóry, przegrana. Z zimną kalkulacją przedłużano jej agonię. Dobrze, że Manisha nie widziała jej twarzy. Zwymiotowała.

Dali jej wybór: albo będzie pracować, albo umrze. Jeśli woli śmierć, czeka ją właśnie taka: powolna, bolesna, w ciemnościach. Powiedzieli, że z tą kobietą już prawie skończyli, za chwilę haki będą wolne. Musi tylko podjąć decyzję, a zrobić, jak postanowi. Manisha czuła mdłości, poza tym nic, jakby już nie istniała. Powiedziała, że chce wyjść na górę.

wszystko we krwi. Nie czuła bólu. Żadnego. Pomyślała, że pewnie już nie żyje. Albo że część jej ciała obumarła. Nie mogła się ruszyć. Nie miała siły. Było jej zimno. Coraz zimniej. Straciła dużo krwi.

Po jakimś czasie ktoś przyszedł ją umyć. Ktoś inny dał jej coś do picia, wciąż na wpół przytomnej. Przykrył prześcieradłem. Ludzie wokół niej się zmieniali, nie reagowała na otoczenie, nie wiedziała nawet,

Regularnie podawano jej narkotyki, naćpana Manisha przyjmowała klientów.



Przerywamy na moment. Siedzimy w ciszy, ciężkiej, krępującej, nie do wytrzymania. (...) Zaczyna mówić, najpierw parę ogólnych zdań, widać, że się zmusza, by wrócić do przerwanej wątku.

Zaprowadzili ją pod ziemię. Szli długim, wąskim korytarzem, otwierali kolejne drzwi i zamykali z trzaskiem. Nie wiedziała, dokąd idą. Na pewno byli w tym samym budynku, tylko w piwnicy, w kompletnych ciemnościach. Mężczyźni popychali ją do przodu. Mieli latarkę i gdy w końcu przeszli do dużego pomieszczenia, skierowali jej światło na przeciwległą ścianę. Zobaczyła mokrą plamę czerwieni. Było to nagie kobiece ciało. Ręce i nogi przywiązane do haków w ścianie. Głowa bezwładnie opadła na klatkę piersiową. Ofiara była cała we krwi, pocięta, opuchnięta od bi-

Zasnała odrobiny wolności, by znów boleśnie ją utracić.

Zamknęli ją w pokoju na piętrze. Nie wie, jak długo tam siedziała, nie było okna, straciła rachubę czasu. W końcu wszedł mężczyzna, wcześniej go nie widziała, był w wieku jej ojca. Przyniósł dwie coca-cole. Spytał, jak się czuje, prosił, żeby się go nie bała. Mówił spokojnym, ciepłym głosem. Podał jej butelkę, sam pił z drugiej. Mówił coś, Manisha nie pamięta o czym, siedzieli i popijali coca-cole, z każdym słowem jego głos stawał się coraz bardziej odległy. Zasnęła.

Obudziła się. Nie wiedziała, gdzie jest. Leżała na łóżku.

Spojrzała w dół na swoje ciało, była naga, cały brzuch, krocze, uda,

czy to, co się wokół niej dzieje, jest rzeczywiste.

Zasnęła na bardzo długo. Obudził ją silny ból całego ciała. Krzyczała, nie mogła go znieść. Błagała o pomoc. Przysięgła, że jeśli zabiorą ją do lekarza, zrobi wszystko, co chcą. Nie zgodzili się.

Została wielokrotnie zgwałcona, przez kilku mężczyzn, robili to jeden po drugim. Tak jej powiedziano chwilę później. A także, że teraz jest ich suką i będzie robić, co jej każą. Podjęła decyzję, więc nie czas się mazgać.

Nie była zdolna do jakiegokolwiek ruchu. Leżała na tym samym łóżku, w tym samym pokoju, przez kilka dni. Słyszała ich rozmowy, zastanawiali się, czy nie przetransferować jej do Bombaju. Z reguły tak się robi, łamie się dziewczyny w jednym miejscu, odbiera się im godność, ▶

► poczucie sprawczości, nadzieję, a potem wysłała dalej, żeby cały lęk, ból fizyczny i psychiczny zostawiły za sobą, swoją nieufność i nienawiść zasymilowały z konkretną przestrzenią i ludźmi – i już gotowy produkt, zdalny do wielokrotnego użycia, sprzedaje się dalej, po dobrej cenie.

Nie zrobili tego. Nadal była bardzo słaba, gdy kazano jej nałożyć sukienkę, pociągnąć szminką wydatne wargi, przykleić uśmiech do twarzy. Posadzili ją w holu z innymi dziewczynami. Rozejrzała się, obraz się rozmywał, było jej gorąco, strużka potu ciekła pod sztywną sukienką. Pomyślała, że wyglądają jak witryna sklepowa. Jak rząd plastikowych

Weszli do pokoju. Usiadła na łóżku, nie wiedziała, co robić. (...) Obserwował ją. Usiadł obok. Zaczął jej o sobie opowiadać. Miał 19 lat, był studentem. Pochodził z bogatego domu. Swobodnie mówił o swoim życiu, ona milczała, nie mogła wyjawiać prawdy, ale z jego słów wynikało, że się jej domyśla. Nawet Manishy nie dotknął, nie przyszedł tutaj po seks, nie wie dlaczego przyszedł, tak wyszło.

Chciał ją zabrać na zewnątrz na dwa dni. Powiedział, że wróci.

Wrócił po tygodniu, z gotówką. Machnął *gharwali* pieniędzmi przed nosem. Szybko zwęszyła zysk, to *gharwali* potrafią najlepiej. Zaproponował 50 tys. rupii za dwa dni

mogła dłużej czekać, regularnie podawała jej narkotyki, naćpana Manisha przyjmowała klientów. Przez kolejnych osiem miesięcy codziennie była wielokrotnie gwałcona. W rozmowie ze mną używa wyłącznie tego określenia: gwałt.

Uratowała ją jedna organizacja, inna się nią zaopiekowała w pierwszym roku po wyprowadzeniu z domu publicznego. Jako 14-latkę wróciła do Nepalu, prosto do Shakti Samuha (grupy wsparcia dla dziewcząt – przyp. red.).

Myśli, że to dzięki niemu zaczęli jej szukać. Tylko on wiedział, gdzie jest, znał jej prawdziwe imię.

Na zewnątrz, wśród nieskalanych ludzi, jest postrzegana jak dziwka i pewnie zawsze będzie się potykać o swoją przeszłość.

lalek w jaskrawych strojach, za krótkich i za obcisłych, oszczędzone błękitem na powiekach, z lokiem opadającym na czoło, ometkowane i wycenione: dziwka, 200 rupii za godzinę. (...)

Powiedziano, że ma siedzieć i się przysposabiać, że tej nocy nie będzie jeszcze pracować.

Przyszedł młody mężczyzna, wysoki i schludny, w sposobie bycia miał wypisaną zamożność. Wybrał ją. Powiedzieli, że ona nie czuje się dziś dobrze, niech wybierze inną, ale on był zdecydowany, pieniędzmi można przecież załatwić wszystko. Szczególnie w burdelu, gdzie pieniądź jest jedyną świętością. Zapłacił więcej, niż się należało. Poszli razem na górę.

Manisha pierwszy raz szła do pokoju z klientem, na kamiennych schodach powoli stawiała kolejne ciężkie kroki. Myślała o tej chwili wcześniej, wiele razy. Wyobrażała sobie, że będzie spanikowana, gotowa do ucieczki, która nie może się udać, pełna nienawiści i pogardy dla mężczyzny, który kupi jej ciało. Było inaczej, nie czuła nic, strachu, złości, żalu; nie czuła siebie, tak jakby wraz z krwią, która w wyniku brutalnego gwałtu obficie naznaczyła jej udę, wysączyła się jej tożsamość. Została tylko pusta cielesna powłoka, napuchnięta od hormonów ciało, którego od dawna i tak już nie umiała rozpoznać. Było jej obojętne, co się teraz wydarzy.

z Manishą na zewnątrz. Ogromna kwota, ale też niestandardowe i ryzykowne posunięcie, *gharwali* stanęła do walki. Zaczęły się targi. Zapłać 100 tys. i możesz ją brać – usłyszał.

Skonfiskowano mu dowód tożsamości, spisano numer telefonu i adres hotelu, do którego bierze dziewczynę, powiedziano, że jak nie odda jej po dwóch dniach o umówionej porze, zabiją go. Chłopak wiedział, że nie żartują. Manisha też.

Dziś Manisha mówi, że gdyby jej stamtąd nie wyprowadził, umarłaby. Świeże powietrze, otwarta przestrzeń, możliwość ruchu. Poczła się lepiej, na chwilę przywrócił jej uśmiech. Nakarmił ją, mogła się porządnie umyć, kupić dla niej leki. Spacerowali po parku, to pamięta najlepiej, pili *masala čaj* (aromatyczną herbatę z mlekiem i przyprawami) na trawie, wystawiła twarz do słońca. Większość czasu spędzili w hotelu. Opowiadał o swoich studiach, miał plany zawodowe, perspektywę udanego życia. Pytał, skąd pochodzi, jak trafiła do Sonagathi, jak została sprzedana. Współczuł. Czas mijał szybko. Wybiła godzina zero. Musiał ją zwrócić właścicielom, w końcu była tylko wynajętym towarem. Obiecał, że jeszcze się zobaczą. Również tym razem jej nie dotknął.

Powrót był druzgocący. Zaznała odrobiny wolności, by znów boleśnie ją utracić. Narzekwała na bóle podbrzusza, udawała, że czuje się gorzej niż w rzeczywistości, żeby opóźnić swój start w biznesie. *Gharwali* nie

Dziś Manisha ma 19 lat. Jest atrakcyjną młodą kobietą, nadal trochę przykości, ale pracuje nad tym, twierdzi, że w Indiach była dwa razy grubsza. Przeszła na dietę, regularnie ćwiczy.

Pojechała na wieś spotkać się z rodzicami. Nie poznali jej. Ojciec szukał jej przez rok, w końcu odpuścił. Kiedyś trzeba się pogodzić ze stratą. Powiedział, że skoro uciekła i radziła sobie sama przez tyle lat, to teraz on nie widzi powodu, żeby to zmieniać. Nie pytał, gdzie była. Manisha nie miała odwagi się przyznać.

Podczas naszej rozmowy cały czas skrobie paznokciem ołówkę. Zdarła już prawie całą emalię.

Mówi, że jej bezpieczna przestrzeń kończy się na progu domu Shakti Samuha. Tu wszystkie są takie same, akceptują się wzajemnie. Ten dom pomaga jej przeżyć, ale nie pozwala zapomnieć. Na zewnątrz, w realnym świecie, wśród nieskalanych ludzi, jest postrzegana jak dziwka i pewnie zawsze będzie się potykać o swoją przeszłość.

Minęło pięć lat od jej wyjścia z Sonagathi. Ma smutne oczy. Zapatrzona w dal, w której nie widzi świetlanej przyszłości. Nadal walczy o każdy uśmiech, każdą próbę nawiązania kontaktu z innym człowiekiem, spokojny sen. (...)

Fragmenty książki
Iwony Szelezińskiej
Kopnij piłkę ponad chmury.
Reportaże z Nepalu,
Marginesy, Warszawa 2018



Syryjski ślad

Prezydent Andrzej Duda szydzi ze zdjęcia prezydentów Erdoğan, Macrona, Putina i kanclerz Merkel, trzymających się za ręce. To zdjęcie ze szczytu w Stambule, podczas którego podejmowano decyzje w sprawie sposobu zakończenia wojny domowej w Syrii. Tej wojny, która szokuje świat brutalnością i liczbą ofiar i jest jednym z głównych motorów fali uchodźców szturmujących Europę.

Przynajmniej z tego powodu polski prezydent mógłby zachować powagę. Szkoda też, że patrząc na zdjęcie, nie pomyślał o jednym – dlaczego jego na nim nie ma. Odpowiedź jest dwójaka. Po pierwsze, Polska w konflikcie syryjskim nie uczestniczy, więc po co miałaby o nim rozmawiać. Po drugie, jest zbyt małym krajem, by jej głos w tej sprawie mógł cokolwiek ważyć. Także podczas komentowania zdjęcia...

Chociaż, jeśli chodzi o Syrię, to w ostatnich tygodniach była w tej sprawie pewna inicjatywa, ale szybko została zepchnięta na bok.

Chodzi o wizytę w Damaszku ówczesnego wiceministra Andrzeja Papierza oraz szefa Agencji Wywiadu – Piotra Krawczyka. Obyła się ona pod koniec sierpnia, krótką depeszę na jej temat zamieściła syryjska agencja SANA, a dłuższą relację rosyjski Sputnik. Polskie media nie były o niej informowane.

Może i dobrze, bo ta wizyta miała kilka tajemnic.

Pierwsza jest taka, że nie wiedział o niej minister Czaputowicz. Trudno w to uwierzyć, ale podobno tak było. I był zaskoczony. Zaskakujący też był skład delegacji – obecność szefa Agencji Wywiadu ewidentnie sugerowała, że poleciał do Syrii... No, nie po to, żeby np. podpisywać umowę o współpracy obu wywiadów, ale raczej po

to, by coś załagodzić, a może kogoś wyciągnąć z więzienia. Jeżeli ten wyjazd miał taki cel, to może rzeczywiście minister Czaputowicz nie musiał o nim wiedzieć. Co jest kolejnym dowodem na to, że MSZ staje się dodatkiem do Agencji Wywiadu. I że nie Papierz odgrywał rolę szefa delegacji, ale był osobą towarzyszącą...

A że Rosjanie o wszystkim wiedzieli i to opisali? Taka jest Syria.

Drugi wątek też jest ciekawy. Podczas rozmów Andrzej Papierz miał przekazać władzom Syrii pomysł wybudowania domów dla 100 syryjskich rodzin przebywających w Libanie. Polska strona miałaby ponieść koszty budowy, a rząd Asada zapłacić za edukację i zapewnienie uchodźcom opieki medycznej.

„Stoimy na stanowisku, że powinniśmy pomagać wszystkim, którzy stracili swoje nieruchomości na miejscu, tutaj w Syrii, i celem naszej wizyty jest zobaczyć, co jest możliwe tutaj do zrobienia”, miał powiedzieć Papierz, cytowany przez agencję SANA.

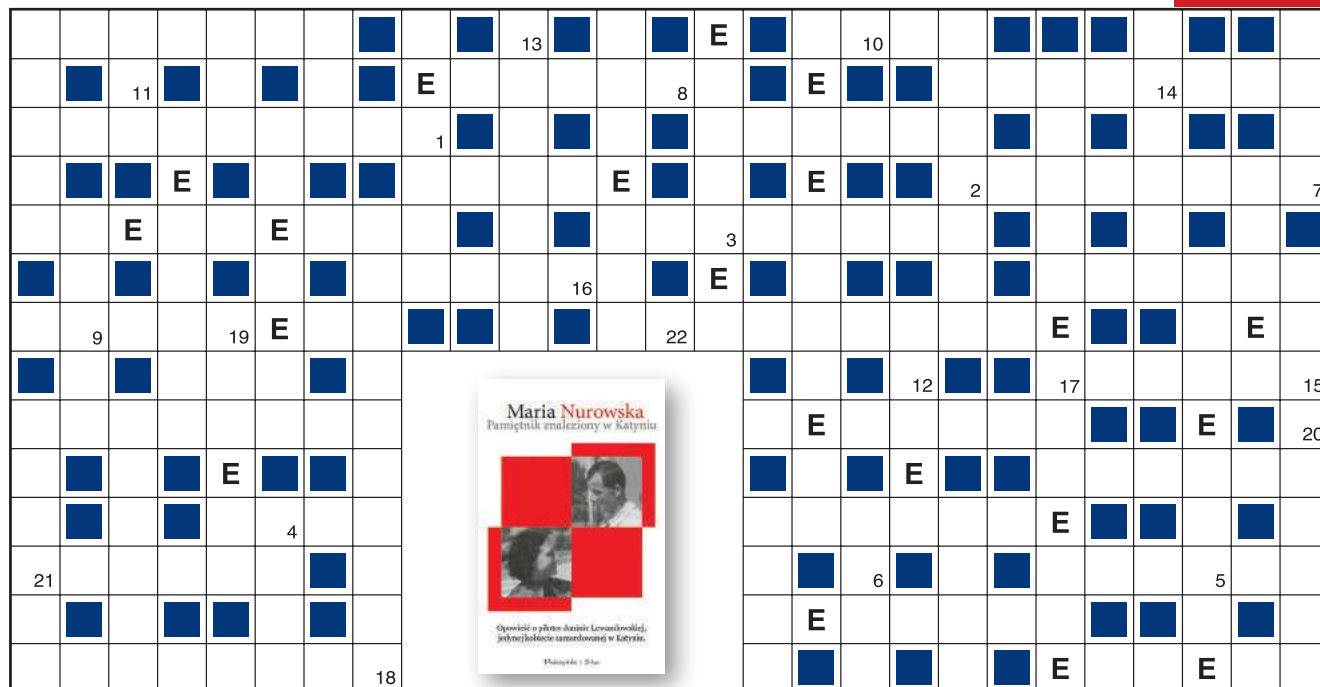
Otóż, jak twierdzą nasi rozmówcy, wiceminister nie miał upoważnienia, by składać takie deklaracje. Pytanie zresztą, kto miałby mu dać takie upoważnienie. Minister Czaputowicz? O niczym podobno nie wiedział. Minister Kempa? Ona rozdaje długopisy. Więc kto? A może to była jakaś cena, którą Polska zobowiązała się zapłacić? Za co?

Tego pewnie już się nie dowiemy. Andrzej Papierz nie jest już wiceministrem, Syria mu odpadła, jest dyrektorem generalnym MSZ. Czyli zajmuje się kadrami. Czyli czyści. I aż strach pytać, z czyjego mandatu.

Attaché



Kara publicznej chłosty wymierzona 21-letniej indonezyjskiej muzułmance w prowincji Aceh za to, że została przytępiana „w bliskiej odległości od swojego chłopaka”.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery E ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- napięcie – wolt, natężenie – ?
- przodek, pradziad
- długowieczne drzewo, zwane też igławą
- stosowana na ból i gorączkę
- Galileusz lub Johannes Kepler
- czasem poprzedza migrenę

- zespół z Beatą Kozidrak
- brak organizacji, bałagan
- mieszczańskie kurkowe w średniowieczu
- więz górski
- patriotów, Apokalipsy w tytułach filmów
- pobożność na pokaz
- mały w tradycyjnej komórce

- ciśnieńiowy w kuchni kawosza
- bohaterka biblijnej księgi, upamiętniona świętem Purim
- Enzo, założyciel wytwórni samochodów wyścigowych
- stolicą tego stanu Boise
- rozumna albo meritum
- wierzbą o srebrzystych baziach
- imię ojca Marii Peszek
- rzeka w Wielkim Kanionie
- księga ze 114 surami
- pasemko włosów
- nazwisko typowego Polaka

- mebel na sztuce i naczynia
- białe to leukocyty
- imię bohatera „Ulissesa”
- stale umożliwia dostęp do internetu
- tkanina, herbata lub miasto
- tagliatelle na talerzu
- bankowy, budowlany albo ubezpieczeniowy
- postać opowiadająca przebieg akcji
- ignorancja
- baryczny lub Środkowo-europejski
- muzykująca ósemka
- błona surowicza obejmująca serce kręgowców
- wietrzna albo czarna
- łyżwy do szybkiej jazdy

- i zaświadczenie, i przytaknięcie
- diabeł w dziupli wierzy
- wykrywa żyły wodne
- ścierany do pizzy
- np. wysokoprężny
- niska, miękka kanapa
- ostra wymiana zdań, potyczka
- płaci za korzystanie z odbiornika TV
- łatwo ulega panice
- atleci – muskularni
- malowanie rzęs lub ukrywanie afer
- dewastator od nazwy ludu
- „Wesoła...” – operetka
- Azorski wśród barycznych
- postawa z cofniętą nogą
- cecha na plus
- wiktoria, triumf

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-882”. Do rozlosowania książki „Pamiętnik znaleziony w Katyniu” ufundowane przez wydawnictwo Prószyński i S-ka. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 listopada 2018 r.

Rozwiązanie „JOLKI-879” z 21 października: *Tresura nie stępi lwu zębów.* Nagrody otrzymują: Eva Domańska z Wrocławia, Włodzimierz Karasieński z Wolina, Jadwiga Zawadzka z Pabianic.

PENETRACJE



MARIUSZ SZCZYGIEL,
DZIENNIKARZ, PISARZ

Wdałem się w ojca. Gdybym wdał się w mamę, byłby kłopot. Mama jest nieśmiała, uważa, że nic nie należy mówić ludziom, których się nie zna, i w ogóle rozmawiać z nieznajomymi, a mój ojciec wręcz przeciwnie. Wszystkich uwodzi, na całym Powiślu. Mawia: „W naszym wieku najważniejsze jest poczucie humoru”. Ma 85 lat. Niedawno byliśmy w Pradze. Ja pisałem książkę, a dla rodziców wynająłem 30-metrowy apartament z tarasem. W ich hotelu byli goście z różnych krajów i mówiący w różnych językach. I tata mnie męczył, żebym ich zagadywał, pytając, skąd są. A ja znam przecież tylko czeski, a tam Czechów nie było. Więc on, który nie zna żadnych języków, siedząc na tarasie, dowiedział się od każdego, co chciał wiedzieć. Mama powiedziała do mnie: „Ty przychodzisz tu i coś zrób, bo ojciec ze wszystkimi na tych tarasach rozmawia i wszyscy już go znają”.



LIDIA POPIEL, FOTOGRAFKA,
ŻONA BOGUSŁAWA LINDY

Jak wy się ze sobą komunikujecie?

– Głównie telefonicznie. Czasami wysłałam do Bogusia wiadomości, nawet jak jestem na dole w domu, a on na górze. Muszę zresztą powiedzieć, że „góra-dół” też się sprawdza, jak coś jest nie

halo i nie chcemy zaostrzenia sytuacji, to po prostu on na dole, ja na górze, on na górze, ja na dole. Teraz jesteśmy na etapie uwielbiana wspólnych wyjazdów. Wcześniej było tak, że Boguś często sam wyjeżdżał, ja wyjeżdżałam sama ze swoimi znajomymi, zawodowo albo z Aleksandrą, a ostatnio uwielbiamy podróżować razem. Gorzej znoszę rolę pasażera, jestem wtedy niezadowolona i Boguś sam mi oddaje kierownicę. Uwielbiam samochody i prowadzenie, więc łatwo mnie uszczęśliwić. Razem lubimy włożyć i restauracje. Jego zamiłowanie do kuchni, znajomość rzeczy i dokarmianie mnie jest cudowne. Ja z kolei uwielbiam internet i wyszukiwanie ciekawych miejsc. Tak dbamy o siebie.



EWA LIPSKA,
POETKA

Miłość jest nierdzewna. To prawda. Nadaje życiu sens. Mówi o tym nieśmiało moja pani Schubert. Nigdy nie pisałam erotyków, chociaż dużo pisałam o miłości. Do miłości zaliczam też przyjaźnię. Chociaż, jak mawiał lord Byron, „przyjaźń to miłość bez skrzydeł”. Miłość w każdym wieku jest w „innych kolorach”, ale emocje są podobne. Ktoś może powiedzieć, że w dojrzałym wieku jest najdojrzalsza, ale to nieprawda, jest bardziej „wytrawna”, ale to już zupełnie inny temat...

Aby język giętki...

BOGDAN RYMANOWSKI O OPUS DEI

Dwójka moich młodszych dzieci zaliczyła szkoły Opus Dei w Józefowie, a najstarsza córka uniwersytet Opus Dei w Nawarze.

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO O SZKOLE

Polska szkoła, jak mówią najnowsze badania, najmniej w skali świata uczy literatury, pisania i czytania.

KRYSTYNA JANDA O KSIĘŻACH

Księży mamy na bardzo niskim poziomie intelektualnym.

PROF. ANDRZEJ ROMANOWSKI O WŁADZY

Dziś własne, polskie ręce remontowały najlepszą Rzeczpospolitą w polskich dziejach. Nie mając pod ręką państwa zaborczego, podniosła rękę na państwo własne.

PROF. RYSZARD BUGAJ O MATEUSZU MORAWIECKIM

Był w środowisku „banksterów” i mówi ich językiem: ordynarnie, z taką pogardą dla ludzi, którzy przegrali, ludzi z dolin społecznych.

HANNA ZDANOWSKA O WITOLDZIE BAŃCE

Do tej pory nie miałam okazji spotkać się z ministrem sportu, o co bardzo zabiegałam. A przecież żadne miasto nie zrobiło dla sportu tyle co Łódź.

ANNA DYMNA O STARYM TEATRZE

Zabrano nam poczucie bezpieczeństwa i wolności artystycznej, ale zapowiada się, że powoli je odzyskujemy.

WOJCIECH KUCZOK DO ZBIGNIEWA BOŃKI

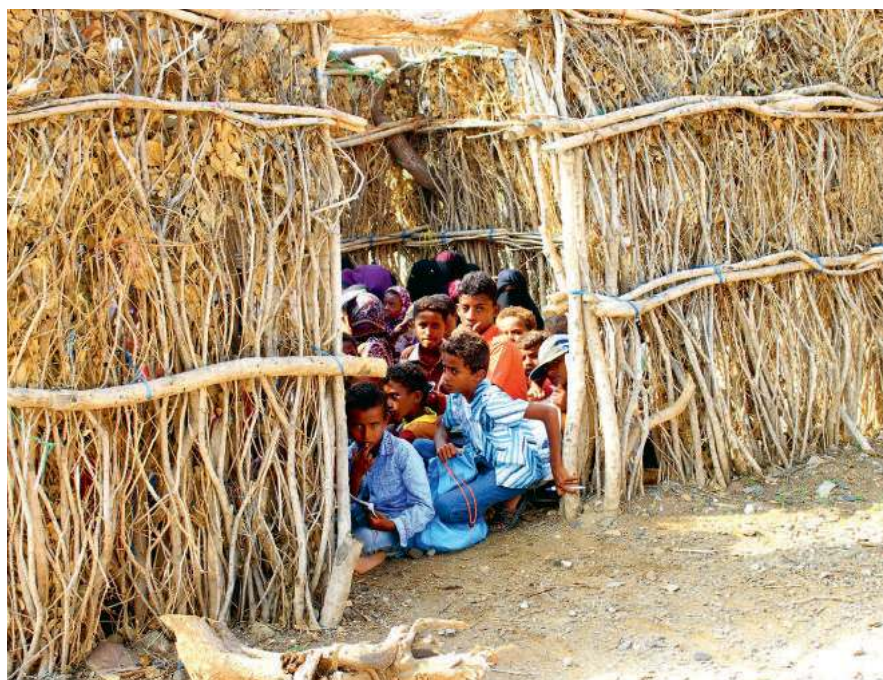
Prezesie, zlituj się, nie warto czekać. Szkoda reprezentacji. Powołałeś pana trenera, ale on minął się z powołaniem.

KRZYSZTOF WIELICKI O ŻONIE KATARZYNIE

Mam to szczęście, a może nie-szczęście, że też się wspina. I na moje, że lepiej uważać, mówi: „Jak miałeś tyle lat co ja, robiłeś to samo”.

EWA KASPRZYK O SEKSIE

Naukowcy dowiedli, że po siedemdziesiątce kobieta może mieć lepszy orgazm niż w latach młodości.



Jemeńscy uczniowie na zajęciach w prowizorycznej szkole. Według danych ONZ ok. 2 mln dzieci w całym kraju nie ma dostępu do nauki szkolnej.

Pamięć w kosmosie

Na pokładzie sondy New Horizons, której zawdzięczamy najbardziej spektakularne zdjęcia Plutona, znajdują się prochy astronoma Clyde'a Tombaugh, który w 1930 r., w wieku 24 lat odkrył wspomnianą planetę karłowatą. Astronom zmarł w 1997 r. Kiedy dziewięć lat później NASA wysłała w kosmos sondę New Horizons, umieściła wewnątrz aluminiową puszkę z prochami odkrywcy.

Antyreklama

Rosyjska gwiazda telewizji Ksenia Sobczak, której ojcem chrzestnym jest podobno sam Władimir Putin, została pozwana przez Samsunga za korzystanie z iPhone'a. Koreański koncern oczekuje od rosyjskiej celebrytki 1,6 mln dolarów odszkodowania. Gwiazda była ambasadorką marki Samsung i w ramach kontraktu zobowiązała się do publicznego korzystania ze smartfona tego producenta. Ambasadorowi marki zakazuje się jednocześnie korzystania z konkurencyjnych produktów. Tymczasem Sobczak została przyłapana podczas konferencji prasowej na korzystaniu z iPhone'a od Apple'a, czyli największego rywala Samsunga.

Bez czarów w kodeksie

Kanadyjski parlament finalizuje nowelizację Kodeksu karnego. Wszystko przez to, że obowiązujące prawo sięga daleko w przeszłość – nawet do roku 1215 i brytyjskiej Wielkiej Karty Swobód (*Magna Carta*). Dlatego do tej pory w kodeksie widniały przepisy dotyczące czarów czy wyzywania na pojedynek. W rozdziale o fałszywych oświadczeniach możemy znaleźć artykuł 365, który stanowi, że „kto z zamiarem popełnienia oszustwa twierdzi, że jest w stanie stosować lub



wykorzystywać magię, czary, rzucanie uroków lub zaklęcie”, jest winny wykroczenia. Nowelizacja kodeksu usuwa z niego m.in. ten zapis.

Nowotwór u wysokich

Prof. Leonard Nunney z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Riverside przeanalizował dane dotyczące osób, u których wykryto nowotwór. Badania, z których korzystał, prezentowały dane dotyczące ponad miliona zachorowań. Jak się okazało, ryzyko rozwoju nowotworu rosło średnio o 10% na każde 10 cm wysokości ciała powyżej średniej (średnia przyjęta dla kobiet to 162, a dla mężczyzn 175). Zjawisko to jest nasilone bardziej w przypadku kobiet – zagrożenie wzrasta o 12%, natomiast u mężczyzn o 9%.

Inne zioło

Naukowcy z Uniwersytetu w Bernie i Politechniki Federalnej w Zurychu twierdzą, że na łąkach powszechnie występuje roślina, która ma silniejsze działanie przeciwbólowe niż marihuana. Badania wykazały, że zawarta w przylaszczce pospolitej substancja psychoaktywna ma właściwości zbliżone do THC w marihuanie. Badanie na razie wykonano na myszach i musi zostać powtórzone. Przylaszczka pospolita była dawniej powszechnie wykorzystywana w medycynie ludowej.

MEMY BEZ ŚCIĘMY




Kreacje ni pies, ni wydra – uczestnicy parady Haute Dog Howl'oween w Long Beach w Kalifornii.

Powrót legendy

Clive Palmer, miliarder z Australii, buduje replikę słynnego Titanica. Ma on być niemal identyczny jak oryginał – w 835 kajutach na dziewięciu pokładach pomieści 2435 pasażerów, a bilety będą się dzielić na trzy klasy. Pasażerowie różnych klas nie będą się spotykać. Titanic II ma być gotowy do 10 kwietnia 2022 r., dokładnie na 110. rocznicę wypłynięcia w rejs pierwowzoru. Nie wiadomo, ile mają kosztować bilety na rejs z Southampton do Nowego Jorku.

Poszukiwany pies

W Neapolu w policji służy pies, na którego wyrok wydała tamtejsza mafia. Pocho, mały pies rasy jack russel terrier, odnalazł już ponad dwie tony narkotyków. Mafia kilkakrotnie próbowała wyeliminować czworonożnego policjanta, podzucając zatrute jedzenie. Pies jest jednak tak wytresowany, że na służbie nie je i jest skoncentrowany wyłącznie na swoich zadaniach. Ostatni sukces Pocho to odnalezienie 30 kg czystej kokainy.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiniński (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,

Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik

Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodiytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

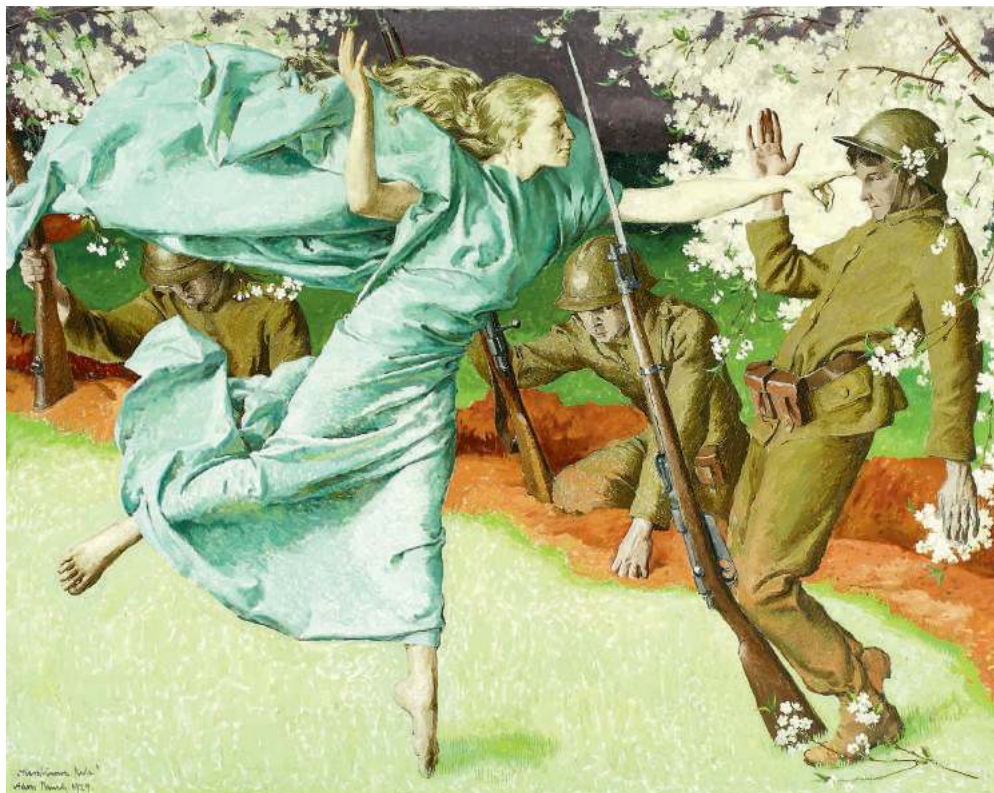
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



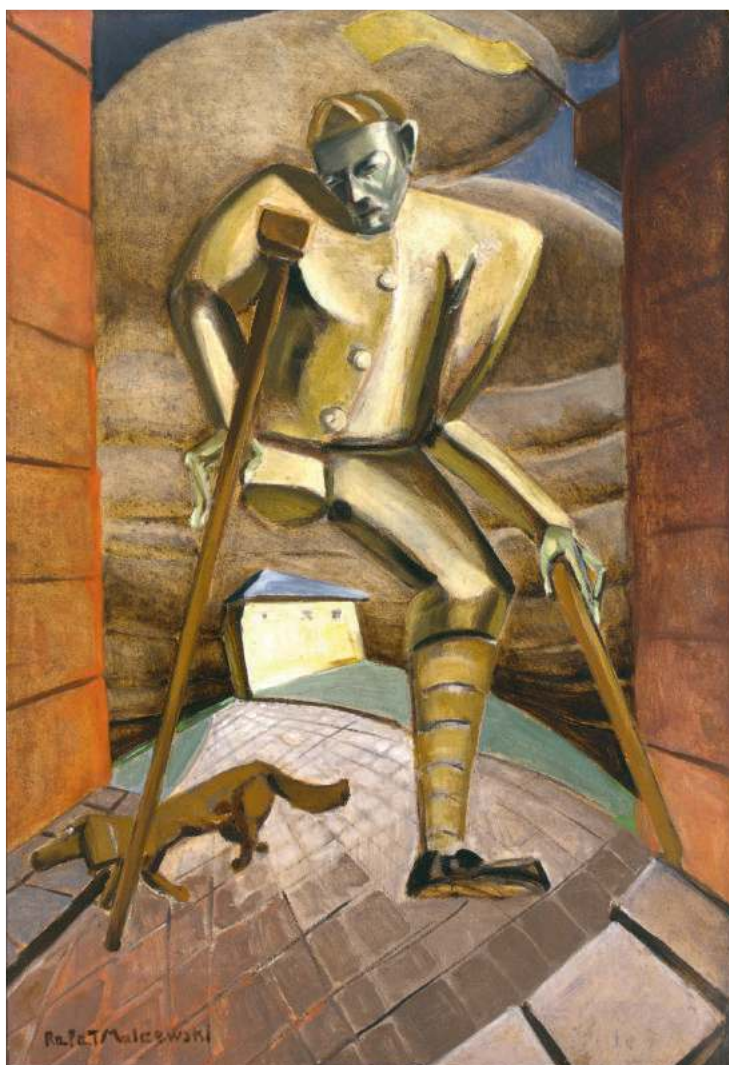


ADAM BUNSCH KARABINOWA KULA

Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918

Głównym założeniem wystawy organizowanej na 100-lecie odzyskania niepodległości jest skonfrontowanie przedstawień wydarzeń historycznych i politycznych z przemianami polskiej sztuki u progu niepodległości. Możemy spojrzeć na ten chaotyczny, nieoczywisty i bolesny okres przez pryzmat powstałych wtedy i nieco później dzieł, m.in. Jacka Malczewskiego, Zofii Stryeńskiej, Tadeusza Makowskiego, Witolda Wojtkiewicza i innych artystów zamieszkałych na ziemiach polskich i poza nimi. Walkę o niepodległość Polski i jej głównych aktorów uwiecznili na obrazach i portretach Wojciech Kossak, Stanisław Fabijański, Władysław Wankie, Leopold Gottlieb czy Leon Wyczółkowski.

**Muzeum Narodowe
w Warszawie
Al. Jerozolimskie 3
do 17 marca**



RAFAŁ MALCZEWSKI INWALIDA WOJENNY



STANISŁAW LENZ STRAJK 1910



TO JEST POLSKA.
PO CO TU JESTEŚ?



PUNKTY WIDZENIA ŚCIERAJĄ SIĘ W POLSCE.
WIRTUALNEJ POLSCE.



KUPUJĄC GUMĘ ORBIT

FUNDUJESZ ZESTAWY DO PIELEGNACJI ZĘBÓW
I ZAJĘCIA EDUKACYJNE DLA DZIECI

www.mojorbit.pl



PARTNERZY
MERYTORYCZNI:



PTSD
(Polskie Towarzystwo Stomatologiczne) Działalność

WSPÓŁORGANIZATOR:

